WOM Rybnik
wom.edu.pl
info@wom.edu.pl

Śląskie.
Pozytywna energia

Nr 3 (38) 2017
ISSN 1899-7619

kwartalnik pedagogiczno-społeczny

DIALOG EDUKACYJNY



Nauczanie - między wiedzą a myśleniem

Półdemokracja

Problemy stosunków polsko-ukraińskich

DIALOG EDUKACYJNY RODNiIP "WOM" RYBNIK
Kwartalnik pedagogiczno-społeczny

RODNiIP "WOM" RYBNIK

Dyrektor
dr Roman Miruk-Mirski
rmm@wom.edu.pl
Wicedyrektor
mgr Sylwia Bloch
kz@wom.edu.pl

Pracownia doskonalenia i dydaktyki:
mgr Alicja Krawczyk
hum@wom.edu.pl
mgr Anna Ogrodnik
eko@wom.edu.pl
mgr Maria Stachowicz-Polak
ntstachowicz-polak@wom.edu.pl
mgr Marzena Bugiel
matematyka@wom.edu.pl
mgr Małgorzata Pyszny
m.pyszny@wom.edu.pl
mgr Wioleta Dudziak-Radecka
w.dudziak-radecka@wom.edu.pl

Pracownia wspierania kadry kierowniczej i doradztwa metodycznego:
mgr Mariola Gajek-Czapla
pedagogika@wom.edu.pl
mgr inż. Jadwiga Garcorz
prof@wom.edu.pl
mgr Alojzy Zimończyk
geo@wom.edu.pl

Pracownia edukacji informatycznej i nauczania na odległość:
mgr Tomasz Stadnicki
it@wom.edu.pl
mgr Katarzyna Wróbel
k.wrobel@wom.edu.pl

Pracownia informacji pedagogicznej i wydawnictw:
mgr Jolanta Spyrczak
j.spyrczak@wom.edu.pl
dr Edward Karolczuk
e.karolczuk@wom.edu.pl
Krzysztof Pierchała
k.pierchala@wom.edu.pl

RODNiIP "WOM" RYBNIK

Regionalny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli i Informacji Pedagogicznej "WOM" w Rybniku jest jedną z pięciu w Województwie, publicznych placówek doskonalenia nauczycieli.

PROMUJEMY INNOWACYJNOŚĆ ...

Promujemy innowacyjność, nowoczesne metody nauczania, techniki i technologie, nowinki edukacyjne i autonomię pracy nauczyciela, pozostając w zgodzie z priorytetami Ministra Edukacji, Śląskiego Kuratora Oświaty, standardami Rady Europy, pogłębiając nasze pasje i wytyczając nowe ścieżki.

POMAGAMY NAUCZYCIELOM ...
Pomagamy nauczycielom, dyrektorom szkół, radom pedagogicznym i doradcom metodycznym we wprowadzaniu nowego wymiaru do polskiej edukacji oraz podniesieniu jakości i efektywności nauczania, oferując szkolenia na najwyższym poziomie merytorycznym, dydaktycznym i technicznym.

ZAPEWNIAMY ORGANIZACJĘ ...

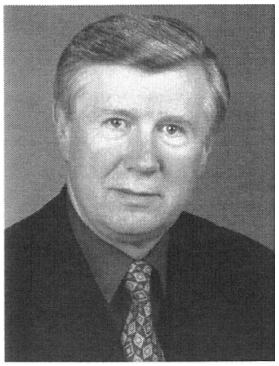
Zapewniamy organizację różnorodnych form współpracy oraz wymiany doświadczeń, w tym konferencji i seminariów.

ZASPAKAJAMY I ROZWIJAMY ...

Zaspakajamy i rozwijamy potrzeby czytelnicze nauczycieli i innych pracowników pedagogicznych oraz oświatowych.

Okładka : Joanna Ratajczak - Kurowicka "Światło - przestrzeń", rzeźba-forma przestrzenna z miedzi.

DIALOG EDUKACYJNY Wydawca: Regionalny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli i Informacji Pedagogicznej „WOM" w Rybniku tel./fax: 032 424 74 72	**Redaguje zespół konsultantów RODNiIP "WOM"** korekta: Alicja Krawczyk	**Adres redakcji:** RODNiIP "WOM" RYBNIK 44-200 Rybnik, ul. Parkowa 4a, tel.: 032 424 73 84, fax: 032 424 74 72, e-mail: info@wom.edu.pl	Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów w nadesłanych tekstach. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.



Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy Państwu ostatni numer *Dialogu Edukacyjnego* pod moją redakcją. W dotychczasowych numerach czasopisma starano się przedstawić artykuły prezentujące poglądy odmienne od utartych w życiu społecznym i politycznym. Zachęcano w nich do przemyślenia na nowo wiele drażliwych społecznie problemów.

Pismo nie było typowym poradnikiem metodycznym, których na rynku wiele. Było natomiast pismem promującym przede wszystkim kulturę dialogu, która powinna być włączona we wszystkie programy szkolne jako oś przenikająca poszczególne dyscypliny. To ważne, by nauczyciel, dyrektor szkoły, pedagog mogli poznać zróżnicowane stanowiska wobec różnych edukacyjnych problemów, gdyż tylko z taką wiedzą można trafnie dokonywać pomiędzy nimi wyborów oraz zadbać o mądry i celowy rozwój polskiej szkoły.

W obecnym numerze *Dialogu Edukacyjnego* prof. Mirosław Karwat w artykule „*Nauczanie - między wiedzą a myśleniem*” porusza problem dotyczący sposobu przekazywania uczniom informacji przewidzianych w programie nauczania. Przypomina też o tym, jakie inspiracje poznawcze i nawyki wpoić uczniom, aby nauczyć ich ciekawości, dociekliwości, samodzielnego zdobywania informacji i pogłębienia wiedzy.

Polecamy także artykuł prof. Andrzeja Małkiewicza omawiający stan świadomości historycznej Polaków w stosunku do Ukrainy. Autor zwraca uwagę na to, że w dzisiejszych czasach problemy historii przyciągają mniej uwagi, a wiedza naukowa nie przekłada się na świadomość społeczną, co powoduje, że niewyjaśnione problemy utrudniają porozumienie między ludźmi. Podkreśla także, jak szczególną rolę w kształtowaniu racjonalnego myślenia ma edukacja szkolna.

Zachęcamy również do zapoznania się z pozostałymi artykułami. Myślę, że każdy z Czytelników znajdzie w nich coś ciekawego dla siebie. Oznaczać to będzie, że rzeczywiście nasz *Dialog edukacyjny* inspirował i nadal inspiruje do twórczych przemyśleń zagadnień, którymi żyją pracownicy polskiej oświaty.

Roman Miruk-Mirski

SPIS TREŚCI

Nauczanie – między wiedzą a myśleniem **2**
Mirosław Karwat

Półdemokracja **5**
Marek Zagajewski

Epoki życzliwości i epoki wrogości **9**
Jacek Breczko

Problemy stosunków polsko-ukraińskich **16**
Andrzej Małkiewicz

Zabytek jako estetyczny byt próżniaczy **21**
Jan Kurowicki

Nowe media – nowy język **29**
Bogusław Jasiński

Prawo do dezinformacji **34**
Katarzyna Karaskiewicz

Socjotechnika w reżymie demokratycznym, autorytarnym i totalitarnym **37**
Jakub Zamana

Mediatyzacja Świadomości społecznej i polityki **40**
Sara Burchert

Inteligencja i książka **43**
Magdalena Rzadkowolska

Rewolucjonistki – portrety kobiet w *Płomieniach* **47**
Marcin Buczyński

Przekłady Eugeniusza Oniegina **52**
Waldemar Gajewski

Nad podstawą programową z matematyki **57**
Marcin Strzępek

Jak łatwo zostać zbrodniarzem **65**
Agata Śliwicka

Niemiecki model edukacyjny **62**
Eugeniusz Januła

Mirosław Karwat

NAUCZANIE - MIĘDZY WIEDZĄ A MYŚLENIEM

Zadanie nauczyciela (przekazywanie uczniom wiedzy) bywa rozumiane stereotypowo, i – co się z tym wiąże – życzeniowo, naiwnie. Zakłada się wtedy, że to, co ma on przekazać (czyli wiedza właśnie) jest czymś oczywistym, bo ustalonym, zweryfikowanym i zaktualizowanym przez naukę, stan badań. Jedyny problem – dydaktyczno-metodyczny – sprowadza się wówczas do pytania, jak przekazywać przewidziane programem informacje, jak je systematyzować, w jakiej kolejności stopniować wtajemniczenie uczniów w coraz bardziej złożone kwestie. A w ambitniejszym, aktywizującym modelu kształcenia – jakie aspiracje poznawcze i nawyki uczniom wpoić, aby nauczyć ich ciekawości, dociekliwości, samodzielnego zdobywania informacji, pogłębiania wiedzy. Przy takim założeniu sądzi się również, iż nauczyciel nie ma dylematów, co jest prawdą, co uproszczeniem, co tylko hipotezą lub kierunkiem poszukiwań (np. rodzajem pytań, na które dopiero szuka się odpowiedzi), a co wyobrażeniem mylnym lub już nieaktualnym, a nawet kłamstwem – zaprzężonym w indoktrynację światopoglądową i ideologiczną czy w bieżącą propagandę.

Jak wiadomo jednak, jest to kwestia bardziej złożona.

Problematyczność wiedzy

Po pierwsze, niewiele przynosi pożytku przekazywanie wiedzy oddzielone od nauki myślenia (po prostu myślenia) lub w ogóle pozbawione tego elementu; choć oczywiście dla wielu nauczycieli, jak i uczniów taki typ nauki (wkuwanie i zapamiętywanie, dokładne powtarzanie, bezbłędne wypełnianie testów, by zasłużyć spełnieniem wymagań na dobrą ocenę) jest wygodny.

Po drugie, nie sposób nie zauważyć kardynalnej różnicy między poznawczym statusem wiedzy zdobywanej na gruncie nauk ścisłych, przyrodniczych i technicznych oraz wiedzy z zakresu nauk humanistycznych i społecznych. W tym drugim obszarze kryteria prawdziwości, a nawet i użyteczności, nie są tak jednoznaczne ani sztywne jak w dyscyplinach (i odpowiednio – przedmiotach szkolnych), do których znajduje zastosowanie naturalistyczne rozumienie obiektywizmu i prawdy.

Przypomnijmy: naturalizm jako stanowisko metodologiczne to założenie, że aby dojść do wiedzy pewnej i prawdziwej wystarczy skonfrontować wyobrażenia ze stanem faktycznym; że prawdziwość twierdzeń, wzorów, charakterystyki zjawisk można sprawdzić po prostu za pomocą obserwacji, eksperymentów, pomiarów; że cechy poglądów ludzkich, stosunków między ludźmi i oceny zjawisk można objaśnić równie prosto i jednoznacznie jak właściwości fizyczne przedmiotów, reakcje chemiczne czy wzory matematyczne.

Zatem nauczanie fizyki, chemii, biologii (i podobnie – kształcenie określonych umiejętności w sferze tzw. Wychowania fizycznego czy technicznego) nie może być prostym wzorem dla nauczania historii, literatury ojczystej lub obcej, a nawet – wbrew pozorom – dla nauczania języka ojczystego lub obcego. Albowiem nawet podobna jak w wiedzy matematycznej czy technicznej ścisłość reguł gramatyki nie zmienia faktu, iż język jest wytworem kultury, a więc uwikłany jest w konwencje symboliczne, rytuały, zmienne konteksty znaczenia słów i wyrażeń, których nie można zrozumieć bez zanurzenia się w czynniki aksjologiczne, religijne, ideologiczne, w subkultury itd.

Po trzecie wreszcie, kształcenie w zakresie takich przedmiotów szkolnych jak historia, literatura ojczysta i język ojczysty, wiedza o społeczeństwie itp. nigdy nie jest „czystym" (tzn. w pełni obiektywnym, ideologicznie neutralnym) przekazem wiedzy, lecz zawsze wiąże się z wpajaniem takich czy innych wartości, ideałów i odpowiadających im pozytywnych emocji. Funkcje kształceniowe są tu zrośnięte z wychowawczymi lub wręcz z ideologicznymi. Pozostaje to **kształceniem** o tyle, o ile kształtowanie postaw opiera się na wiedzy (choć i ona uwikłana jest w wybór aksjologiczny), a nie na oddziaływaniach głównie emocjonalnych i rytualnych, zaklęciach, egzorcyzmach. W tym sensie nauczanie historii odwołujące się do faktów, choć uwikłane w ich interpretację, różni się od „nauczania" opartego na mitach i obrzędach.

Ze względu na to nauczyciel historii, literatury, tym bardziej – wiedzy o społeczeństwie, „wychowania do życia w rodzinie" itd. doświadcza w swojej pracy nieuniknionego splotu kształcenia z wychowaniem, wiedzy z przekonaniami i wzorcami moralnymi, ideowymi. To zaś sprawia, że i sam musi być świadomy mechanizmów relatywizacji wiedzy i prawdy w swojej dziedzinie, i powinien taką świadomość wpajać swoim uczniom. Uczyć ich nie złudnej pewności lub... hipokryzji, konformizmu (w reakcji na niezgodność tego, co wie z tym, w co powinien wierzyć), lecz umiejętności radzenia sobie z problemem oceny i wyboru odmiennych i sprzecznych informacji oraz poglądów.

Nauczanie czy pranie mózgów?

Jeśli ten warunek nie jest spełniony, to wyrządza się uczniom i wychowankom krzywdę, gdyż w drodze do samodzielnego życia i dojrzałości społecznej, obywatelskiej zostają pozbawieni umiejętności zachowywania krytycznego dystansu do sprzecznych informacji i ich interpretacji, do nieuniknionych w społeczeństwie różnic poglądów, do własnych emocji związanych z takim czy innym wyznaniem wiary[1], do samodzielnego myślenia i dokonywania wyboru, do racjonalnego i spójnego uzasadniania własnych przekonań[2]. A zamiast tego wpaja im się rzekome „oczywistości" tam, gdzie

[1] O znaczeniu dystansu zarówno w procesach poznawczych, jak i w ocenach estetycznych i moralnych, w decyzjach ludzkich traktuje książka: J. Kurowicki, *Pochwała dystansu*, Warszawa 2000.

[2] Szkoła współczesna wiele by zyskała, gdyby uczniowie rozwiązywali takie zadania i ćwiczyli takie umiejętności, o jakich mowa jest w klasycznych podręcznikach czy poradnikach retoryki i erystyki - zwłaszcza takich jak: T. Pszczołowski, *Umiejętność przekonywania i dyskusji*, w licznych wznowieniach, ostatnio: Gdańsk 1998.

prawda historyczna lub np. doktryna prawnoustrojowa jest przedmiotem sporów, gdzie kryteria oceny wartości dzieł literackich i artystycznych są zrelatywizowane i zmienne historycznie itd. Co więcej, wmawia im się samo w sobie złudne „poczucie oczywistości"[3], które jest zaprzeczeniem namysłu, dociekliwości, umysłowej czujności. I tym samym zostaną zaprogramowani na bezkrytyczne przyjmowanie tego, co później im się „wciska" albo na równie niemądrą obojętność i brak elementarnej ciekawości („mnie tam wszystko jedno, jak jest, o co się kłócą, kto ma rację, byle mi głowy nie zawracali").

Uczeń przyzwyczajony nie do dyskusji, nie do zmierzenia się z wątpliwościami lub alternatywami, lecz do konsumpcji gotowych, zamkniętych i danych raz na zawsze formuł, oswojony z tresurą (wysłuchaj, przeczytaj, powtórz, zapamiętaj) to w przyszłości, już w dorosłym życiu rodzinnym, zawodowym i obywatelskim staje się bezmyślnym odbiorcą najbardziej nawet prymitywnej propagandy, demagogii. Albo kandydatem na obojętnego świadka wielkich sporów ideowych i debat publicznych, które go dotyczą, lecz których sensu i znaczenia nie rozumie (ba, wydaje mu się, że są niepotrzebne, skoro wszystko z góry jest jasne, względnie wszystko wyjaśnią „jedyne" – dla niego – autorytety).

Taki jest – destrukcyjny społecznie – rezultat kształcenia zwłaszcza wtedy, gdy ideologiczne zaprogramowanie wiedzy humanistycznej i społecznej jest maskowane przez pozory... obiektywizmu, ścisłości i jednoznaczności analogicznej jak w sferze wiedzy matematycznej, fizycznej czy nawet geograficznej. Wprawdzie wtedy wiedza przekazywana jest z założenia stronnicza, sam przekaz ma charakter nawet natrętnie tendencyjny, ale można indoktrynację przemycać w formie „scjentystycznej", podając ją w takim opakowaniu, jak gdyby treść programów, wykładów, lekcji, warsztatów, zadań domowych polegała – rzekomo – wyłącznie na ustaleniu i opisaniu faktów, z klasycznym założeniem, iż „o faktach się nie dyskutuje".

Mitologia faktów

Nie ma chyba większego fałszu, niż to właśnie założenie. O faktach jak najbardziej się dyskutuje – i to również w sferze badań, teorii, a potem podręczników z zakresu nauk przyrodniczych, technicznych, a tym bardziej w sferze wiedzy o człowieku jako istocie społecznej i społeczeństwie. U podstaw tego fałszywego „aksjomatu" leży potoczna, lecz wygodna dla ideologów, percepcja i definicja faktów jako tego, co „po prostu jest" (i nikt temu nie zaprzeczy), a to, jakie jest, jest łatwe do ustalenia, sprawdzenia, a gdy już ktoś tego raz dokonał, nie podlega to dyskusji, staje się oczywistością.

„Fakty" nie są dosłownie i wyłącznie tym samym co zjawiska określane w taki czy inny sposób przy użyciu pewnych słów i wyrażeń. Są raczej próbką, sondą stanów czy zdarzeń badanych, np. wskaźnikiem pewnych cech lub tendencji domniemywanych – przy tym od razu poddaną... określonej interpretacji, przypisaną do pewnych hipotez, dopasowaną do wcześniejszych wyobrażeń o zjawiskach powiązanych itd. Zapytajcie o to choćby archeologów. Żadne wykopalisko, zwłaszcza w szczątkach, nie jest samo przez się oczywiste; poznanie zjawiska po odkryciu jego „reprezentacji" dopiero na dobre się zaczyna! Interpretacja znalezisk archeologicznych bynajmniej nie przypomina puzzli czy kostki Rubika (gdzie próbujemy odgadnąć elementy jeszcze nieznane, ale wynik końcowy może być tylko jeden). Zresztą, tylko niektóre odkrycia są dosłownie przypadkowe i otwierają nowe pola do badań; wiele z nich to szczęśliwy rezultat ukierunkowanych wcześniej poszukiwań.

I przede wszystkim trzeba mieć świadomość, iż obraz pewnych zjawisk obdarzony śmiałą nazwą faktu jest wycinkiem rzeczywistości, a tym samym efektem dokonanej selekcji[4]. Jest rezultatem uznania, że to czy tamto jest bardziej istotne, abstrahowania od innych zjawisk powiązanych.

Doskonałą egzemplifikacją tego jest fotografia. Tylko ktoś naiwny może mieć absolutną i niepodważalną pewność, że wie np., jak coś (ktoś) wygląda, jak przebiegało uwiecznione na zdjęciu zdarzenie tylko na tej podstawie, że widzi pewien obraz w kadrze, na zdjęciu. Ewentualnie jeszcze wspiera się absolutnym zaufaniem do fotografa, któremu przypisuje profesjonalizm, rzetelność, wiarygodność. Nie widzi przecież tego, co poza tym widzi (lecz niejako „odcina") fotograf. A przecież fotograf dokonuje selekcji obrazu i ustala jego parametry (w tym wypadku: jasność, kontrast, kąt ujęcia, szerokość obiektywu) zarówno świadomie i rozmyślnie, jak i czasem, nie zastanawiając się nad tym co pomija i w obrazie zjawiska czyni niebyłym[5].

Otóż podobnie jak fotografia (nawet taka jak zdjęcie do paszportu czy dzieło fotoreportera, a nie tylko fotografia artystyczna) nie jest po prostu pełnym i całkowicie miarodajnym wizerunkiem osoby, obrazem zdarzenia lub stanu rzeczy, tak nie jest nim również i tym bardziej być nie może kronika historyczna, reportaż, pamiętnik, sprawozdanie na żywo z meczu.

Już z tego powodu od dziesięcioleci metodolodzy nauk humanistycznych i społecznych nakazują uczonym wyspecjalizowanym w badaniach empirycznych ostrożność w formułowaniu hipotez, a tym bardziej mocnych stwierdzeń, uogólnień, zalecają pokorę w podejściu do tego, co wydaje się uchwycone naocznie lub „już wystarczająco zbadane". Zalecają badaczom nie tylko konfrontację własnych poglądów na temat badanego zjawiska z sądami odmiennymi, ale, co więcej, własne poszukiwania innych źródeł lub innych danych niż te, które już kuszą nas chęcią „zamknięcia sprawy", uznania wiedzy za pewną[6]. Nieustannie powraca tu maksyma Kartezjusza, ulubiona również przez Marksa (choć później

[3] Poczucie „oczywistości" jest cechą charakterystyczną myślenia potocznego – zob. na ten temat: T. Hołówka, *Myślenie potoczne*, Warszawa 1986. A w naukach społecznych przejawem ulegania schematom potocznym – por. J. Kurowicki, *Wyprawa w krainę oczywistości*, Wrocław 1978.

[4] Zob. E. Fromm, *Rewolucja nadziei. Ku uczłowieczonej technologii*, Poznań 1996, s. 79-80; T. Szczurkiewicz, *Systemotwórstwo, faktolatria i fakty*, [w:] St. Kozyr-Kowalski, A. Przestalski, J. Włodarek (red.), *Krytyka rozumu socjologicznego*, Poznań 1997.

[5] Zob. J. Kurowicki, *Wartości estetyczne fotografii (wstęp)*, Wrocław 2002.

[6] Do poznawczych walorów sceptycyzmu odnosi się książka: P. Berger, A. Zijderveld, *Pochwała wątpliwości. Jak mieć przekonania i nie stać się fanatykiem*, Kraków 2010.

zignorowana przez dogmatycznych wyznawców marksizmu), mianowicie: *de omnibus dubitantum* (we wszystko należy powątpiewać).

Dodajmy wreszcie, iż nie tylko nie istnieją fakty „same w sobie" (które można uchwycić i zrozumieć w oderwaniu od całości, jakiej są elementem, od kontekstu ich występowania), a dotyczy to zwłaszcza faktów społecznych, ale i fakty rozumiane na takiej zasadzie jak w megalomańskich komentarzach dziennikarza Maxa Kolonko („mówię, jak jest"). Pan Max mówi nie tyle „jak jest", ile jak mu się zdaje, że tak jest. I polega to nie tylko na tym, że swoje informacje uznaje za wyczerpujące i bezdyskusyjne, ale i na tym, że ich interpretację uznaje za fakty.

Zarówno naukowiec z prawdziwego zdarzenia, dziennikarz obdarzony samoświadomością zawodową, a uczciwy w stosunku do czytelników czy słuchaczy, jak i uczciwy nauczyciel wie, iż przekaz informacji o zdarzeniach społecznych, procesach historycznych, poglądach ludzi, sporach ideowych, zakresie obowiązywania norm prawnych itd. nie jest po prostu sumą danych (liczb, dat, cytatów – tu uwaga: cytat jest zawsze „wyrywkiem" z jakiejś całości nieznanej w pełnej wersji odbiorcom), lecz informacją oprawioną w interpretację, obramowaną pewnymi skojarzeniami i regułami interpretacji właśnie.

Złudzenie o tzw. „nagich faktach" pryska nawet wtedy, gdy operujemy statystyką. Właśnie „żonglowanie statystyką" należy do najbardziej znanych i popularnych form manipulacji[7].

Statystyczne (liczby, wskaźniki) czy kronikarskie (daty, nazwiska) szczegółarstwo jest pozorną formą obiektywizacji i jednoznaczności wiedzy samej w sobie, jak i przekazu wiedzy. Z kolei w sprawdzianach wiedzy (zwłaszcza – wiedzy humanistycznej – filozoficznej, politycznej) równie pozorną formą obiektywizacji są testy. Mogą one być użyteczne np. jako element egzaminów na prawo jazdy (choć sam wynik testu, nawet najlepszy, jeszcze nie gwarantuje potwierdzenia określonych predyspozycji do roli kierowcy), ale w przypadku sprawdzianów wiedzy humanistycznej często okazują się tresurą konformizmu. Zresztą, testowe schematy poprawności odpowiedzi paraliżują nawet – jak wiadomo – maturzystów piszących wypracowania i nauczycieli oceniających. Nagradzana jest wtedy nie wyobraźnia, samodzielność i oryginalność myślenia, lecz właśnie standardowość, powtarzanie formuł już od dawna zbanalizowanych, a poszukiwania własne narażają uczniów ambitnych i kreatywnych na oceny niższe niż ich leniwych umysłowo lub konformistycznych kolegów.

Chłonność gąbki – bez filtru

Jakie stąd wnioski płyną dla nauczycieli? Podpowiada je dziś analiza – raczej bulwersująca – tak zwanych faktów medialnych[8] w mediach klasycznych oraz internetowych form informacji i komunikacji. Przytłaczający jest zalew „śmieci" (pseudoinformacji, parainformacji[9], fakenewsów), blogowej grafomanii, infantylnej i ekshibicjonistycznej autopromocji (zobaczcie moje kolejne *selfie*), wreszcie – internetowego hejtu. Z jednej strony, trudno nie przyznać, iż epidemia takich zjawisk jest nieunikniona w warunkach wielości źródeł informacji i niemal nieograniczonej swobody rozprzestrzeniania różnorakich treści oraz dostępu do tych źródeł. A nieodpowiedzialności sprzyja anonimowość i atmosfera „lajkowych" rekordów. Z drugiej strony, trudno też nie zauważyć, iż większość młodych ludzi zanurzonych w tym internetowym świecie, nierzadko uzależnionych, nie została w edukacji szkolnej wyposażona w broń refleksyjności, krytycznego dystansu, umiejętności oceny ważności i miarodajności informacji i „wiadomostek", selekcji, odróżniania danych od ocen, oceny wiarygodności źródeł. I przede wszystkim – umiejętności wyrabiania sobie zdania w drodze i na podstawie porównywania różnych informacji z wielu różnych, a niezależnych od siebie źródeł (nie tylko z jednego, któremu się wierzy na kredyt), porównywania różnych poglądów, logicznej i merytorycznej oceny wartości argumentów.

Mylą się tacy nauczyciele – lub ich polityczni i ideologiczni mocodawcy – którzy sądzą (łudzą się), iż jednostronna, jednowymiarowa i natrętnie perswazyjna forma nauczania wiedzy o historii, religii, ustroju państwowym, dziełach sztuki i literatury może – pod warunkiem dostatecznie efektywnej metodyki kształcenia i wychowawczego natręctwa w kształceniu – trwale uformować osobowość i postawę obywatelską ogółu uczniów. Tak toporna pedagogika jest skuteczna tylko na krótką metę, gdyż uczniowie i wychowankowie pod wpływem własnych doświadczeń życiowych „trzeźwieją", a wielu z nich już wcześniej reaguje na narzucane treści przekorą. I nie trafia do wszystkich, lecz tylko do części młodzieży, przejawiającej predyspozycje do postaw dogmatycznych, a nawet fanatycznych. Pozostali – o ile nie pozostaną obojętni na jakiekolwiek późniejsze oddziaływania polityczne i ideologiczne – będą podatni raz na takie, innym razem na jeszcze inne, nawet przeciwstawne tendencje w propagandzie i w demagogii. Z uczniów po takiej szkole może nawet wyrosną sprawni inżynierowie, lekarze, biznesmeni, kierowcy taksówek, geodeci, ale raczej kiepscy obywatele, materiał na sterowną szarą masę.

Mirosław Karwat *– prof. dr hab., politolog, Kierownik Zakładu Filozofii i Teorii Polityki w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, członek Komitetu Nauk Politycznych PAN.*

[7] W parodystycznej formie ukazał to Jarosław Haszek w opowiadaniu *Jak pisałbym artykuły wstępne, gdybym był redaktorem organu rządowego*; zob. J. Hašek, *Tasiemiec Księżnej Pani*, Kraków 2009.

[8] Por. M. Karwat, *O karykaturze polityki*, Warszawa 2012; fragment pt. *Fakty medialne*.

[9] Kryteria rozróżnienia informacji oraz pseudoinformacji, parainformacji, quasi-informacji zawiera monografia sprzed lat: M. Mazur, *Cybernetyka i charakter*, Warszawa 1976, rozdz. 7.

Marek Zagajewski

PÓŁDEMOKRACJA

Amerykańska preambuła

Nazwa „półdemokracja" na pierwszy rzut oka być może wygląda nieco dziwacznie, ale już na przykład wyraz „półkolonia" od dziesięcioleci występuje w powszechnym obiegu w pełnej zgodzie z duchem języka polskiego. W tym kontekście termin „półdemokracja" może uzyskać prawo obywatelstwa w dyskusji wokół współczesnego załamania mechanizmów ludowładztwa nie tylko w naszej lokalnej, ale i światowej skali. W sporach dotyczących kryzysu demokracji pojawiają się rozmaite „półprawdy", co językowo także autoryzuje często stosowaną także w wielu innych przypadkach „połówkową" terminologię, która brzmi znacznie lepiej niż osławiona „post-prawda" czyli prawda częściowa, a nazywając wprost – fałsz.

Z „półdemokracją" mamy do czynienia wówczas, gdy w ramach szeroko uprawianej praktyki politycznej mniej lub bardziej masowe siły społeczne, jak i struktury władzy, w tym także wielobarwna opozycja, podejmują szereg działań, postępując zgodnie z regułami demokratycznymi, aby świadomie je „obchodzić" w celu formowania ładu ustrojowego o wyraźnie autorytarnym charakterze. W tym sensie półdemokracja oznacza taki proces modyfikacji i przekształcania demokratycznych instytucji za pomocą właściwych im mechanizmów, aby nie doprowadzając do ich totalnego odrzucenia, ustanowić użyteczne narzędzia nowego typu *quasi*-ludowładztwa. (Por. Iwan Krastew, *Demokracja: przepraszamy za usterki*, przeł. Michał Sutowski, Warszawa 2015; Edward Karolczuk, „O sprzecznościach powszechnego prawa wyborczego", w: *Antynomie i paradoksy współczesnej demokracji*, red. Marcin Tobiasz, Warszawa 2016, s. 99-118.).

Dobrym przykładem aktualnych sprzeczności demokracji może być sytuacja, która ostatnio ma miejsce w Stanach Zjednoczonych, rzekomej ojczyźnie współczesnej demokracji, gdzie po raz pierwszy doszło do niezwykle stanowczego zakwestionowania przez część elit i masowych ruchów społecznych rezultatu demokratycznych wyborów prezydenckich. Zaskakuje nie tylko skala protestów społecznych, lecz przede wszystkim ich niezwykle agresywny charakter z udziałem skoordynowanego wsparcia świata wiodących mediów. Po raz pierwszy kluczowym problemem stała się kwestia wpływu obcego państwa na przebieg kampanii wyborczej, natomiast nie pojawił się standardowy zarzut sfałszowania wyniku wyborów.

Antytrumpowska opozycja zgodnie z prawdą argumentuje, że konkurentka Trumpa uzyskała w skali kraju parę milionów głosów więcej niż zwycięski prezydent. Problem tkwi jednak w tym, że obowiązująca w Stanach Zjednoczonych prezydencka ordynacja nie odnosi się do wyborów powszechnych, jak na przykład w Polsce, lecz do wyboru stanowych elektorów. Innymi słowy, jak dzisiaj można bez trudu ocenić, Trump prowadził zwycięską kampanię wyborczą nacelowaną na wybór sprzyjających mu elektorów, gdy tymczasem konkurencyjny komitet wyborczy Hillary Clinton skoncentrował się na uwieńczony bezprzedmiotowym sukcesem rezultat w bezpośrednich wyborach powszechnych. Rodzimi amerykaniści powinni zatem objaśniać szerokiej publiczności, że Stany Zjednoczone są w istocie państwem o ustroju federacyjnym i wybór prezydenta tejże „federacji", dzięki elektorskiemu zapośredniczeniu, ma sprzyjać „zjednoczeniu" obywateli zamieszkujących około półsetki stanów, czyli swego rodzaju „państw", w jedną zintegrowaną strukturę ustrojową, także na stanowym poziomie. Temu celowi służą też wybory do senatu, w których każdy stan bez względu na liczbę mieszkańców i rozmiar terytorium ma do obsadzenia dwa fotele.

Przy tej okazji warto podkreślić, że demokracja amerykańska ma w istocie tylko umownie „partyjny" charakter, ponieważ obywatel USA uczestniczy w wyborach jako zarejestrowany wyborca określonej partii w biurze, która w praktyce funkcjonuje jedynie jako komitet wyborczy i frakcja partyjna zarówno w parlamencie federalnym, jak i w stanowych organach władzy ustawodawczej. W tych warunkach funkcje partii politycznych w naturalny sposób przejmują media i rozmaite ruchy społeczne, które także koncentrują swoją działalność na rozlicznych stanowych i federalnych kampaniach wyborczych.

W każdym razie, ponieważ nie udało się podważyć prawomocności zwycięstwa Trumpa, amerykańskie służby specjalne musiały zrezygnować z posłużenia się na rodzimym gruncie perfekcyjnie opracowaną i wielokrotnie wykorzystywaną technologią prowadzenia kampanii politycznych przeciwko domniemanemu czy faktycznemu fałszowaniu wyborów parlamentarnych lub prezydenckich w różnych krajach. W tej sytuacji służby poszły utartym tropem wprowadzenia do obiegu publicznego „rosyjskiego śladu", zarzucając wprost Putinowi wręcz osobisty udział w manipulowaniu przebiegiem kampanii wyborczej na rzecz wyboru Trumpa. Chodziło o to, aby wmówić opinii publicznej, że chociaż rządzi w Stanach prawomocnie wybrany prezydent, to jednak zawdzięcza on swoje zwycięstwo silnym wpływom wrogiego

państwa. I tak modelowa w światowym wymiarze demokracja amerykańska okazała się być demokracją „ze skazą", a takoż i jej prezydent.

Demokracja „kontraktowa"

Właściwe półdemokracji mechanizmy polityczne niemal w podręcznikowym wydaniu zostały zastosowane w naszym kraju w „częściowo" wolnych wyborach parlamentarnych w czerwcu 1989 roku. Sekwencji zdarzeń zaczyna się Okrągłym Stołem, którego obrady, toczące się od poniedziałku 6 lutego do środy 5 kwietnia 1989 roku, z udziałem pięćdziesięciu ośmiu uczestników stały się doskonałym kamuflażem dla negocjacji – w willi na Zawracie, Magdalence, siedzibie Episkopatu i tak dalej – dotyczących „kontraktowych" wyborów do parlamentu. Przedstawiciele władz i opozycji ustalili dwie tury wyborów parlamentarnych 4 czerwca i 18 czerwca, dając zaledwie dwa miesiące czasu na kampanię wyborczą.

Podstawą wyborczego „kontraktu" było „zagwarantowanie" sobie w Sejmie przez partyjny blok rządzącej koalicji na czele z PZPR 299 mandatów, czyli 65 procent spośród 460 foteli sejmowych. Natomiast pozostałych 161 sejmowych mandatów i 100 senackich miało być obsadzonych w wyniku „konkurencyjnych" wyborów reguły większościowej.

Po niemal trzydziestu latach, będący wówczas senatorem świadek tamtych wydarzeń, Karol Modzelewski trafnie przedstawił złudną wiarę ówczesnej partyjnej ekipy rządzącej w moc ordynacji wyborczej, która miała na zasadzie „arytmetycznej większości" niejako automatycznie zapewnić jej dalsze sprawowanie władzy. Jego zdaniem „wprawdzie oddano z góry ilość mandatów do dyspozycji poszczególnych partii, ale zarazem obsadzenie tych mandatów oddano do dyspozycji wyborców. Wprawdzie nie rywalizowano między ugrupowaniami, ale w obrębie ugrupowań – jak najbardziej. Wyglądało to tak, że odbyły się konferencje wojewódzkie, na których wybierano kandydatów, zgodnie ze zdrowym rozsądkiem politycznym po jednym na mandat. Po czym oddano ogółowi wyborców prawo do umieszczenia na tych listach kontrkandydatów, byleby tylko mieli legitymacje partyjne. Ci wszyscy kontrkandydaci na ogół powygrywali. W związku z tym to byli ludzie, którzy czuli się lojalni nie wobec sekretarza, tylko wobec wyborców. Czyli – z góry dyscyplina polityczna podmiotów, które miały stanowić większość, była podważona". [*Modzelewski – Werblan. Polska Ludowa*, rozmawia Robert Walenciak, Warszawa 2017, s. 523].

W efekcie doszło do politycznej katastrofy. Partia przegrała wybory do Senatu – poza Henrykiem Stokłosą wszystkie miejsca objęli kandydaci Komitetu Obywatelskiego „Solidarność", podobnie jak 161 „wolnych" mandatów sejmowych. Tenże Komitet doprowadził do klęski w pierwszej turze kandydatów z listy krajowej koalicji rządzącej; spośród nich zwyciężyło tylko dwóch, przez co nie obsadzono 33 foteli sejmowych. W konsekwencji doszło do zmiany ordynacji w trakcie wyborów w celu przeprowadzenia niezapisanej ustawowo drugiej tury wyborów nowych kandydatów na liście krajowej. Wreszcie Komitet znacząco wpłynął na wyborcze sukcesy alternatywnych wobec osób posiadających oficjalne rekomendacje partyjne kandydatów w puli mandatów zagwarantowanych dla rządzącej koalicji.

Wyniki i przebieg wyborów doprowadziły do upadku dyscypliny partyjnej i w konsekwencji do rozpadu opartej na sojuszu PZPR, ZSL i SD koalicji rządzącej. Czesław Kiszczak musiał zrezygnować z funkcji premiera, ale też mimo propagandowej hucpy nie udało się Tadeuszowi Mazowieckiemu powołać pierwszego „niekomunistycznego" rządu, skoro w nim aż się roiło od członków PZPR, których posądzanie o komunizm byłoby w najwyższym stopniu obraźliwe. Należy przy tym uznać za niegodne przemilczanie powojennego, chociaż krótkotrwałego, równie „niekomunistycznego" rządu z udziałem wicepremiera Stanisława Mikołajczyka, którego nie sposób podejrzewać o przekonania komunistyczne, chociaż jego kolegami ministrami byli liczni peperowcy. I na koniec, uzgodniony uprzednio na najwyższym szczeblu, wybór Wojciech Jaruzelskiego na prezydenta stanął pod znakiem zapytania.

Można zatem stwierdzić z dużą dozą optymizmu, że z punktu widzenia demokracji mimo kiepskiej pozycji wyjściowej, ludowładztwo odniosło w wyborach 1989 roku szereg ważkich sukcesów. Modzelewski trafnie zwrócił uwagę na kluczowy moment nowej sytuacji politycznej, gdy podkreślił kwestię lojalności demokratycznie wybranych reprezentantów wobec wyborców zamiast swoich politycznych mocodawców. Doszło do tego w rezultacie sejmowych wyborów w bloku „wolnych" mandatów, gdzie posłużono się większościową ordynacją, częściowo posiłkując się technicznymi regułami z obszaru jednomandatowych okręgów wyborczych do Sejmu. Elity polityczne wszystkich odcieni dobrze zapamiętały tę lekcję demokracji i na wszelkie pachnące JOW-ami [Jednomandatowe Okręgi Wyborcze – red.] trendy roztropnie reagują alergicznie z pełną świadomością groźnych skutków, do jakich może doprowadzić lojalność posłów wobec swoich wyborców zamiast partyjnych aparatczyków.

Amerykańskie „liczenie głów"

Mimo poważnych komplikacji Wojciech Jaruzelski 19 lipca 1989 roku został wybrany na Prezydenta PRL przez Zgromadzenie Narodowe głosami 269 posłów z ramienia PZPR, ZSL, SD, Polskiego Związku Katolicko-Społecznego, Unii Chrześcijańsko-Społecznej i Stowarzyszenia PAX oraz jednego senatora z ramienia PZPR. Jaruzelski otrzymał więc 270 głosów na 537 możliwych i uzyskując wymaganą większość został prezydentem. Wiadomo było, że zwolennicy wyboru Jaruzelskiego będą musieli się liczyć z perspektywą łamania dyscypliny partyjnej przez wielu parlamentarzystów rządzącej koalicji, co spowoduje, iż staną się mniejszością w liczącym 460 posłów i 100 senatorów Zgromadzeniu Narodowym. Wybranie Jaruzelskiego na prezydenta wymagało uzyskania w Zgromadzeniu względnej większości 50 procent głosów plus 1, czyli w tych warunkach nieosiągalnych dla jego zwolenników 281 głosów, chociaż formalnie koalicja rządząca miała w swej dyspozycji 299 parlamentarzystów. Jednak, dzięki nieformalnemu wsparciu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego i poddaniu się przez część parlamentarzystów solidarnościowej proweniencji pewnym kombinacjom, Jaruzelski został wybrany na prezydenta dwoma głosami.

Karol Modzelewski po latach przyznał, iż wówczas uważał, „że bezpieczniej będzie, jak jednak Jaruzelski zostanie

wybrany". Ale nie kryje, że jako senator nie odważył się „głosować na Jaruzelskiego, choć jak wiadomo byli tacy, którzy się odważyli oddać głos nieważny, oraz, bardzo zabawne, było dwóch takich, którzy wyszli z sali. Jeden to był Marek Jurek, a drugi, to był Zdzisław Nowicki, senator z województwa pilskiego. I w rezultacie Jaruzelski przeszedł. […] Uszanujmy arytmetykę, dwoma głosami przeszedł. Chociaż się mówi, że jednym. […] W każdym razie Jaruzelski wygrał dwoma głosami, dzięki nieformalnemu poparciu dwóch parlamentarzystów OKP. Dwóch! Stelmachowskiego i Wielowieyskiego. […] W każdym razie głosy nieważne oddali ci, którzy mieli bardzo mocne papiery w Kościele. Stelmachowski, Wielowieyski. Marek Jurek wyszedł z sali. Formalnie Jurek i Nowicki uzasadnili, że nie mogą brać udziału w wyborze, w którym jest tylko jeden kandydat". [Tamże, s. 525].

Wybory opierały się na takiej zasadzie, że do tych parlamentarzystów, którzy głosowali „za" realnie dołączali zarówno ci, którzy oddawali głosy nieważne, jak i ci głosujący, którzy wychodząc z sali, w ogóle nie głosowali, przez co faktycznie zmniejszali *quorum,* od którego wysokości liczono względną większość 50 procent głosów plus 1. W efekcie głosy korzystne dla Jaruzelskiego pochodziły nie tylko z grupy jego zwolenników, ale także od drugiej grupy parlamentarzystów oddających głosy nieważne i trzeciej złożonej z osób niegłosujących z powodu opuszczenia sali obrad. Natomiast po drugiej stronie barykady pozostali przeciwnicy Jaruzelskiego oraz wstrzymujący się od głosu uczestnicy wyborów, co powodowało z kolei podwyższenie poziomu *quorum*.

W efekcie solidny udział w wyborze Jaruzelskiego na prezydenta miało jedenastu parlamentarzystów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, którzy nie wzięli udziału w głosowaniu. W tym gronie znalazło się szereg ciekawych postaci posłów, takich jak Paweł Chrupek, Adela Dankowska, Marek Jurek, Lech Kozaczko, Jerzy Pietkiewicz, Maria Stępniak i Henryk Wujec, czy senatorów jak Zdzisław Nowicki, Krzysztof Pawłowski, Andrzej Szczepkowski i Mieczysław Ustasiak.

Jak widać, ostatecznie wybór Jaruzelskiego umożliwiła postawa części parlamentarzystów OKP, którzy głosowali za jego kandydaturą lub zbojkotowali głosowanie. Jednak decydujący wpływ na bieg zdarzeń miała interwencja rządu Stanów Zjednoczonych. W tym celu ambasador USA John R. Davies spotkał się 22 czerwca na obiedzie z wąską grupą liderów „Solidarności" w perspektywie zbliżającej się lipcowej wizyty prezydenta George'a H.W. Busha, by pomóc w wyborze uzgodnionej z Gorbaczowem kandydatury Jaruzelskiego na prezydenta PRL. Wobec oporu solidarnościowych słuchaczy przedstawił im szeroko stosowaną w amerykańskich kampaniach wyborczych technikę „liczenia głów" i możliwości jej zastosowania w wyborach prezydenckich. Amerykański dyplomata przekonywał rozmówców do zorganizowania kontrolowanego bojkotu prezydenckich wyborów przez przedstawicieli solidarnościowej „opozycji" w formie wstrzymania się od głosu, czy nawet rezygnacji z udziału w głosowaniu. To stanowisko świetnie dokumentuje warszawska depesza ambasadora Davisa.

„Warszawa, 23 czerwca 1989 – ambasador Davis do sekretarza stanu w sprawie możliwych trudności z uzyskaniem w parlamencie większości głosów niezbędnej do wyboru Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta

Tajne
Od: ambasada w Warszawie
Do: sekretarz stanu w Waszyngtonie, Biały Dom, ambasada w Moskwie, ambasada w Budapeszcie, ambasada w Bukareszcie
Temat: Jak przeprowadzić wybór Jaruzelskiego nie głosując na niego i czy będzie on startował?

Streszczenie: Większość przywódców »Solidarności« jest zdecydowanie przekonana, że jeśli kraj ma uniknąć wojny domowej, Jaruzelski musi zostać wybrany na prezydenta. Są oni jednak bardzo niechętni do głosowaniu na niego i chętnie słuchają sugestii, jak sprawę przeprowadzić, aby uniknąć takiej konieczności. Jaruzelski nie zdecyduje się kandydować, jeśli nie będzie miał pewności, że – mimo prawdopodobnego wyłamania się niektórych posłów komunistycznych i sojuszniczych – wystarczy głosów do jego wyboru. W przededniu wizyty prezydenta Busha sytuacja jest niepewna i niezmiernie delikatna. **Koniec streszczenia.**

Większość liderów »Solidarności«, z którymi rozmawialiśmy w ostatnich dniach, jest przekonana (w różnym stopniu) do następujących tez:

A. Jeśli Jaruzelski nie zostanie wybrany na prezydenta, istnieje autentyczna groźba wojny domowej, która skończyłaby się, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, podjętą niechętnie, ale brutalną, interwencją radziecką.

B. Wszyscy kandydaci »Solidarności« zostali zmuszeni w toku kampanii, aby publicznie obiecać, że podczas wyborów prezydenta nie oddadzą głosu na Jaruzelskiego.

C. Koalicja rządząca dysponuje wystarczającą liczbą głosów do jego wyboru. Z jej strony spotykają go jednak nieprzyjemne niespodzianki. Prawdopodobnie będzie głosować przeciwko niemu albo wstrzyma się od głosowania z jednej strony nawet czterdziestu do pięćdziesięciu posłów ZSL i SD, a z drugiej – partyjni twardogłowi, pragnący go ukarać za poniżenie wyborcze partii.

D. Mimo że nigdy nie zawarto w tej sprawie umowy na piśmie, przy Okrągłym Stole zapadło milczące porozumienie, że »Solidarność« uzyska zgodę na wolne wybory do Senatu, a [w zamian za to] Jaruzelski na sześć lat zostanie prezydentem.

Wiele osób załamuje ręce wobec panującej sytuacji, nawet niektórzy solidarnościowi senatorowie deklarują, że jeśli jest to konieczne dla ratowania kraju, oddadzą głosy na Jaruzelskiego, chociażby oznaczało to koniec ich karier politycznych, zanim jeszcze te kariery zdążyły się naprawdę rozpocząć.

Wczoraj wieczorem zjadłem obiad w towarzystwie kilku czołowych parlamentarzystów »Solidarności«, których nazwiska nie powinny zostać ujawnione, i pokrótce wynotowałem dla nich na odwrocie pudełka zapałek kilka liczb. Wprowadziłem ich również w arkana zachodniej praktyki poli-

tycznej znanej jako »liczenie głów«. Obliczenia wykonane na pudełku od zapałek wykazały, że połączone Sejm i Senat liczą łącznie 560 miejsc. Rządząca koalicja dysponuje 299, »Solidarność« 260, jest również jeden parlamentarzysta niezależny [senator Henryk Stokłosa, wybrany w województwie pilskim – przypis red]. Kworum wymagane przy wyborze prezydenta wynosi dwie trzecie członków obu izb, do wyboru niezbędna jest większość głosów. *Ergo*, jeśli znaczna liczba (nawet 185) senatorów i posłów »Solidarności« zachoruje albo z innych przyczyn nie będzie mogła wziąć udziału w głosowaniu, wciąż nie zabraknie kworum do jego przeprowadzenia, a większość, jaką będzie dysponowała koalicja, wzrośnie na tyle, że tylko naprawdę masowe łamanie dyscypliny partyjnej przez jej parlamentarzystów mogłoby uniemożliwić wybór Jaruzelskiego. Solidarnościowi posłowie i senatorowie obecni podczas wyborów będą mogli bezpiecznie wstrzymać się od głosu. [Ostatecznie jeden parlamentarzysta OKP głosował za generałem Jaruzelskim, siedmiu oddało głosy nieważne, a jedenastu nie wzięło udziału w głosowaniu, co pozwoliło uzyskać większość do wystarczającą do jego wyboru. – przypis red.].

Moi rozmówcy na odchodnym stwierdzili, że wyliczenia były naprawdę interesujące, ciągle jednak pozostałby otwarty problem skłonienia wystarczająco licznej grupy parlamentarzystów, aby nie wzięli udziału w głosowaniu.

Są jeszcze dalsze komplikacje. Jeden z bliskich doradców Jaruzelskiego powiedział mi wczoraj, że generałowi bardzo zależy, aby nie »przeczołgać się« do prezydentury. Ze zrozumiałych względów bardzo niechętnie przyjąłby kolejne publiczne poniżenie po porażce partyjnych reformatorów listy krajowej w pierwszej turze wyborów. W związku z tym Jaruzelski sam liczy głosy i jeśli obliczenia nie wypadną pomyślnie, może nie zdecydować się na kandydowanie". [*Ku zwycięstwu „Solidarności". Korespondencja Ambasady USA w Warszawie z Departamentem Stanu, styczeń – wrzesień 1989*. Przedmowa John R. Davis Jr. Wstęp i wybór Gregory F. Domber. Opracowanie: Gregory F. Domber, Mariusz Jastrząb, Andrzej Paczkowski, Paweł Sowiński. Warszawa 2006, s. 270-272].

Dyktatura demokracji

Konkluzje nasuwają się same. Przede wszystkim okazało się, że szyld demokracji stanowi bardzo wygodne przykrycie dla autorytarnych zgodnych decyzji i działań elit władzy pozornie tak przeciwstawnych państw, jak ZSRR, a później Rosja, i USA. Rząd Stanów Zjednoczonych tak dalece zaangażował się w realizację planu ustanowienia Jaruzelskiego prezydentem PRL, że wziął w nim udział osobiście prezydent USA. George H.W. Bush specjalnie przybył do Polski z wizytą oficjalną przed wyznaczonymi na 19 lipca wyborami prezydenckimi i w dniach 9-11 lipca 1989 roku przeprowadził w naszym kraju kampanię promocyjną na rzecz Wojciecha Jaruzelskiego jako jedynego kandydata na prezydenta.

Nie była to zresztą żadna polska osobliwość, ponieważ, jak należy się domyślać, jednym z elementów uzgodnionej amerykańsko-radzieckiej strategii w rezultacie dziewięciu spotkań Gorbaczowa z amerykańskimi przywódcami była zamiana reżimu szefów partii rządzących w krajach radzieckiego bloku na prezydentów państw z wynikającymi stąd jak najdalej idącymi konsekwencjami dla przemian ładu ustrojowego. Jest rzeczą jasną, że miały one w sumie antydemokratyczny charakter, czego dowodem są mniej lub bardziej autorytarne, w sensie antyludowe, metody ich wprowadzania.

Wiadomo, że problem demokracji sprowadza się w istocie do kwestii reprezentacji, która w świetle manipulacji procedurami w prezydenckim procesie wyborczym znakomicie zafałszowuje rzeczywisty stan nastrojów społecznych. Sedno sprawy tkwi w tym, że mimo jawnie zewnętrznej ingerencji w proces wyborczy na korzyść Jaruzelskiego przynajmniej trzech obcych państw (USA, ZSRR i Watykan) nie sposób podważyć demokratycznego charakteru wyboru Jaruzelskiego na stanowisko prezydenta PRL.

Osobny problem stanowi kwestia „legitymizacji" poczerwcowej władzy. Andrzej Werblan zadał sobie trud przybliżonego ustalenia jaka część dorosłej ludności naszego kraju opowiedziała się za „demokratycznym" zwrotem czerwcowym. Z jego obliczeń wynika, „że za listą KO „S" opowiedziało się 36% elektoratu. Dużo mniej niż połowa dorosłej ludności kraju. Nawet jeśli do tego dodamy kilka procent głosujących na inne niż Solidarność ugrupowania opozycyjne, ale i tak wynik będzie poniżej 40%". [*Modzelewski – Werblan. Polska Ludowa*, dz. cyt., s. 528]

Zatem zwycięski obóz „solidarnościowy" został wyniesiony do władzy przez widoczną mniejszość naszego społeczeństwa, która uzyskała w demokratycznych wyborach zadowalający dla siebie, ale nadmierny zakres władzy. W efekcie ta mniejszość społeczeństwa objęła panowanie nad większością, która jej nie popierała i nie uważała za swoją reprezentację. Wbrew oficjalnej ideologii, której kanonem jest przeświadczenie, że demokracja oznacza rządy większości i szanowanie mniejszości okazało się, że rządy demokratyczne sprowadzają się w praktyce do sprawowania władzy przez mniejszość nad większością, przy braku poszanowania interesów szerokich mas ludowych.

Ustrój demokratyczny, jak widać, znakomicie się nadaje do skutecznego sprawowania rządów mniejszości i chociaż wbrew pozorom te rządy nie mają większościowego poparcia społecznego, to jako dyktatura demokracji, w sensie półdemokracji, funkcjonują w postaci realnego politycznego mechanizmu ustrojowego.

Wisienką na torcie jest oczywiście opowieść ambasadora Stanów Zjednoczonych o szeroko stosowanej manipulacji wyborczej znanej jako „liczenie głów", co natychmiast kojarzy się z przypisywanym Stalinowi powiedzeniem, że „nie jest ważne, kto głosuje, ale to, kto liczy głosy". Zatem wygląda na to, że mamy różne sztuczki wyborcze: patent radziecki to „liczenie głosów", amerykański to „liczenie głów". Bezspornie, nie tylko w tym przypadku, produkt *Made in USA* jest po prostu lepszy i sprawdza się także jako towar eksportowy.

Marek Zagajewski *– doktor, filozof, emerytowany pracownik naukowy.*

Jacek Breczko

EPOKI ŻYCZLIWOŚCI I EPOKI WROGOŚCI
(szkic metafizyczny)

Kraina pusta, biała i otwarta
Jak zgotowana do pisania karta.
Czyż na niej pisać będzie palec Boski,
I ludzi dobrych używszy za głoski,
Czyliż tu skryśli prawdę świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
Że trofeami świata są: ofiary?
Czyli też Boga nieprzyjaciel stary
Przyjdzie i w księdze tej wyryje mieczem,
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty,
Że trofeami ludzkości są: knuty?

Adam Mickiewicz, *Droga do Rosji*

Można obecnie – patrząc na rzeczywistość przez nieco przyciemnione okulary – zdiagnozować (po wielokroć opisywanym kryzysie kultury Zachodu) wieloaspektowy kryzys globalny. Nasuwa się przy tym pytanie: „Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?". Skoro mamy tak wielki postęp w nauce i technice, czyli postęp cywilizacyjny (co prawda nierównomiernie rozłożony), to dlaczego w sferze ekonomicznej, a nade wszystko duchowej – religijnej, ideowej, politycznej – narasta jakaś wielka, groźna fala. Uprzejmość polityczną zastępuje polityczna brutalność; dialog zamienia się w monolog; debaty zamieniają się w połajanki; sztuka skłócania jest wyżej ceniona niż sztuka godzenia; szukanie i demaskowanie wroga zastępuje szukanie przyjaciół; ekumenizm jest piętnowany jako przejaw słabości i zdrada prawdy; liberalizm i indywidualizm jest wypierany przez radykalizm i kolektywizm, realną wolność wyprzedaje się za bezpieczeństwo (zwykle iluzoryczne). Krótko mówiąc, na miejsce międzyludzkiej (ale też międzynarodowej i międzykulturowej) życzliwości, sympatii i pokoju wkracza wrogość, podejrzliwość, agresja. Duch otwartości zostaje zastąpiony duchem zamkniętości; znoszenie granic zostaje zastąpione budowaniem betonowych murów na granicach, filantropia i tolerancja zostaje zastąpiona nacjonalizmem i ksenofobią (przeróżne zresztą fobie wydają się mnożyć). A wszystko to w skali globalnej; w skali kurczącej się – poprzez coraz szybsze tempo przemieszczania się ludzi, towarów i informacji – Ziemi. I oto nagle ludzkość – przez kilka dekad, jako tako zrównoważona – zamienia się „w ludzkość w obłędzie"[10]. „Nadpełzł – można powtórzyć za poetą – gorszy czas, przygasłej barwy wiek, wściekłość wojny, żądza posiadania"[11]. Historia została „spuszczona z łańcucha"[12]. Szkoły zaś, broniąc się przed tą tendencją, deklarują chęć zwalczania agresji wśród uczniów. Czy są jednak w stanie zatrzymać ów „rydwan historii".

O przyczynach

Dlaczego tak się dzieje? Podchodząc do sprawy racjonalnie, analitycznie i empirycznie (a zatem nieco „przyziemnie"), można doszukiwać się różnych „przyczyn naturalnych".

Wymieńmy kilka.

Po pierwsze, występuje pewien naturalny „rytm historii"; po epokach burzliwych następują epoki spokojniejsze; po epokach wiary, entuzjazmu, następują epoki bardziej zrównoważone, racjonalne, sceptyczne, ironiczne. W nich jednak – kiedy równowaga wydaje się oczywista, a przeto niewiele warta – narasta głód przygody, zmiany, rewolucji, „dziania się", czynu, doznań silnych i skrajnych; letnie duchowe temperatury przestają wystarczać i pojawia się popyt na temperatury skrajne. I kiedy ów popyt osiąga poziom maksymalny, wystarczy najdrobniejszy pretekst (niczym niedopałek rzucony na suche igliwie) i następuje wybuch, przeskok do epoki burzliwej. I tak, po potwornej epoce wojen religijnych nastąpiła zrównoważona epoka oświecenia, która z kolei kończy się rewolucją francuską, która prowadzi do epoki europejskiego zamętu. Po owej krwawej epoce zamętu, czyli epoce wojen napoleońskich, następuje – z krótką przerwą na Wiosnę Ludów, wojnę krymską, a następnie prusko-francuską – wiele dekad spokoju i stabilizacji; rodzi się XIX-wieczna Europa zarazem liberalna i zjednoczona, w której zwycięskie trendy demokratyczne współgrają z kosmopolityzmem elit; Europa, po której można podróżować wzdłuż i wszerz nie zważając na granice (paszport był potrzebny tylko przy przekraczaniu granic Rosji i Turcji). Epokę stabilności kończy Wielka Wojna, którą tłumy w stolicach Europy – rządne przygody i opanowane nacjonalistyczną gorączką – witają z entuzjazmem lemingów pędzących do katastrofy.

Idźmy dalej. Na powojennych zgliszczach i zarazem na ruinach liberalnej Europy wyrastają – jak muchomory po deszczu – państwa autorytarne, totalistyczne, zamknięte i „umundurowane", ożywiane radykalnymi, quasi-religijnymi, ideologiami. W efekcie – jako apogeum tej epoki zamętu – wybucha jeszcze większa wojna, zwana drugą wojną światową. Z kolei – osiem lat po jej zakończeniu – śmierć Józefa Stalina, „wodza postępowej ludzkości" (czytaj „ludzkości w obłędzie") rozpoczyna globalną odwilż polityczną i zarazem zamrożenie wojny. W marcu 1953 roku ideologiczne i religijne demony powoli zasypiają, zaczyna się budzić rozum. Stygnie żarliwość wiary w komunizm, wolny rynek wygrywa z centralnym planowaniem, demokracja

[10] „Tak zwana ludzkość w obłędzie" to tytuł ostatniej, zaginionej sztuki S. I. Witkiewicza.
[11] Wergiliusz, *Eneida*., tłum. Z. Kubiak, Kraków 1994, VIII, 444-445.
[12] „Historia spuszczona z łańcucha" to bon mot Jerzego Stempowskiego.

i „prawa człowieka" wygrywają z „walką klas". Z dekady na dekadę ugruntowuje się epoka względnej geopolitycznej stabilności, religijnego ekumenizmu (od Soboru Watykańskiego II) oraz „mody" na międzykulturową życzliwość i tolerancję. Apogeum tej epoki były piękne lata 90-te ubiegłego wieku, kiedy to wydawało się – po upadku „realnego socjalizmu" – że burzliwa historia ludzkości dobiega końca i od tej pory ludzkość będzie żyła w świecie demokracji, wzrastającej zamożności i coraz bardziej sprawiedliwego i racjonalnego globalnego rozkładu bogactwa; pomocy najbiedniejszym, którą zapewniałyby – z jednej strony – państwa opiekuńcze, z drugiej strony „opiekuńcze" instytucje międzynarodowe, czuwające nad ładem planetarnym.

Trudno jednak pogodzić racjonalny i sprawiedliwy rozdział bogactwa z wolnym rynkiem i spontaniczną (jak się zdaje) tendencją kapitału do koncentracji, do kumulowania się w pewnych punktach. W ten sposób, po zakończeniu konfliktu Wschód-Zachód, niejako pod powierzchnią, tlił się konflikt Północ-Południe; czyli konflikt między krajami zamożnymi, a krajami biednymi. Widowiskową (i tragiczną) erupcją tego konfliktu było uderzenie pasażerskich samolotów, z setkami pasażerów na pokładzie, kierowanymi przez swoistych kamikadze, w wieże *Word Trade Center*.

Tak oto – zarazem symbolicznie i empirycznie – zaczyna się kolejna epoka zamętu, zwana hasłowo „wojną z terroryzmem". Należy jednak wystrzegać się uproszenia, to znaczy traktowania terroryzmu islamskiego tylko jako – zideologizowanego – przejawu realnego konfliktu ekonomicznego: konfliktu Północ-Południe. Terroryzm islamski jest zasilany przez różne źródła. Odgrywa tu pewną rolę – tak zwana – „mentalność postkolonialna", brak perspektyw i „gettoizacja" drugiego i trzeciego pokolenia emigrantów muzułmańskich w krajach Europy, a nade wszystko zderzenie żarliwej religijności ze światem zlaicyzowanym, czyli – w tej perspektywie – bluźnierczym. Dodajmy, że radykalni islamiści – w związku z tym, że nie uznają neutralności religijnej państwa – uważają, że państwo powinno być wyznaniowe (słusznie wyznaniowe), czyli islamskie. Innymi słowy, prawa państwowe powinny być zgodne z prawami religijnymi, czyli z prawami Koranu. Jeśli nie są, nie należy ich przestrzegać i cały gmach państwowy, zawierający takie prawa, należy wywrócić, czy też raczej wysadzić w powietrze.

Inną przyczyną – poza naturalnym rytmem historii – wkroczenia w epokę wrogości i zamętu była konkretna decyzja prezydenta Stanów Zjednoczonych, George'a Busha, o rozpoczęciu drugiej wojny przeciwko Irakowi i ostatecznym rozprawieniu się z prezydentem Saddamem Husajnem, krwawym dyktatorem, podejrzewanym (niesłusznie) o produkowanie broni atomowej. Wojna ta uruchomiła „efekt domina" i doprowadziła do destabilizacji w całym regionie, czyli w obszarze Afryki północnej i Bliskiego Wschodu[13]. Kolejni dyktatorzy byli obalani przez – mniej lub bardziej spontaniczne – powstania ludowe. Owa „arabska wiosna ludów" – witana na demokratycznym Zachodzie z radością i nadzieją – ujawniła wszakże coś, co bywa określane jako „paradoks demokracji" (który zresztą ujawnił się już wcześniej, po ludowej rewolucji obalającej szacha Iranu i przejęciu władzy przez Ruhollaha Musawi Chomeiniego). Paradoks ten – w wielkim skrócie – polega na tym, że demokracja nie zawsze wynosi do władzy siły umiarkowane, szanujące prawa mniejszości i podział władz, ale – szczególnie w krajach o wątłej kulturze politycznej – siły radykalne, nieprzejednane, fanatyczne. W ten sposób świeccy dyktatorzy (często okrutni, ale podatni na racjonalne argumenty, szczególnie na zagrażający im „argument siły") zastąpieni zostają przez – mających mandat demokratyczny – tyranów (jak w słynnym schemacie „ewolucji ustrojów" Platona). Tyranów odwołujących się do religii i tworzących ludową, radykalną teokrację. Inny zaś wariant to stan zawieszenia, czyli wojny domowej między siłami umiarkowanymi a radykalnymi, która zaczyna przypominać Hobbesowski „stan natury", czyli walkę wszystkich ze wszystkimi (umiarkowani islamiście walczą z radykalnymi, szyici z sunnitami, muzułmanie z chrześcijanami, Arabowie z Persami, Żydzi z Arabami). Sytuacja w takich krajach zaczyna przypominać jakiś krwawy i potwornie splątany węzeł gordyjski.

Owa wielka destabilizacja w regionie leżącym na południe od Europy – niczym kiedyś wielka destabilizacja na Wschodzie, uderzenie dzikich Hunów na inne plemiona koczownicze – spowodowała nową wędrówkę ludów. Cel tej wędrówki jest ten sam: jest nim zamożne i stabilne Imperium Rzymskie, tym razem zwane Unią Europejską. To z kolei rodzi odruchy obronne i wrogość wobec „obcych" w – do niedawna – stabilnej i „gościnnej" Europie.

Strumień uchodźców również nie jest jednolity; przeciwnie, występują w nim skrajne postawy; dla jednych, uciekających od wojny i nędzy, Europa jawi się jako „ziemia obiecana", kraina dobrobytu i pokoju; dla innych – islamskich komandosów, radykałów, dżihadystów – jako ziemia przeklęta; kraina rządzona przez podwójne diabelstwo: ateizm i chrześcijaństwo.

Na to wszystko nakłada się jeszcze jedna przyczyna (wkroczenia w epokę zamętu i wrogości); przyczyna, tym razem, wewnętrzna. Coś co – naturalnie, spontanicznie – wykoślawia i barbaryzuje demokrację w kierunku prymitywnego „ludowładztwa", „ochlokracji". Obok zewnętrznych barbarzyńców na powierzchnie wypływają barbarzyńcy wewnętrzni[14].

Mam na myśli niewiarygodny postęp w technice medialnej, w technice przekazywania informacji, którego zwieńczeniem jest globalna sieć (Internet oraz włączone weń przeróżne tak zwane „media społecznościowe"). Stwarza to nową jakość, coś w rodzaju demokracji bezpośredniej, czy też „demokracji internetowej". Wydawałby się, że taka internetowa demokracja powinna sprzyjać rozwojowi społeczeństwa obywatelskiego (ludzie są coraz lepiej poinformowani, bo radykalnie wzrosła liczba źródeł informacji oraz mogą dodać coś od siebie, coś dopisać, co powinno zwiększać zaangażowanie). Niestety, wydaje się, że – w tym przypadku

[13] Ten wielki obszar został, przypomnijmy, opanowany w VII wieku przez muzułmanów i mimo prób „odbicia" – związanych z krucjatami, czy z kolonizacją – pozostał muzułmański.

[14] O inwazji „wewnętrznych barbarzyńców" pisał już – w *Buncie Mas* – na początku XX wieku Ortega y Gasset.

– zjawiska pozytywne i budujące są z nawiązką dopełniane przez zjawiska negatywne i destrukcyjne.

Kiedy głupiec dzieli się swoją głupotą ze swoją rodziną i znajomymi, to niewielkie nieszczęście; co innego, kiedy głupiec dzieli się swoją głupotą z całym światem, gdy natrafia na innych podobnych i powstają z tego spontanicznie – niczym toczące się śnieżne kule – lawiny głupoty. W dobie panowania tradycyjnych mediów, prasy, radia i telewizji, były pewne bariery, hamulce. Nawet dziennikarze prasy brukowej prezentowali pewien poziom i krytycyzm; byli niczym zbiorowe sito, odsiewające najbardziej niedorzeczne poglądy, plotki, domniemania i pomówienia, które – w efekcie – nie przebijały się do opinii publicznej.

Co więcej, poprzez tak zwany „zdrowy snobizm", poglądy głoszone w elitarnej prasie, radiu i telewizji, oddziaływały w skali masowej. Dziennikarze, którzy przebili się do owej dziennikarskiej elity – a przeto stawali się modni i miarodajni – musieli wcześniej wykazać się pewną wiedzą i profesjonalizmem. Ich poglądy były spontanicznie powtarzane. A zatem powstawała profesjonalna „cenzura bez cenzury". Powtórzmy, najbardziej paranoidalne, absurdalne i niedorzeczne poglądy nie przebijały się do opinii publicznej (czasem tylko – jako wyjątek, a nie reguła – upowszechniały się, przekazywane „pocztą pantoflową", nonsensy, jak ten o „czarnej Wołdze").

Wolno chyba zaryzykować tezę, że obecnie, w dobie „demokracji internetowej" jest odwrotnie; to właśnie poglądy skrajne i radykalne, najbardziej niedorzeczne, sprzedają się najlepiej, rozprzestrzeniają się najszybciej oraz zdobywają największy posłuch. Niesprawdzalna plotka, pomówienie, teoria spiskowa (im bardziej absurdalna, tym lepsza) są najpewniejszym źródłem informacji. Świadomość masową zaludniły przeto różne teorie spiskowe i przeróżne modele „czarnej Wołgi".

Dlaczego? W sedno trafia aforyzm (przypisywany Stanisławowi Lemowi): „Nie wiedziałem, że na świecie jest tylu *idiotów*, dopóki nie poznałem *Internetu"*. Cóż to znaczy? Albo ludzie są przeważnie głupi, albo też, kiedy znikają hamulce i każdy może anonimowo zabrać głos, głupcy są najbardziej aktywni i hałaśliwi i oni kształtują opinie. Tak czy inaczej, mamy obecnie – trawestując tytuły popularnych seriali – pogodę dla populistów i czas nacjonalistów.

Dygresja o narodowej specyfice

Chciałbym sobie w tym miejscu pozwolić na dłuższą dygresję.

Europa to kraina o wielkiej gęstości. Ta malutka, pogmatwana geograficznie, odnoga kontynentu Azji, obfitowała w niezwykłe spiętrzenia ludzkich losów. To kraina, przez którą ... *przeszło tyle po kolei*

Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,

Że każda twarz jest pomnikiem narodu[15].

Każdy zaś naród zdaje się zawierać w sobie takie bogactwo (tak gęste „unerwienie" kulturowe, obyczajowe, techniczne, architektoniczne, kulinarne), jak – w krainach bardziej rozległych i mniej ludnych – całe cywilizacje. Słusznie chyba zatem można mówić nie tylko o kulturze angielskiej, francuskiej, hiszpańskiej, włoskiej, niemieckiej, skandynawskiej, rosyjskiej, czy polskiej, ale o cywilizacji angielskiej, francuskiej, hiszpańskiej, włoskiej, niemieckiej, skandynawskiej, rosyjskiej czy polskiej. I każda z tych cywilizacji – mimo pewnej wspólnoty, opartej nie tylko na bliskości geograficznej i wzajemnym oddziaływaniu, ale też na wspólnym fundamencie greko-chrześcijańsko-oświeceniowym – ma cechy swoiste, niepowtarzalne; posiada (niczym twarz) błyskawicznie rozpoznawalne, rysy. W przypadku Europy, powiedzenie, „co kraj, to obyczaj" można więc śmiało zamienić na: „co kraj, to cywilizacja".

Poświęcono góry papieru na opisywanie owych narodowych odrębności. Chciałbym ograniczyć się do jednego tylko rysu, a i to niezwykle grubą kreską naszkicowanego; mianowicie stosunku danych nacji do gruntownej metafizyki, czyli do – podszytej mistycyzmem – głębokiej teologii i eschatologii.

Można – patrząc pod tym kątem – dostrzec wyraźne różnice: mamy nacje mniej lub bardziej „metafizyczne". Anglicy są chronieni przed nadmiernymi głębiami i wyżynami metafizyki przez empiryzm i zdrowy rozsądek; żeglarz, który zaniedba empirycznej trzeźwości, wpada na skały. Ludzkiemu umysłowi – powiada jeden z angielskich klasyków – potrzeba raczej ołowiu (metody, systematyczności i ostrożności), a nie skrzydeł. Francuzi są również uodpornieni na mroki metafizyki przez sympatię do jasności oraz do *esprit*, do błyskotliwej dworskiej i salonowej konwersacji. Ołów nie cieszy się więc w tej krainie wielkim powodzeniem, raczej skrzydła, ale używane nie do metafizycznych wzlotów. Rozum (jasność) – niezbyt przejmujący się empirią – buduje teoretyczne modele, a następnie mnoży dygresje do dygresji oraz różne „kontr-modele", czyli różne rewizjonistyczne koncepcje (aby zabłysnąć). Co – między innymi – prowadzi do relatywizmu, do niezwykłych subtelności oraz modernizmu, postmodernizmu i post-postmodernizmu, i tak dalej.

Włosi, Hiszpanie i Polacy są z kolei – patrząc z bardzo ogólnej perspektywy – spadkobiercami Soboru Trydenckiego; trzymanie się przeto dogmatów, skodyfikowanych praw niemylnego Rzymskiego Kościoła, jest ważniejsze niż samodzielne poszukiwania, rezonerstwo i „protestantyzm". To wierni i posłuszni żołnierze *Ecclesi*. Polaków (i pewnej mierze Włochów i Hiszpanów) od gruntownej metafizyki odciąga również kulturowa towarzyskość, bukoliczność i zacność, czyli przekonanie o dobroci świata („czarne metafizyczne łąki" – jak pisał Gombrowicz – nie dla nich). Więcej metafizycznego mroku i samodzielnego namysłu można chyba znaleźć u Skandynawów.

Są wszakże dwie nacje gruntownie metafizyczne, które owe „czarne łąki" w sposób dogłębny, z niezwykłą powagą (bez cienia ironii), próbują spenetrować. I nie cofają się przed niczym, również przez zastosowaniem metafizyki, czyli

[15] A. Mickiewicz, „Droga do Rosji" (Dziady. Część. III).

pewnych wizji Absolutu (do których, w związku z powagą, przykładają absolutną pewność) do życia, etyki i polityki.

W tym punkcie spotyka się cywilizacja niemiecka i rosyjska[16].

O metafizyce i mistyce

O jaką wszakże metafizykę i mistykę chodzi? Istnieje, rzecz jasna, wiele „budowli" metafizycznych i wiele odmian mistyki. Nie będę się zajmował – co wkrótce uzasadnię – mistyką opartą na wizji Boga matematyka-architekta, wywodzącą się z tradycji pitagorejskiej; oraz mistyką – by tak rzec – sensualną, która polega na religijnych widzeniach i doznaniach. Skoncentruję się na metafizyce i mistyce „spekulatywnej", wywodzącej się z nurtu neoplatońskiego w filozofii. Fundamentalne pytanie ożywiające tę tradycję – choć sformułowane *expressis verbis* dopiero w XVII wieku przez Leibniza – brzmi: „Dlaczego istnieje raczej coś, niż nic; nic jest wszak łatwiejsze?". Droga do tego pytania wiodła przez pytanie mniej logicznie fundamentalne, ale wcześniejsze: „Dlaczego istnieje zmienny i złożony świat, a nie tylko Absolut, niezmienna Jednia?"[17]. Innymi słowy, dlaczego doskonały Absolut, doskonale zatem samowystarczalny, w pełni aktualny (bez żadnych ukrytych potencji), nie wiecznotrwały, ale po prostu wieczny (nadhistoryczny, bez czasu, bez żadnych „przed" i „po") wydał z siebie jakiś płód? Innymi słowy: „Jak doskonale zamknięty w sobie Absolut, a zatem absolutnie bezpłodny, urodził, emanował, świat?". Owo „jak?", czyli w „jaki sposób?", prowadzi również do pytania „dlaczego?" i „po co?". Można, oczywiście, przyjąć, że ludzki język i ludzki umysł są wobec tych pytań bezsilne i zamilknąć. Mistycy i metafizycy z nurtu neoplatońskiego jednak nie milczeli.

Pojawiły się w tym nurcie dwa – jak się zdaje – główne rozwiązania (obrastające następnie różnymi wariantami), które jednak osłabiały absolutność Absolutu, niewzruszoną jedność Jedni. Pierwsze rozwiązanie wywodziło się z kabalistycznej odmiany nurtu neoplatońskiego: to koncepcja Izaaka Lurii. Absolut w tej wersji, zanim wyemanował z siebie świat, musiał najpierw się skurczyć, aby uczynić miejsce na coś, co nim nie jest; Bóg musiał przyćmić swoje promieniowanie, musiał się wycofać (tak zwane „cimcum"). Eksplozja boskości musiała więc zostać poprzedzona jego „implozją" i wtedy – w momencie owego wycofania, skurczenia – nastąpiła katastrofa (różnie potem interpretowana). Tak czy inaczej, w owo puste miejsce wkroczył jakiś mrok, jakieś zło, jakieś – powiedzmy wprost – diabelstwo. I eksplozja boskości, emanacja Absolutu, została tym diabelstwem skażona[18].

Drugie rozwiązanie – pojawiające się w mistycznych pismach Jakuba Boehme, a następnie w filozofii Schellinga – wskazuje, że ów mrok, jakaś siła irracjonalna, wola, popęd, jakieś zatem diabelstwo tkwiło w samym fundamencie Absolutu. Schelling odróżnia istnienie Boga (*Existenz*) oraz fundament (*Grund*) istnienia. Istnienie (na powierzchni) jest jednością i doskonałością; fundament zaś jest dynamiczny, mroczny i on to zmusza Boga do stwarzania, do emanowania z siebie rzeczy[19]. Absolut nie jest więc Jednią, ale jest „schizofreniczny" i owa dwoistość spowodowała zaistnienie świata i zarazem świat ma ową schizofreniczność leczyć. Bóg poprzez świat i ludzką historię walczy z owym mrokiem i rozdwojeniem w sobie.

Podsumowując. Wyróżniliśmy dwie zasadnicze opcje: albo zatem wystarczył tylko moment nieuwagi, wycofania się Boga, a już do bytu wślizgnęło się jakieś diabelstwo, albo diabelstwo tkwiło w samym fundamencie Boga i ujawniło się mimowolnym „wydaleniem z siebie" świata. Który z kolei zostaje potraktowany przez Absolut jako narzędzie pewnych działań samo-naprawczych.

O pulsacji życzliwości i wrogości

Na tym kończę dygresję i przechodzę do meritum, czyli do pulsacji w dziejach – krajów, narodów, cywilizacji, a obecnie zglobalizowanej ludzkości – epok pokojowych i wojennych, epok życzliwości i wrogości, otwartości i zamkniętości. Można to traktować, powtórzymy, w kategoriach naturalistycznych; a jednak jest w tym coś niepokojącego, rzucającego się w oczy, dającego do myślenia; mianowicie jakieś – naprzemiennie działające – prawo serii. „Karta idzie" raz jednym, raz drugim, „los sprzyja" raz jednym, raz drugim (wspomnijmy słynną „*Hitler weather*"). Nawarstwiają się jednostronne przypadki, „szczęśliwe zbiegi okoliczności", wzmacniające jedną z tendencji i tworzące oscylację „lat moralnie chudych" i „lat moralnie tłustych". Pojawia się więc podejrzenie, że „coś się za tym kryje" że „ktoś za tym stoi". I nie jest to „Tajne Centrum Dowodzenia Ludzkości", jak w klasycznych teoriach spiskowych, albowiem ludzie nie mają władzy nad pogodą i przypadkami *sensu stricte*.

Proponuje zatem pewną „improwizację myślową"; wyobraźmy sobie, że za ową pulsacją kryje się ingerencja sił nadprzyrodzonych. Opuszczamy w ten sposób wyjaśnienia naturalistyczne; opuszczamy solidny poziom „fizyki" (ekonomii, socjologii, politologii) i wkraczamy na niepewny, może nawet iluzoryczny, poziom „nad-fizyki": mistyki, eschatologii, metafizyki. Spróbujmy zatem na te naprzemien-

[16] Lekkomyślni – czyli lotni, dowcipni, ale też niefrasobliwi („jakoś to będzie") – Polacy trafili w „imadło" dwóch (żelaznych, poważnych, pryncypialnych, metafizycznych) nacji. Były też inne nacje metafizyczne, aktywne w przeszłości, których potomkami zdają się być – w tym względzie – Niemcy i Rosjanie, mianowicie Żydzi i Grecy.

[17] Niezmienna Jednia, wieczny, pozaczasowy Absolut jest wszystkim, a więc niczym; stąd owa Jednia zamieniała się – w niektórych neoplatońskich koncepcjach, jak np. U Damazjosa – w boską pustkę, boską nicość. Stąd logiczne przejście do Leibnizjańskiego pytania, „dlaczego jest raczej coś, niż nic?".

[18] Rzec można, że naczynia się potłukły i mleko się rozlało.

[19] W tym drugim zatem rozwiązaniu, w Bogu jest mroczna siła, która – jak to ujmuje Marek Siemek – „odpowiada za wychodzenie rzeczy z Boga". I to jest, wedle Siemka, nowość koncepcji Schellinga: „Absolut nosi teraz już w sobie jakieś odróżnienie od samego siebie – odróżnienie, z którego przychodzi do siebie dopiero przez stworzenie świata jako swe własne samoobjawienie". M. Siemek, *Wolność, rozumność, intersubiektywność*, Warszawa 2002, s. 135.

nie występujące tendencje w dziejach nałożyć „czapę metafizyczną".

Zważmy wszakże, że mistyka w odmianie matematycznej, Boga architekta (pitagorejsko-keplerowska), niezbyt się do tego nadaje, bo skoncentrowana jest na prawie natury, filozofii przyrody i kosmologii (historię ludzkości zdaje się zaś oddawać przypadkowi; nieprzewidywalnym aktom ludzkiej woli). Również mistyka w odmianie „obrazkowej", czyli poszczególnych wizji i widzeń, nie może nam wiele pomóc w naświetleniu ukrytego sensu pulsacji historii (to raczej – jeśli owym mistykom wierzyć – „punktowe" akcje opatrzności). Pozostaje zatem – jako metafizyczna nadbudowa nad historią – mistyka neoplatońska.

Chciałbym teraz, opierając się na – wspomnianych wyżej – dwóch głównych opcjach „wyjścia Absolutu z siebie", rozważyć dwa scenariusze meta-historii. Pierwszy, nawiązujący do schematu Izaaka Lurii, miałby charakter dualistyczny, semi-manichejski. Drugi, nawiązujący do schematu Boehme, Schellinga oraz Hegla, miałby charakter bardziej monistyczny. Ten pierwszy można hasłowo określić jako „rosyjski"; ten drugi, jako „niemiecki".

Scenariusz semi-manichejski, czyli rosyjski

Zacznijmy od scenariusza semi-manichejskiego, czyli rosyjskiego. Odwołuję się tutaj do silnej wśród Rosjan skłonności – przejętej być może od sekst wschodniego chrześcijaństwa, a szczególnie bogomiłów, i bazującej na surowości przyrody i okrucieństwie społeczeństwa – do traktowania świata jako stworzonego przez szatana, albo będącego w jego dzierżawie. Dopiero koniec tego świata ma być początkiem Królestwa Bożego, czyli czystego dobra. Rosjanie mogliby więc za św. Janem powtórzyć: „Wiemy, że jesteśmy z Boga, cały zaś świat leży w mocy złego"[20]. Skoro zaś leży w „mocy złego", należy godzić się na ponurą konieczność, modląc się o jak najszybszy koniec świata; a tymczasem postępować zgodnie z jego ponurymi prawami, a ideały moralne – niezbrukane praktyką – przechowywać w duszy[21].

Musimy jednak – skoro wprowadzamy element pulsacji – dodać do tego manichejskiego scenariusza pewną modyfikację. Przyjmijmy zatem, że mamy do czynienia nie z wyłącznym panowaniem „Księcia Tego Świata", ale z naprzemiennymi rządami Boga i Szatana. Inspirację można, jak sądzę, znaleźć w *Księdze Hioba*.

Wyobraźmy więc sobie, że Bóg przyjmuje na audiencji arystokrację anielską, a wśród nich również Szatana, przeciwnika ludzkości, czyli anielskiego mizantropa (który, załóżmy, powstał w wyniku „cimcum").

I rzekł Bóg do szatana: „Skąd przychodzisz?". Szatan odrzekł Panu: „Przemierzałem ziemię i wędrowałem po niej". Mówi Pan do szatana: „A zwróciłeś uwagę na ten niezwykły gatunek, jedyny pośród stworzeń zamieszkujących \ziemię, o umyśle jasnym, który czci mnie pod różnymi imionami; bogobojny, składa mi ofiary całopalne i wznosi ręce w modlitwie ku niebu".

Szatan na to do Pana: „Czyż za darmo ten ludzki ród czci Boga? Czyż Ty nie ogrodziłeś zewsząd jego samego, jego domów i całej majętności? Pracy jego rąk pobłogosławiłeś, jego dobytek na ziemi się mnoży. Wyciągnij, proszę, rękę i dotknij jego majątku! Na pewno Ci w twarz będzie złorzeczył".

Rzekł Pan do szatana: „Oto cały majątek jego w twej mocy. Tylko na niego samego nie wyciągaj ręki". I odszedł szatan sprzed oblicza Pańskiego.

Wtem powiał szalony wicher na ziemi, poruszył czterema węgłami domu ludzkości i zawalił go. I ogień Boży spadł z nieba, zapłonął wśród ludzkiej trzody i zbóż i pochłonął je.

A ludzie ocaleni z pożogi wstali, a potem upadli na kolana, oddali Bogu pokłon i rzekli: „Niech będzie imię Pańskie błogosławione!". Nie zgrzeszyli zatem i nie przypisali Bogu nieprawości.

I Bóg pomógł odbudować ich domostwa i przywrócić trzody rozliczne oraz obrodzić zbożami pola.

I jeszcze raz, gdy arystokracja anielska stawiła się przed Panem, przyszedł i szatan. I rzekł Pan do szatana: „Skąd przychodzisz?". Szatan odpowiedział Panu: „Przemierzałem ziemię i wędrowałem po niej". Rzekł Pan szatanowi: „Zwróciłeś uwagę na ród ludzki? Jeszcze trwa w swej prawości, choć mnie nakłoniłeś do jego zrujnowania , na próżno". Na to szatan odpowiedział Panu: „Skóra za skórę. Wszystko, co ludzkość posiada, odda za swoje zdrowie. Wyciągnij, proszę, rękę i dotknij jej kości i ciała. Na pewno Ci w twarz będzie złorzeczyła". I rzekł Pan do szatana: „Oto ród ludzki jest w twej mocy. Życie jego tylko zachowaj!".

Odszedł szatan sprzed oblicza Pańskiego i obsypał ludzkość trądem złośliwym, od palca stopy aż do wierzchu głowy, dżumą, cholerą i syfilisem, oraz innymi chorobami bolesnymi i wstydliwymi. Wtedy niektóre żony szeptały do mężów: „Jeszcze trwasz mocno w swej prawości? Złorzecz Bogu i umieraj!". Ale oni odpowiadali: „Mówisz jak kobieta szalona. Dobro przyjęliśmy z ręki Boga. Czemu zła przyjąć nie możemy?".

I cofnął Pan morowe powietrze, powściągnął zarazy i oczyścił trędowatych.

I niejeden jeszcze raz przychodził Szatan do Pana i podsuwał mu różne koncepty, jak sprawdzić pobożność, czy to ludzi, czy narodów, czy całego ludzkiego rodu. I Bóg zezwalał Szatanowi na – raz gwałtowne, raz przebiegłe – działania. I jeśli ludzie zachowywali wierność Bogu w cierpieniu, nie złorzeczyli Bogu, albo nie zapominali o nim, to On przejmo-

[20] Pierwszy list św. Jana Apostoła, 5,19.

[21] Nic dziwnego, że komunizm znalazł w Rosjanach gorliwych wyznawców; komunizm miał być bowiem nowym Królestwem Bożym, w którym diabelskie prawa własności i walki zostaną zanegowane; tymczasem należało bezwzględnie, używając terroru, walczyć w zgodzie z prawami diabelskimi. Ideowi komuniści mieli przeto ręce ubabrane we krwi niewinnej, ale sumienia czyste niczym dzieci przystępujące do pierwszej komunii, albowiem byli budowniczymi Królestwa Niebieskiego, walczącymi z diabłem diabelskimi metodami.

wał władanie nad ziemią i oddawał w dwójnasób, co wprzódy stracili.

Na tym kończy się ta opowieść (na *Księdze Hioba* oparta, choć niedokładnie).

Jeśli uznać, że jest ona – w ogólnych zarysach – prawdziwa, wolno spytać, o co w tym wszystkim chodzi? Jaki jest istotny cel Boga? On to wszak zezwalał szatanowi na akcje destrukcyjne, a następnie sam przejmował stery; był zatem *spirytus movens* całej tej historycznej pulsacji; następowania po sobie epok „chudych" i „tłustych". Dopuszczane są, rzecz jasna, różne interpretacje. Zacznijmy od tych najmniej optymistycznych i krzepiących (z ludzkiego punktu widzenia).

Być może – jak pisał Kołakowski – „Bóg bawi się Hiobem"[22] i ludzkością. Dzieje to zatem „boże igrzysko".

A może nie poszukiwanie igrzysk, zabawy i napięcia jest jego głównym celem, ale pasja badawcza i poznawcza; być może zatem wszechświat i dzieje to gigantyczne „boże laboratorium"; Bóg przeprowadza eksperymenty zarówno w skali galaktyk, jak i w skali kwantowej; najbardziej wszakże pasjonująca jest skala ludzkiej historii. Szatan staje się naukowym asystentem Boga, robiącym na ludzkości bolesne eksperymenty.

A może inaczej; dominująca jest nie pasja poznawcza, ale pasja twórcza. Bóg jest mega-twórcą; jest twórcą posługującym się twórcami, jest dyrygentem dyrygującym dyrygentami, kompozytorem komponującym kompozytorami, poetą piszącym poetami, wynalazcą wynajdującym wynalazców i wodzem wojującym wodzami; istnieje zatem – dialektyczna, rzec można – wzajem wzmacniająca się współpraca boskiej i ludzkiej wolności i twórczości (jak u Sołowiowa). Wszechświat i historia jawi się jako wielkie dzieło sztuki „generujące" kolejne dzieła sztuki. W tej perspektywie oddawanie – na jakiś czas – świata we władzę szatanowi jest głęboko przemyślanym zabiegiem twórczym, artystycznym. Albowiem twórczość, która nie natrafia na opór, zastyga w schematyzmie, poprawności i epigonizmie. Bóg celowo więc wprowadził destruktora, który stawia przeszkody przed twórczym duchem (niczym jazzman wprowadzający do swojego zespołu „przeszkadzajkę"). A zatem, co nie zabije, to wzmocni (a zabicia ludzkości Bóg szatanowi zakazał); wzmocni przeto ludzkie potencje twórcze, na których Bogu-twórcy szczególnie zależy. Pulsująca historia jawi się jako wielki rozwój twórczy, przypominający schemat „dezintegracji pozytywnej" Kazimierza Dąbrowskiego. Poza tym epoki nienawiści i wojen mogą również wprost służyć muzom (wolno argumentować, że podczas wojen muzy nie milczą[23]). Wojny, szczególnie ostatnio, przyśpieszają też rozwój techniki, służący następnie rozwojowi cywilizacji. Na miejscu zaś zrujnowanych miast mogą wyrosnąć miasta nowe; na zgliszczach i ruinach geniusz urbanistów i architektów znajduje szczególne pole do popisu.

A może jednak Bóg natrafia na jakiś fundamentalny opór (praw czy też sił), nad którym nie panuje, a które zaistniały w momencie nadkosmicznej katastrofy, czyli w „cimcum". Może więc Bóg musi godzić się na okresowe panowanie szatana, a tylko etykieta – boskiego dworu – ubiera to w formę dobrowolnego przekazania władzy. Byłoby to najbliższe schematowi manichejskiemu i zarazem można by Bogu, w tej wersji, przypisać atrybuty chrześcijańskie: miłość, litość, miłosierdzie. Można by również za poetą powtórzyć: „wszechświat dla niego jak ukrzyżowanie"[24], a nawet – jak to ujął Jung – sam Bóg stał się Hiobem (w Jezusie).

Kusząca wydaje się również wersja sceptyczna. Nie możemy pojąć celów, zamiarów Boga, bo są one dla naszego umysłu niedostępne i nie ma sensu poniżać Boga, sprowadzając jego działania do zrozumiałych dla nas motywacji. Między Bogiem a człowiekiem jest przepaść większa niż między człowiekiem a psem (a może nawet muchą). Kiedy człowiek je, pies mniej więcej – na swój psi sposób – pojmuje, o co chodzi, ale kiedy człowiek czyta gazetę, albo maluje obraz, jest to zdecydowanie poza psim zasięgiem. Powinniśmy zatem, na psi sposób, kochać Pana i zaufać Panu, a nie próbować dociekać jego intencji, a tym bardziej „złorzeczyć", „w twarz przeklinać"[25].

A może przeciwnie. Nie ma sensu dociekać intencji, albowiem Bóg jest wolą i nie działa celowo, ale irracjonalnie i „impulsywnie" (na zasadzie arbitralnych aktów woli). Szatan, zważmy, byłby w tym przypadku zręcznym manipulatorem, „grającym" na boskich, władczych kaprysach. Bóg arbitralnie oddawałby władzę nas światem szatanowi, a następnie, równie arbitralnie, tę władzę by odbierał i zsyłał pomoc i łaskę „za darmo".

To nas prowadzi do metafizyki niemieckiej, do wizji – w fundamencie – irracjonalnego, mrocznego, a zatem pękniętego Absolutu.

Scenariusz monistyczny, czyli niemiecki

Przypomnijmy, że Schelling – nawiązując do Jakuba Boehme – odróżniał w Absolucie istnienie oraz fundament istnienia. Istnienie, bardziej powierzchowne, jest jednością, harmonią, jasnością; fundament zaś jest dynamiczny i mroczny. Wystarczy teraz – chcąc dopasować ten portret Absolutu do wizji pulsującej historii – przyjąć, że owe dwie strony bóstwa oddziałują naprzemiennie. Mamy zatem siłę głębinową (nazwijmy ją dionizyjską) i siłę powierzchniową (nazwijmy ją apolińską). Kiedy działa siła głębinowa (jakaś

[22] Por. L. Kołakowski, *Udręczenie*, w: Cz. Miłosz, *Na brzegu rzeki*, Kraków 1994, s. 62.

[23] Zacytujmy Josepha de Maistre: „Owoce natury ludzkiej: sztuka, nauki, wielkie przedsięwzięcia, wielkie myśli, męskie cnoty są przede wszystkim wynikiem wojny. Wiemy, że narody dochodzą do najwyższego szczebla wielkości, jaki są w stanie osiągnąć, wyłącznie po długich i krwawych wojnach. I tak punktem szczytowym dla Greków była straszna epoka wojny peloponeskiej. Wiek Augusta nastąpił bezpośrednio po wojnie domowej i proskrypcjach. Geniusz francuski został okrzesany z grubsza przez Ligę, a wygładziła go Fronda (...). Słowem, rzec można, że krew jest nawozem tej rośliny, która zwie się geniusz". Cyt. za. J. Trybusiewicz, *De Maistre*, Warszawa 1968, s. 132.

[24] Cz. Miłosz, *Na brzegu rzeki…*, s. 59.

[25] Coś chyba podobnego miał na myśli Brzozowski, kiedy pisał: „Twoją psią służbą jest pracować, czy masz ochotę czy też nie, czy widzisz cel pracy, czy bez celu. Skakanie przez kij. Skacz. Nie rezonuj!". S. Brzozowski, *Pamiętnik*, Kraków 1913, s. 22.

ślepa, irracjonalna wola), w świecie ludzkim mnożą się konflikty, wojny, nienawiść. Kiedy zaś działa siła powierzchniowa, fale ludzkiego oceanu się wygładzają, pojawia się koncyliacyjność, życzliwość, tolerancja, harmonia, pokój.

Co ciekawe, w filozofii niemieckiej można odnaleźć inspirację do odmiennego wartościowania tych dwóch etapów. W podejściu Schopenhauerowskim, owa głębinowa, irracjonalna wola jest oceniana negatywnie, jako siła zła, mnożąca bezsensowne cierpienie. W podejściu Nietzscheańskim – odziedziczonym przez Carla Schmitta i jego teologię polityczną – przeciwnie; owa irracjonalna, dionizyjska, bardziej fundamentalna, wola walki, wola dominacji jest siłą pozytywną. Idąc tym tropem, kiedy oddziałuje apolińska powierzchnia Absolutu, mamy okresy zwalniania ewolucji, zwalniania biegu historii; okresy pokoju, spokoju i zastoju. Kiedy zaś promieniuje (niejako radioaktywnie) głębinowy, mroczny *Grund* Absolutu, mamy przyśpieszenie ewolucji i akcelerację historii. Skoro Bóg kryje się za ewolucją, to teologia polityczna staje się apoteozą mutacji, poszukiwania wroga, walki, nienawiści, wojny. „Niech wygrywają najlepsi", „po trupach do ewolucyjnego postępu"; oto logika boskości, czy też – w rozpatrywanym tu wariancie – mrocznego fundamentu Absolutu. Rzec można, że *Grund* to „wieczny rewolucjonista".

W ten sposób – stosunkowo płynnie – możemy przejść do innej niemieckiej koncepcji Absolutu, mianowicie do modelu Heglowskiego. W tym modelu Absolut nie jest od razu gotowy, ale na początku jest absolutnym embrionem, pulsującym pojęciem czystego bytu i niebytu. W Bogu jest przeto nie mrok a niedojrzałość i dzieje świata to środek do jego stopniowego, choć nierównomiernego, dojrzewania. Absolut w sobie zamienia się stopniowo w Absolut dla siebie. Boski Duch, Rozum dowiaduje się – poprzez dzieje – kim jest, że mianowicie jest wolnością. Można traktować to (w duchu prawicy heglowskiej) jako proces skończony; Bóg osiąga pełną samowiedzę i mamy koniec historii i teraz wystarczy konserwować stan ostateczny. Można też traktować to (w duchu lewicy heglowskiej) jako proces nieskończony, samowiedza boska rośnie w nieskończoność; Absolut jest bowiem nieskończenie głęboki, a zatem zgłębianie tej głębi nie może mieć kresu (należy zatem burzyć, co jest, w imię przyszłej wyższej samowiedzy). Gdyby teraz nałożyć na ten model pulsację historii, otrzymujemy interesujący schemat; okresy wojen i nienawiści, to okresy wzmożonego „dziania się" i gwałtownie przyrastającej boskiej samowiedzy. Wyobraźmy sobie, że po takim etapie heglowski Absolut zapada w drzemkę i trawi ową „wiedzę". Kiedy zaś ten Dziejowy Rozum śpi, nie budzą się demony, a przeciwnie; ludzie „dochodzą do siebie", stają się bardziej ludzcy; „chytrość rozumu" ustaje; ludzie trzeźwieją i przytomnieją; nienawistny czar pryska i następuje etap życzliwości, harmonii, pokoju i spokoju. Kiedy zaś Rozum Dziejowy – ten boski hipnotyzer – budzi się z drzemki; ludzkość ulega ponownie zbiorowej hipnozie (z akcentem na szczególnie podatnych „młodych bohaterów") i nastaje czas wojenny. Bez trudu zatem można zbudować – pochwalającą wojnę – teologię polityczną również na gruncie heglowskim.

Podsumujmy. Tak jak Rosjanie (i Żydzi) gorliwie praktykowali quasi-manichejski komunizm, tak Niemcy gorliwie praktykowali (w pierwszej połowie dwudziestego wieku) teologię polityczną; czyli wcielali założenia swojej mrocznej metafizyki w życie.

Jacek Breczko *– dr hab., pracownik Studium Filozofii i Psychologii Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku.*

Granty Śląskiego Kuratora Oświaty wygrane przez Regionalny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli i Informacji Pedagogicznej „WOM" w Rybniku

Temat
Tworzenie aktów prawa wewnątrzszkolnego, w tym statutów
Nowa podstawa programowa języka polskiego- wdrażanie i realizacja w kontekście ramowych planów nauczania w szkole podstawowej
Nowa podstawa programowa matematyki – wdrażanie i realizacja w kontekście ramowych planów nauczania w szkole podstawowej
Nowa podstawa programowa języków obcych- wdrażanie i realizacja w kontekście ramowych planów nauczania w szkole podstawowej
Podstawa programowa wychowania przedszkolnego
Doradztwo zawodowe w szkole
Wychowanie patriotyczne we współczesnej szkole
Rozwijanie kompetencji informatycznych dzieci i młodzieży w szkołach i placówkach
Dualne kształcenie w branżowej szkole I stopnia

Andrzej Małkiewicz

TRUDNE PROBLEMY RELACJI POLSKO-UKRAIŃSKICH W ŚWIADOMOŚCI HISTORYCZNEJ SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

„Nie trudno jest chwalić Ateńczyków w Atenach, ale trudno w Sparcie" – Sokrates[26]

W relacjach pomiędzy narodami Europy Środkowej jednym z najistotniejszych problemów jest pamięć przeszłości.

Ukraińcy od 1991 r. budowali całkiem nowe państwo. Polacy zaczęli nieco wcześniej od 1989 r. gruntownie przebudowywać swe istniejące już państwo. W obu przypadkach trudnym zadaniem okazało się przezwyciężanie obrazów historii, które narzucano w przeszłości narodom ukraińskiemu i polskiemu. W dużej mierze wynikały one z dawnych carskich manipulacji zbiorową pamięcią lub były ich naśladownictwem. Współdziałanie narodów utrudniałoby kontrolę nad nimi, wygodnie było stosować wielokrotnie sprawdzoną w historii metodę „dziel i rządź". Operowanie negatywnymi uczuciami: nienawiścią, strachem – to najbardziej efektywne narzędzie manipulacji. Władzom rosyjskim udało się doprowadzić do konfliktów Litwinów, Białorusinów i Ukraińców z Polakami, ich wszystkich z Żydami. Nie ocaliły cesarstwa, ale zrodzone z jego inspiracji miały wybuchnąć z dramatyczną siłą już po upadku władzy carów. Jednym ze sposobów takiego antagonizowania było eksponowanie dawnych wzajemnych krzywd, których przecież nie brakowało, przy jednoczesnym ignorowaniu tradycji współpracy, wzajemnego inspirowania, wszystkiego co mogło sprzyjać zbliżeniu.

Ta tradycja wróciła po 1989 r. i dziś znowu próbuje się skłócić Polaków i sąsiadujące narody, zwłaszcza eksponując dawne tragedie.

Fryderyk Nietsche pisał: „Pięć jest powodów, które każą mi mniemać, że przesycenie danej epoki historią jest dla życia czymś niebezpiecznym i wrogim mu"[27]. Autor ten później wprawdzie zmienił stanowisko, uznał ważną rolę historii w życiu społecznym, nie zmienia to jednak mojej oceny, że ten jego młodzieńczy niepokój był uzasadniony, a późniejsze dzieje Niemiec, jak też Polski i Ukrainy niepokój ten tylko we mnie pogłębiają.

Świadomość historyczną społeczeństw kształtuje wiele czynników. Są to wyniki badań naukowych, mity wyniesione z przeszłości, aktualne działania polityków, dzieła literackie, filmy, internet, a przede wszystkim wiedza wynoszona z nauki szkolnej, z podręczników i sposobu nauczania poszczególnych nauczycieli. Zwłaszcza, gdy władze przywiązują duże znaczenie do „polityki historycznej", w podręcznikach i programach szkolnych słabnie związek z nauką. Czynniki te sprawiają, że pewne obszary, gruntownie badane przez fachowców, są w świadomości społecznej nieobecne, co może nie jest najgorsze, a inne są obecne w sposób odległy od wiedzy naukowej. Wszystkie te elementy oddziałują wzajem na siebie, a ostateczny wynik jest na ogół w luźnym związku z faktami.

[26] Platon, *Meneksenos*, tł. K. Tuszyńska-Maciejewska, Warszawa 1994, 235 d.

[27] Fryderyk Nietzsche, *O pożytkach i szkodliwości historii dla życia*, w: idem, *Niewczesne rozważania*, tł. M. Łukasiewicz, Kraków 1996, s. 115.

Historycy dość dobrze znają dzieje Polski i Ukrainy jak i relacje polsko-ukraińskie, choć oczywiście zdarzają się sytuacje rozbieżnego postrzegania i interpretowania wydarzeń. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, nauka rozwija się m.in. dzięki różnicom w podejściach i koncepcjach uczonych, rodzącym dyskusje i inspirującym do pogłębionych badań. Różnice dotyczą na ogół szczegółów i interpretacji, a nie kwestii podstawowych. Ta wiedza naukowa nie przekłada się jednak na świadomość społeczną, w obrębie której nad rzetelną wiedzą dominują mity i uprzedzenia, a największym problemem jest niski poziom wiedzy historycznej.

Mity historyczne nie są patologią myślenia, ale immanentnym składnikiem ludzkiego postrzegania świata. Myślenie mityczne jest prawdopodobnie pierwotnym sposobem oglądu rzeczywistości, któremu dopiero stopniowo przeciwstawiane jest myślenie naukowe. Zadaniem nauki jest odkrywać prawdę i eliminować mity, nie tylko wbrew tradycji i naiwnemu, potocznemu oglądowi przeszłości, ale też wbrew politykom, którzy mity wykorzystują, podsycają, a niekiedy je tworzą – dla swych partykularnych, często manipulatorskich celów.

Warto porównać rozwój relacji polsko-ukraińskich z podobnymi procesami dokonującymi się w relacjach polsko-niemieckich. Tu też, mimo wielu pojednawczych gestów, istniały po 1989 r. napięcia. Mimo wszystko politycy podejmowali rozważne działania, które nie pozostały bez wpływu na stopniową poprawę wzajemnych relacji i wzajemnego postrzegania. Na początku sierpnia 1994 r. prezydent RFN Roman Herzog zwrócił się do polskich ofiar wojny z prośbą o wybaczenie tego, co im zostało wyrządzone przez Niemców. Zaś polski minister spraw zagranicznych, Władysław Bartoszewski, przemawiając 28 kwietnia 1995 r. do połączonych izb niemieckiego parlamentu uznał polską moralną odpowiedzialność za cierpienia Niemców wysiedlonych po II wojnie światowej ze swych stron rodzinnych.

Niemcy już wcześniej dokonali gruntownego rozliczenia ze swą historią, zwłaszcza nazistowską, a w latach 90. XX wieku działania w tym zakresie wśród profesjonalnych historyków i polityków kontynuowano, starając się usunąć ostatnie niedomówienia.

Kanclerz Angela Merkel w przemówieniu wygłoszonym 20 listopada 2014 r. powiedziała: „Polska w szczególności doznała nieopisanych krzywd ze strony Niemców. II wojna światowa, rozpętana od momentu napaści na Polskę w dniu 1 września 1939 roku, stanowiła początek najciemniejszego rozdziału naszej wspólnej historii. Z II wojną światową związane było okrucieństwo niemieckiego panowania podczas okupacji w Polsce i dokonywane w systematyczny sposób niszczenie żydowskiej egzystencji w Europie, załamanie cywilizacji określane jako szoah. Niemcy są świadome swojej nieprzemijalnej odpowiedzialności za popełnione okropieństwa. Jest to zatem tło historyczne, na którym należy postrzegać wypędzenie milionów Niemców z dzisiejszej Polski. Wypędzenie jest złym bezprawiem, jednakże bez zbrodni dokonanych uprzednio przez Niemcy w czasach narodowego socjalizmu byłoby ono nie do pomyślenia"[28]. Takie stanowisko jest do przyjęcia dla Polaków, powoduje ono rozładowanie konfliktów wynikających z doświadczeń przeszłości.

Sądzę, że doświadczenie relacji polsko-niemieckich można wykorzystać dla kształtowania relacji polsko-ukraińskich.

Nie do mnie należy ocenianie świadomości historycznej Ukraińców w stosunku do Polski, spróbuję tylko zarysować – w największym skrócie – stan świadomości historycznej Polaków w stosunku do Ukrainy.

Dzieje średniowieczne obfitowały w liczne wzajemne oddziaływania, które jednak nie są obecne w pamięci historycznej Polaków, z wyjątkiem legendy o „wyszczerbieniu miecza" przez króla Bolesława Chrobrego o bramę Kijowa w 1018 r. Ten oręż, będący od czasu Władysława Łokietka mieczem koronacyjnym królów polskich, przechowywany jest do dziś w skarbcu Zamku Wawelskiego. Badania wykazały, że wykuto go w XIII w. – społeczeństwo nie przyjmuje tych wyników badań do wiadomości, milej jest wierzyć w legendę.

Mało znana jest historia stopniowego przyłączania zachodnich fragmentów Ukrainy do Królestwa Polskiego, co dokonywało się głównie na drodze układów dynastycznych, a tereny przechodzące we władanie polskie tym samym uwalniały się od uciążliwego zwierzchnictwa Tatarów. Tak samo sposób przejścia pozostałej części Ukrainy najpierw we władanie Litwy, a potem Polski (w 1569 r.) jest nieobecny w polskiej świadomości historycznej. Wszyscy wiedzą, że od pewnego momentu Ukraina należała do Polski, jak to się stało, to mało kogo interesuje.

Problemem obecnym w polskiej świadomości, dzięki kilku dziełom literackim, są walki z Tatarami, choć w tej świadomości zupełnie nieobecny jest udział Ukraińców w tych konfliktach.

Pierwszym poważnym, trudnym problemem są konflikty z Kozakami, zwłaszcza ten, który w Polsce nazywany jest „powstaniem Chmielnickiego". Jego dzieje, spopularyzowane zwłaszcza przez Henryka Sienkiewicza obecne są w polskiej świadomości jako niezrozumiały, bezsensowny bunt, pełen okrucieństwa wobec Polaków, w wyniku którego Rzeczpospolita osłabła, a skorzystała przede wszystkim Rosja. Poza tym jednym zdarzeniem dzieje Kozaków są w Polsce mało znane, w potocznej świadomości często Kozacy siczowi, zaporoscy, myleni są z kozackimi jednostkami armii rosyjskiej, które źle zapisały się w historii Polski. Tymczasem dla Ukraińców Bohdan Chmielnicki jest bohaterem narodowym, który podjął trud zbudowania niepodległego państwa ukraińskiego. Przemoc polska, a potem rosyjska spowodowała, że byt tego państwa nie był długi, ale w każdym razie była to pierwsza poważna próba, od czasu Rusi Kijowskiej, wybicia się na niepodległość. Jak uzgodnić te wersje?

[28] www.krzyzowa.org.pl/downloads/aktualnosci/Merkel_PL.pdf.

Dalsze dzieje wzajemnych relacji znikają z polskiej świadomości (choć są badane przez historyków). Dopiero wydarzenia lat 1918-1920 znowu się w niej pojawiają.

Jednym z polskich mitów narodowych jest obrona Lwowa przed Ukraińcami w 1918 r. Ten stosunkowo mało krwawy epizod urasta do rangi bohaterskiego zrywu, a obrońcy, nazwani „orlętami", awansowali do rangi największych polskich bohaterów; mało kto zastanawia się, dlaczego właściwie doszło do tego konfliktu i jaki był jego rzeczywisty przebieg. Ważne, że zwyciężyliśmy, obroniliśmy miasto! O dalszych wzajemnych relacjach mało wiadomo (mam na myśli świadomość potoczną), zupełnie nieobecna jest wiedza o sojuszu Piłsudskiego z przywódcą państwa ukraińskiego Symonem Petlurą. Niektórzy wręcz sądzą, że wyprawa na Kijów wiosną 1920 r. miała na celu przyłączenie go do Polski, nie wiedzą, że celem wojny było wsparcie starań o zbudowanie niepodległej Ukrainy.

Niewiele wiadomo o relacjach w okresie międzywojennym, niektórzy pamiętają o działalności w Polsce ukraińskich terrorystów, o zamordowaniu m.in. min. Pierackiego, ale nie jest to wiedza wzbudzająca powszechne zainteresowanie. Zupełnie nieobecna jest natomiast wiedza o polskich prześladowaniach wobec Ukraińców, zwłaszcza o zabieraniu lub wręcz niszczeniu cerkwi, o czym z kolei dobrze pamiętają Ukraińcy.

Szczególnym przedmiotem kontrowersji był i jest stosunek do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). OUN powstała w 1929 r., grupowała radykalnych ukraińskich nacjonalistów w Polsce, działała nielegalnie, posługiwała się terrorem, m.in. dokonywała zamachów na polskich polityków i intelektualistów. Początkowo finansowana była przez ZSSR, celem osłabienia Polski, potem zerwała tę współpracę, wiążąc się z hitlerowcami. Do jej przywódców należał Stepan Bandera, od którego nazwiska przyjęło się dla organizacji określenie „banderowcy". Była ona wewnętrznie podzielona i skłócona. W chwili ataku niemieckiego na ZSRR w czerwcu 1941 roku OUN wyszła z konspiracji i wezwała naród ukraiński do walki u boku Niemców o niepodległość. Sam Bandera ku zaskoczeniu Niemców 30 czerwca 1941 r. proklamował we Lwowie powstanie niepodległego państwa ukraińskiego, współpracującego z III Rzeszą. Niemcy nie uznali tej proklamacji, aresztowali Banderę, wkrótce trafił on do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Aresztowano także większość kierownictwa OUN, część rozstrzelano, zginęli m.in. dwaj bracia Stepana Bandery. W polskim społeczeństwie wiedzy na ten temat zupełnie nie ma, wszyscy – których ta problematyka interesuje – są przekonani, że Bandera stał na czele nacjonalistów i we współpracy z Niemcami kierował działaniami antypolskimi.

Faktem jest, że do czerwca 1941 r. liczył na niemiecką pomoc dla swego kraju, ale przeliczył się. Ukraińscy nacjonaliści byli głęboko naiwni, licząc na poparcie Hitlera dla swych aspiracji. III Rzesza posługiwała się nimi tylko instrumentalnie, w poufnych rozmowach Hitler zajmował jednoznaczne stanowisko: „narody słowiańskie nie są stworzone do własnego życia. Wiedzą one o tym i my nie powinniśmy im wmawiać, że to potrafią. Nie jesteśmy dzisiaj zainteresowani dalszym istnieniem państw wschodniobałtyckich i wolnej Ukrainy"[29].

W obliczu konfliktu z hitlerowskim okupantem OUN ponownie przeszła do konspiracji, walcząc jednocześnie z Niemcami, jak i z partyzantami polskimi i radzieckimi. Mimo potyczek z Niemcami OUN zawierała niekiedy z nimi lokalne porozumienia, a w 1944 r. była sporadycznie przez nich zaopatrywana. Pod koniec 1942 r. powołała organizację zbrojną – UPA. Jej celem była walka o niepodległość Ukrainy.

Dopiero w obliczu klęsk na wszystkich frontach hitlerowcy zmodyfikowali politykę wobec Ukraińców, ponownie łudząc ich możliwościami współpracy. 27 września 1944 roku przywódcy OUN zostali zwolnieni z obozów koncentracyjnych, w zamian za zgodę na ograniczenie się do walki ze stroną radziecką. Po wojnie Bandera ukrywał się w Monachium. Od 1949 r. został współpracownikiem brytyjskiego Secret Intelligence Service (MI6) – Brytyjczycy zerwali ją w 1954 r. pod naciskiem z USA. Od 1956 r. współpracował z wywiadem zachodnioniemieckim. Zginął 15 października 1959 r. zamordowany przez agenta KGB.

Tak OUN, jak zwłaszcza UPA obciążone są odpowiedzialnością za eksterminację polskich obywateli na kresach wschodnich podczas II wojny światowej. Największe rozmiary miała ona na obszarze Wołynia (stąd mówi się o „rzezi wołyńskiej"). Dokładna liczba ofiar nie jest znana, obecnie historycy szacują ją na ok. 50-60 tys. zamordowanych Polaków i 2-3 tysiące Ukraińców (część zabitych w odwecie przez polskich partyzantów, część zaś przez ukraińskich nacjonalistów za pomaganie Polakom)[30]. Z tego jest 22 tys. ofiar udokumentowanych, reszta to szacunki, oparte na niezbyt pewnych danych[31].

Po wojnie UPA walczyła z oddziałami NKWD/KGB do 1956 r., a w Polsce z UB, aż do „Akcji Wisła" w 1947 r., gdy wysiedlenie całej ludności ukraińskiej ze wschodniej części kraju na Ziemie Zachodnie uniemożliwiło jej dalszą działalność. Nim to się stało sporadycznie dochodziło do współpracy oddziałów AK-WiN (dziś często określanych jako „żołnierze wyklęci") i OUN-UPA. Wiedzę o tym starannie ukrywała oficjalna propaganda, wmawiając, jakoby Ukraińcy walczyli „z Polakami". Dzisiaj wciąż jeszcze ten fałszywy obraz dominuje w świadomości. Tymczasem bojownicy UPA po zakończeniu II wojny światowej nie bili się już o niepodległość, co byłoby w tym czasie absurdem, ale na terenie Polski walczyli przede wszystkim o pozostanie w Polsce, bo zgod-

[29] Cyt. za: Jerzy Wojciech Borejsza, *„Śmieszne sto milionów Słowian..." wokół światopoglądu Adolfa Hitlera*, Warszawa 2006, s. 44.

[30] Grzegorz Motyka, *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła". Konflikt polsko-ukraiński 1943-1947*, Kraków 2011; Lucyna Kulińska, Czesław Partacz, *Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich na Polakach w latach 1939-1945. Ludobójstwo niepotępione*, Warszawa 2015.

[31] Adam Balcer, *O Wołyniu i UPA bez dogmatu*, „Nowa Europa Wschodnia" 2017, nr 1, s. 146.

nie z porozumieniem PKWN ze Stalinem Ukraińcy z Polski mieli być wysiedleni na wschód, czego panicznie się bali. W pewnym sensie ich walka zakończyła się sukcesem, bo Ukraińcy wprawdzie zostali wysiedleni, lecz w większości nie na wschód tylko na zachód, w każdym razie pozostali w Polsce.

W drugiej połowie lat 80. liderzy radzieccy, zdając sobie sprawę ze słabnięcia swej władzy, starali się podtrzymywać ją m.in. poprzez prowokowanie konfliktów pomiędzy narodami, przypominając dawne rachunki krzywd, bądź strasząc nawzajem rzekomą agresywnością drugiej strony. Ukraińców ostrzegano przed groźbą powrotu „polskich panów", Polaków straszono ukraińskimi nacjonalistami i przypominaniem zbrodni wojennych. Takie argumenty mogły być skuteczne, bo były po części prawdziwe: w przeszłości Ukraińcy podlegali władzy „polskich panów", a nacjonaliści z UPA rzeczywiście dokonywali zbrodni na Polakach, Żydach i przedstawicielach innych narodów. Była to jednak „postprawda", operująca informacjami przeinaczonymi, wyolbrzymionymi, którym nadawano wydźwięk odmienny niż na to zasługiwały. Później, gdy już rozpadł się Związek Radziecki i przestał istnieć system „komunistyczny", te same konflikty mogły dopomóc w podtrzymaniu przynajmniej częściowej władzy Rosji nad Ukrainą oraz intrygowaniu w Polsce. To, co wcześniej było manipulacją propagandową, teraz nazwano „polityką historyczną". Biskup Józef Życiński nazwał to „logiką ran"[32], a Maria Bobrownicka określiła jako „wiktymologiczne upajanie się patosem narodowej martyrologii"[33]. Prowadzi to do przekształcenia historii w legendę. Pół biedy, jeśli służącą „pokrzepieniu serc", gorzej, gdy rodzi nieufność wobec „innych", „obcych", a w tym przypadku Polaków wobec Ukraińców i Ukraińców wobec Polaków.

Po 1989 r. zaczęto publikować w Polsce liczne teksty poświęcone konfliktom z Ukraińcami. W wypowiedziach publicystycznych pojawiały się bardzo różne liczby dotyczące ilości polskich ofiar mordów na Wołyniu – od 60 tysięcy do 800 tysięcy. Autorzy nie kłopotali się nawet ustaleniem, czy taka ilość Polaków żyła na tym terenie (według spisu powszechnego w 1931 r. żyło tu 346,6 tys. Polaków)[34]. Również druga strona miała skłonność do podawania fantastycznych liczb. UPA miała liczyć od 400 tys. do 2 milionów bojowników, gdy źródła radzieckie (też skłonne do przesady) szacują ich na 80-100 tys.

Gdy Ukraina stała się niepodległym państwem pojawiały tu się nacjonalistyczne publikacje i oświadczenia, mające antypolską wymowę. Głównie dotyczyły uczczenia pamięci OUN oraz UPA. Jednocześnie skierowane były przeciwko śladom polskości na Ukrainie, sprzeciwiano się odnawianiu polskich pomników i cmentarzy. Również w Polsce wielokrotnie podobnie traktowano pomniki i cmentarze ukraińskie. Działania po stronie ukraińskiej wynikały z dość bezradnego szukania patriotycznych tradycji. W najnowszej historii Ukraińcy niemal nieustannie znajdowali się w obcej niewoli, mieli wspaniałą kulturę, natomiast niewiele mieli doświadczeń politycznych, do których warto było nawiązywać. W długim okresie braku własnego państwa ich patriotyzm doznał poważnego uszczerbku.

Od 2005 r. na Ukrainie oficjalnie świętowana jest rocznica powstania UPA 14 października (jednocześnie święto Opieki Najświętszej Bogurodzicy). Na mocy ustawy „O dekomunizacji", przyjętej przez Radę Najwyższą 9 kwietnia 2015 r. żołnierze UPA uzyskali status bojowników o wolność Ukrainy.

Działania takie wywołują w Polsce niepokój, zwłaszcza wśród osób pochodzących z obecnej Zachodniej Ukrainy. Krzysztof Ruchniewicz napisał: „Stereotyp Ukraińca, ukształtowany częściowo przez tragiczne doświadczenia historyczne, to zbuntowany, okrutny chłop, rezun z nożem w zębach, morderca z Ukraińskiej Powstańczej Armii"[35]. Ponawiane są postulaty uznania OUN-UPA za zbrodnicze organizacje nacjonalistyczno-faszystowskie oraz potępienia ich zbrodni przez władze Ukrainy i przeproszenia narodu polskiego za doznane krzywdy.

Polski Sejm w dość łagodnej formie potępił rzeź wołyńską w jej 60. rocznicę w 2003 r.[36] Wywołało to krytykę na Ukrainie wśród nacjonalistów. Spory dotyczyły też miejsc pamięci Polaków na Ukrainie. Np. dość długo ciągnęły się kłopoty z odbudową Cmentarza Orląt we Lwowie. Ponadto, z kłopotami przebiegała w latach 2006-2007 ekshumacja ofiar egzekucji w Bykowni w Kijowie oraz upamiętnianie polskich ofiar UPA. Ostatnio wiele emocji zrodził film „Wołyń".

Mimo tych zadrażnień generalnie obraz Ukraińców w Polsce jest coraz bardziej pozytywny. Jeszcze w 1993 roku niechęć deklarowało prawie dwie trzecie Polaków, a przyjazne uczucia tylko 10%. W następnych latach pozytywne oceny wobec Ukraińców rosły, w 2008 r. po raz pierwszy sympatia do nich osiągnęła 34% i przeważyła nad niechęcią (31%)[37]. Wśród Ukraińców stosunek do Polaków był generalnie pozytywny. Z sondaży z 2009 r. wynikało, że Polska oceniana była jako kraj najbardziej przyjaźnie nastawiony do Ukrainy (26% wobec 17% głosów oddanych na Rosję). Niechęć do Polaków znikała też na zachodniej Ukrainie. W zachodnich obwodach odsetek głosów pozytywnych wobec Polski wyno-

[32] Józef Życiński, *Europejska wspólnota umysłów*, „Tygodnik Powszechny" 1998, nr 25, s. 10

[33] Maria Bobrownicka, *Patologie tożsamości narodowej w postkomunistycznych krajach słowiańskich. Uwagi o genezie i transformacjach kategorii tożsamości*, Kraków 2006, s. 23.

[34] *Główny Urząd Statystyczny. Drugi Powszechny Spis Ludności z dn. 9.XII.1931 r. Mieszkania i gospodarstwa domowe. Ludność. Stosunki Zawodowe. Województwo Wołyńskie*, Warszawa 1938, tab. 1. Historycy ukraińscy twierdzą, że te dane były zawyżone, a trzeba też pamiętać, że liczebność Polaków zmniejszyła się w czasie wojny w wyniku ucieczek i deportacji.

[35] Krzysztof Ruchniewicz, *Pamięć historyczna Polaków*, „Sobótka", 2005, nr 2, s. 220.

[36] *Oświadczenie Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 10 lipca 2003 r. w związku z 60. Rocznicą tragedii wołyńskiej*, Monitor Polski, 2003, nr 37, poz. 516.

[37] Raport CBOS z grudnia 2008 r.: *Stosunek Polaków do różnych narodów*, s. 3-4, http://www.cbos.pl/SPISKOM.POL/2008/K_193_08.pdf.

sił 29%, we wschodnich 23% (Rosja miała 23% pozytywnych ocen na wschodzie i tylko 9% na zachodzie kraju)[38]. Niewątpliwie jednak pamięć o doświadczeniach II wojny światowej i stosunek do Ukraińców dzielił Polaków. Ten proces nasilił się w 2014 r. od czasu Euromajdanu, gdy na transparentach pojawiały się hasła OUN-UPA i portrety Bandery, co eksponowały media rosyjskie i niektóre w Polsce. Z badań CBOS przeprowadzonych w styczniu 2014 r. wynikało, że wciąż trwa podział wśród Polaków w sprawie zaangażowania naszych polityków w konflikt ukraiński. Pozytywnie je oceniało 41%, ale 47% uznało za niewłaściwe. W elektoracie *Prawa i Sprawiedliwości* 48% poparło zaangażowanie po stronie Ukrainy, ale aż 39% miało inne zdanie (13% nie miało zdania)[39].

W Polsce pojawiły się opinie, że na Euromajdanie – którego celem miała być integracja z UE – faktycznie jednak zwyciężył ukraiński nacjonalizm. Zaczęły zatem nasilać się nastroje krytyczne wobec Ukraińców, choć polscy politycy i media generalnie nadal wspierali Rewolucję Godności.

Grzegorz Motyka napisał, że jest dobrym prawem Ukraińców uszanowanie pamięci tych, którzy walczyli o wolność swojej ojczyzny. Warto jednak odpowiedzieć na pytanie: czy w walce o niepodległość każda metoda walki jest usprawiedliwiona? Czy też może miał rację grecko-katolicki metropolita Lwowa Andriej Szeptyćkyj, stwierdzając, że: „Zbrodniami nie służy się narodowi"[40]. Z rozpaczą mówił podczas otwarcia synodu prowincjonalnego we Lwowie w 1942 roku: „Stajemy [...] przed strasznymi chorobami, ze środkami, które po ludzku mówiąc wydają się zupełnie nieskuteczne. [...] Spotykamy ludzi, którzy opowiadają, jak zabijali bliźnich, spotykamy i takich, którzy chwalą się, że nie ma dla nich większej rozkoszy jak przelać krew. Jak nawrócić takich ludzi? Jak doprowadzić do zdrowia ludzką naturę? Jakim sposobem zatrzymać ten krzyk przelanej krwi, która do nieba woła o pomstę?"[41]. Jedną z technik manipulacji było później oskarżanie właśnie Szeptyćkiego, że inspirował zbrodnie, choć w rzeczywistości czynił wszystko, co było w jego mocy, by je powstrzymać.

Polacy lepiej oceniają tych sąsiadów, którzy zrobili u siebie krytyczny rozrachunek z przeszłością, jak Niemcy. Polacy byli więc w stanie więcej im wybaczyć. Natomiast gorzej oceniają tych, którzy takiego rachunku win nie przeprowadzili, szczególnie wobec Polaków. Do tej grupy należą Rosjanie i Ukraińcy. Można obawiać się sąsiadów, którzy nie potępili swych zbrodni i przewin z przeszłości, zwłaszcza z lat II wojny światowej, a nawet przeszłość tę gloryfikują i budują na tym swoją tożsamość.

Dziś wprawdzie globalizacja powoduje, że problemy historii przyciągają nieco mniej uwagi, ale z drugiej strony szersze otwieranie się naszych społeczeństw na świat sprawia, że nie do końca wyjaśnione problemy przeszłości niekiedy na nowo odżywają i utrudniają porozumienie.

Szczególną rolę w kształtowaniu racjonalnego myślenia ma oczywiście edukacja szkolna, a w jej obrębie istotną rolę odgrywają podręczniki historii. Znajdują się one po trosze pod wpływem ustaleń nauki, a po trosze – interesów polityki. Ich badaczka trafnie napisała, że „Podręcznik szkolny stanowi jedno z najważniejszych narzędzi polityki historycznej"[42]. W 1993 r. powołano wprawdzie Polsko-Ukraińską Komisję ds. Podręczników Szkolnych, której współprzewodniczącym ze strony polskiej został prof. Władysław Serczyk, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego, a od 1997 r. Uniwersytetu Rzeszowskiego, ale wyniki jej pracy są mierne.

Już XVII-wieczny polski autor pisał: „Doprawdy nie tylko ozdobą państw są księgi historyczne, ale pomocą i podporą; chciał Bóg, aby istniały one wraz z pismem, jakby latarnie i jakieś oświetlające ognie na burzliwym morzu"[43] – tych latarni jest wiele, lecz ich światło jest często nikłe, jeszcze nie w pełni oświetla nasze relacje, a w szczególności w małym stopniu dociera do opinii publicznej, która opiera swe przeświadczenia na powieściach, filmach i mitach.

Wciąż znajduje potwierdzenia smutna konstatacja Umberto Eco: „każdy jest więźniem własnej historii i własnych mitów narodowych"[44].

Andrzej Małkiewicz *– profesor politologii, zatrudniony na Uniwersytecie Zielonogórskim, zajmuje się problemami systemów politycznych oraz relacji międzykulturowych*

.

Szczegółowa oferta edukacyjna RODNiIP „WOM" w Rybniku dostępna jest na stronie www.wom.edu.pl

[38] Łukasz Adamski, *Zmiana wrażliwości*, „Nowa Europa Wschodnia" 2010, nr 1.

[39] Jerzy Kordas, *Nacjonalizm OUN-UPA i polityka historyczna w relacjach polsko-ukraińskich*, w: Andrzej Małkiewicz, Agnieszka Opalińska (red.), *Stosunki międzykulturowe*, t. 1 *Strategie bezpieczeństwa i komunikacji we współczesnym świecie*, Zielona Góra 2016, s. 61-62.

[40] G. Motyka, *Od rzezi wołyńskiej…*, s. 466.

[41] Cyt. za: Stanisław Stępień, *Sapiehowie a obrządki wschodnie Kościoła katolickiego*, w: idem (red.), *Kardynał Adam Stefan Sapieha. Środowisko rodzinne, życie i dzieło*, Przemyśl 1995, s. 76.

[42] Katarzyna Błachowska, *Kształtowanie obrazu przeszłości w podręcznikach*, w: Mariola Hoszowska, Joanna Pisulińska, Paweł Sierżęga (red.), *Historia. Ciągłość i zmiana. Studia ofiarowane Profesorowi Jerzemu Maternickiemu*, Rzeszów 2016, s. 501.

[43] Szymon Starowolski, *Strawa historyczna*, w: idem, *Wybór pism*, tł., wybór i oprac. I. Lewandowski, Wrocław 1991, s. 19.

[44] Umberto Eco, *Podziemni bogowie. Wybór szkiców*, tł. J. Ugniewska, P. Salwa, Warszawa 2007, s. 139.

Jan Kurowicki

ZABYTEK JAKO ESTETYCZNY BYT PRÓŻNIACZY

Waga zabytków

Kiedy powiada się, że coś jest zabytkiem, czujemy, iż rzecz, budowla, miejsce tym mianem określane promieniują niewidzialnym, tajemniczym światłem, które budzi w nas szacunek i doznanie swoistej estetyczności. Owo *coś* bowiem wyrywa się z porządku mało znaczącej zwykłości, jak wyrywał się z niej potoczny język pana Jourdin z *Mieszczanina szlachcicem* Moliera, gdy dowiedział się on, że mówi prozą.

Ten oto kołowrotek, co od zawsze leżał na strychu, jako zbędny rupieć po prababci, która na nim przędła wełnę, zmienił nagle swą jakość, gdy przybył do wioski etnograf i powiedział, że to zabytek kultury ludowej. Ta osierocona rzeźba, przesunięta z centrum ołtarza na jego skrajny bok, bo tam znalazła się teraz kopia obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, okazała się bezcennym zabytkiem np. sztuki gotyckiej po oględzinach konserwatora. A oto teren, gdzie miał stanąć supermarket, został poddany badaniom archeologicznym i stracił zwykłość, bo okazało się, że pod jego powierzchnią kryją się zabytki: np. znakomicie zachowane ślady po osadzie prasłowiańskiej. Odrapany zaś kredens, który od lat marniał na werandzie, wypełniony słoikami z przetworami, stał się aż zabytkiem po secesji, kiedy rzucił nań okiem historyk sztuki.

Te i tym podobne przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Z ich wszystkich, ale i z wielości innych, do nich niepodobnych, płynie owo światło na skutek przedziwnego czaru, jaki je przeistacza, kiedy następuje określenie ich mianem zabytku. Ten czar zaś to wytwór określonych powidoków aksjologicznych. Nie są to bowiem zwykłe, stare rzeczy, obrazy, mury obiekty architektoniczne czy miejsca, lecz coś w co wcieliły się wartościujące obrazy momentów historii. W kulturze nowoczesnej dlatego niemal czołobitny stosunek do zabytków jest powszechny. Dobrze więc i miło jest zwiedzać je i fotografować. Jeszcze lepiej żyć w ich pobliżu. A najlepiej posiadać na własność, aby nadawały urok naszemu przemijaniu.

Zabytki uchodzą przecież za ogólnoludzkie, narodowe lub lokalne dobra kultury. Otacza się je opieką, zabezpiecza i konserwuje, a przynajmniej postuluje się to. Co znaczniejszym zaś poświęca się monografie i opracowania popularne. Zajmują też one odpowiednie miejsce w szkolnych podręcznikach. Bywają również obiektami kultu religijnego lub ideologicznego, albo ich obu równocześnie. Ich sens aksjologiczny natomiast zdaje się oczywisty i jakby wprost wpisany we właściwą sobie materię.

Wymagają więc zachowania odpowiedniego dystansu i przestrzegania wobec siebie określonych rytuałów. Kto zaś traktuje je jak zwykłe obiekty, profanuje lub niszczy – uchodzi za barbarzyńcę. I to też zdaje się naturalne. Jakże bowiem może być inaczej? Wszak ucieleśniają one tradycję i historię. Uruchamiają wyobraźnię. Za ich to między innymi sprawą świat uczłowiecza się i staje się czymś więcej, niż grą obojętnych mechanizmów natury, techniki i ekonomii. Ba! Nabiera swoistej świętości.

Znika jednak ich oczywistość, gdy widzimy je w kontekście historyczno – kulturowym. Stają się wtedy problematyczne. Rzecz jasna – ta problematyczność nie odbiera im kulturowej rangi. Tyle tylko, że bezzasadna okazuje się czołobitność wobec nich. Upada też związana z nimi naiwna, pozornie ponadczasowa metafizyka. W miejsce tego ukazuje się zabytek, jako byt próżniaczy, w dobrym, starym sensie, w jakim pojęciem próżniactwa na pokaz posługiwał się Thorstein Veblen w swej *Teorii klasy próżniaczej*.

Chcę to właśnie pokazać w tym eseju.

Zabytek jako mieszczańskie „echo przeszłości"

Oto Robert Musil w *Człowieka bez właściwości* opowiada coś, co ma istotne znaczenie dla podjętego tu problemu. Ukazuje, mianowicie, jak to w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku kończy się pewien proces, zapoczątkowany jeszcze u schyłku średniowiecza, którego rezultatem są między innymi zabytki. Opowiada jednak o tym nie językiem naukowym, a literatury.

Tak więc dwoje bohaterów powieści – Urlich i Deotyma – wędruje w 1913 roku samochodem po Wiedniu i jego okolicach i zauważają wtedy wiele interesujących i pięknych rzeczy: „meble z epoki Marii Teresy, pałace barokowe; ludzi, którzy wciąż jeszcze kazali swojej służbie nosić się przez całe życie na rękach; nowoczesne siedziby z niekończącymi się amfiladami pokoi; wspaniałe gmachy banków i tę dziwną mieszaninę starohiszpańskiej surowości z obyczajami klas średnich w mieszkaniach wyższych urzędników państwowych".

Widzą to, lecz równocześnie rzuca im się w oczy nie tyle kontrast między dawnym (zabytkowym) i nowoczesnym, ale coś więcej: oglądane przez nich obiekty różniły się zależnie to od tego, w czyich znajdowały się rękach.

Gdy więc były własnością arystokracji – stanowiły tylko zaniedbane resztki minionych, wielkich świetności rodowych, które traktowała ona dość nonszalancko. A to dlatego, że – jak mówi ironicznie narrator powieści - „Kasta wielkich

panów jest zawsze trochę barbarzyńska. Popiół i wygasłe węgle, których dalsze żarzenie się czasu spalić nie zdążyło, pozostały w zamkach arystokratycznych tam, gdzie ongi były. Tuż przy paradnych schodach stopa natrafiała na podłogę ze zwykłych sosnowych desek, a szpetne nowoczesne meble stały beztrosko między antykami". I nieco dalej: „W zamkach należących do arystokracji marznie się w zimie. Wąskie, wydeptane schody nie stanowią tam rzadkości, a duszne, niskie pokoiki sypialne sąsiadują ze wspaniałymi recepcyjnymi salonami. Nie bywa tam również wind do potraw i łazienek dla służby".

Inaczej rzeczy się miały, gdy te obiekty znalazły się w rękach mieszczańskich. Powiada więc narrator, że burżuazja, rozkochana w imponującej jej „wspaniałej przeszłości swych możnych poprzedników, dokonywała mimo woli bardziej wybrednej i wyrafinowanej selekcji. Kiedy stary zamek przechodził w posiadanie kogoś z burżuazji, nie tylko zaopatrywano go w nowoczesny komfort, niczym rodowy żyrandol w elektryczne przewody, ale również z umeblowania eliminowano rzeczy mniej ładne, zastępując je bardziej wartościowymi, nabytymi według własnego gustu lub według bezapelacyjnej opinii ekspertów. Wyrafinowanie to rzucało się najbardziej w oczy nie w rezydencjach wiejskich, lecz w miejskich apartamentach, które zgodnie z wymaganiami współczesności były urządzone z bezosobistym luksusem statku transoceanicznego, ale w tym kraju wysublimowanych towarzyskich ambicji, dzięki niepowtarzalnemu niuansowi, ledwie zauważalnemu sposobowi ustawiania mebli albo eksponowaniu jakiegoś obrazu na ścianie, zachowywały w sobie wyraźne echo minionych czasów".

Różnica między właścicielami arystokratycznymi a burżuazyjnymi jest więc znamienna: dla pierwszych ich siedziby są czymś naturalnym, co istnieje bezczasowo i ma zawsze ten sam sens, jako siedziba, pozostając nią nawet wtedy, gdy wprowadza się doń obce stylistycznie modyfikacje czy detale. Dla drugich natomiast nabyte zamki i pałace wraz ze swą zawartością uosabiają tylko momenty przeszłości, bo ich dawność przydaje im uroku. Pierwsi zatem wciąż żyją w świecie tradycjonalnym, w którym wszystko trwa i powtarza się, mimo zmiany szczegółów. Drudzy w nowożytnym i nowoczesnym, gdzie nie ma nic niezmiennego, a teraźniejszość jedynie nosi na sobie przemijające ślady minionego, które wymagają starannej rekonstrukcji i uzupełnień, zgodnych ze stylem.

Opisywani przez Musila arystokraci są więc głusi na „echa przeszłości", bo dla nich ich siedziby są czymś, co tkwi w potrójnym wymiarze swoistego „zawsze": (zawsze) było, (zawsze) jest i (zawsze) będzie. Nie muszą tedy dbać o niuanse w ustawieniu mebli czy szczególny sposób ekspozycji obrazów. Mogą natomiast, bo tak też postępowali ich przodkowie, luki i braki wyposażenia obiektu uzupełniać tym, na co ich stać, i co znajduje się akurat pod ręką, nawet gdy powstają skutkiem tego estetyczne zgrzyty i kontrasty.

Mieszczańscy zaś nabywcy ich posiadłości nie widzą tego trojakiego „zawsze", bo żyją tylko w teraźniejszości, i oślepił ich czas, jako rwący potok migotliwych chwil. Chcą jednak przejąć splendor dawnych obiektów, aby dzięki nim – przynajmniej intencjonalnie – wyrwać się z owego potoku, nie tracąc jednak niczego z dobrodziejstw teraźniejszości. W miejsce „zawsze", które jest im niedostępne, zjawiają się „echa przeszłości", stanowiące wszakże tylko kulturową fikcję: zbiór wizualnych konstruktów, odpowiadających ich wyobrażeniom istoty tego, co dawne, ale tak, by pasowały one do owego bezosobistego luksusu transoceanicznego statku.

Za wskazaną tu różnicą tkwią głębokie uwarunkowania społeczne i kulturowe. Musil napomyka więc w powieści o ludziach, którzy kazali służbie nosić siebie przez całe życie na rękach. Ma to znaczenie fundamentalne dla tutaj rozważanych spraw. Ludzie ci bowiem to historyczna resztówka po feudalnej i postfeudalnej szlachcie i arystokracji. Oni właśnie kazali się nosić na rękach dlatego, bo – jak pisali jeszcze w latach czterdziestych XIX w. w *Ideologii Niemieckiej*" Karol Marks i Fryderyk Engels – stanowili klasę, której przywilejem było jeno używanie. Trwał ten przywilej zresztą długo. Na przykład u żądnej uciech i rozrzutnej szlachty dworskiej epoki monarchii absolutnej. Znajdziemy go też zresztą bez trudu wśród ludzi szlachetnie urodzonych z czasów, gdy dzieje się akcja *Człowieka bez właściwości*.

Inaczej było z burżuazją. Jej przyjemności – czytamy u Marksa i Engelsa – przybrały ekonomiczną formę luksusu i określał je materiał, jaki klasa ta wytwarzała. Natomiast jej „dalsze podporządkowanie używania zarabianiu pieniędzy nadało tym przyjemnościom cechę nudy, którą noszą po dziś dzień. [...] W ogóle przyjemności wszystkich dotychczasowych stanów i klas musiały być bądź dziecinne, nużące, bądź też brutalne, ponieważ zawsze oderwane były od całej działalności życiowej, od właściwej treści życia osobników i w większej lub mniejszej mierze sprowadzały się do tego, iż działalności wyzutej z treści nadawało się pozorną treść".

Nie bez powodu zatem mieszczaństwo ściga „echa przeszłości", a jednocześnie rzeczywiste jej ślady przekształca. Chce bowiem używać życia z dala od swej właściwej działalności życiowej, jak arystokracja, ale na własnych zasadach. Jest jednak z istoty ślepe na szlacheckie i arystokratyczne „zawsze". I nawet jej używanie życia nie jest wolne od uwikłań w ekonomiczne interesy. Dlatego określony rodzaj obiektu z naturalnego środka zaspakajania przyjemności wyższych klas feudalnych przeobraża się w świecie burżuazji w coś, czego przed jej panowaniem nikt wcześniej nie wyobrażał sobie: tylko w ślad minionego strumienia czasu.

Jednakże pozostałości owego minionego czasu przekształcano. Ostawało się głównie to, co zewnętrzne, fasadowe. Wszelkie uszczerbki ukrywano lub uzupełniano, a całość dostosowywano do aktualnych norm wygody i higieny. Wedle zaś gustu własnego (albo „bezapelacyjnej opinii ekspertów") wymieniano „rzeczy mniej ładne" na „bardziej wartościowe".

Krótko mówiąc: burżuazja, jak określali to (i przeciwko czemu protestowali) niektórzy dawniejsi teoretycy konserwacji zabytków od Riegla poczynając, a na Dvoraku kończąc, zmieniała s u b s t a n c j ę pozostałego po przeszłości obiektu i jego wyposażenia. Jej działanie w tym względzie było równie wykalkulowane, jak aktywność buchaltera w przedsiębiorstwie, której rezultaty układają się w bezosobowe, ele-

ganckie rzędy cyfr, stanowiące odpowiednik owego bezosobistego luksusu transoceanicznego statku.

Znikały dzięki temu wydeptane schody; kontrast między dusznymi sypialniami i urodą recepcyjnych salonów, pojawiały się windy dla służby i nowoczesne wyposażenie kuchni. Wyrzucono także sosnowe deski, uzupełniające arystokratycznym posiadaczom braki we wspaniałych podłogach. Całość nabierała dzięki temu swoistego, wysterylizowanego blasku. Była ona, bardziej niż u rzeczywistych arystokratów, „prawdziwie arystokratyczna" i przepełniona „echem przeszłości".

Klasy szlachetnie urodzonych jednak odeszły w przeszłość. Ich natomiast potomkowie dołączyli do arystokracji pieniądza albo się zdeklasowali. Substancja, która towarzyszyła ich życiu zmurszała i rozsypała się, albo zamieniła się w nowo-stare rezydencje, muzea i obiekty szczególnej troski. Zrodził się dzięki temu nowoczesny kosmos zabytków.

Metafizyka tessera hospitalis

Marks powiada, że ideologia klasy panującej jest ideologią panującą. Parafrazując go można rzec, że kultura tej klasy jest kulturą panującą. W analizowanej tu sytuacji oznacza to, że wytworzona przez mieszczaństwo kategoria zabytku, jako „echa przeszłości", nie należy tylko do jego wyobrażeń, ale całego społeczeństwa. Z wszelkimi tego konsekwencjami. Zabytek oto staje się czymś, co nadaje splendor istnieniu każdego człowieka, podnosi na „wyższy stopień kultury" i sytuuje podmiot – jakby to określił Thorstein Veblen – w klasie próżniaczej, poza rzeczywistymi problemami życia.

Podkreślmy z naciskiem: każdy podmiot, więc również z klas ludzi pracy. Słusznie bowiem zauważa w *Turyście* Dean MacCannell, że im bliżej współczesności to „Kultura społeczeństwa przemysłowego ulega rozkładowi od wewnątrz, w miarę jak alienacja wkracza do miejsca pracy, a równocześnie ten sam proces prowadzi do narodzin nowoczesności. Potwierdzenie podstawowych wartości społecznych zaczyna dokonywać się poza pracą i szukać sobie miejsca w rzeczywistości czasu wolnego i próżnowania. „Twórczość" ogranicza się niemal wyłącznie do dziedziny kultury, nie obejmując w ogóle dziedziny techniki i wytwarzania; „bliskość" i „spontaniczność" cechują relacje społeczne poza pracą. Stosunki panujące w pracy coraz bardziej skażone są zimną kalkulacją".

Podmioty zatem z klas pracujących, gdy tylko mogą i na to je stać, uciekają za byt, czyli w luksus za-bytku. Jak widać język polski znakomicie odzwierciedla tę poplątaną społeczno-kulturową sytuację! Zimny, wykalkulowany byt pracy i realnych problemów życia zastępuje jego surogat, więc zaledwie „bytek", wcielony w (za)bytek.

Z drugiej zaś strony – zabytek pozwala cielesności rzeczy przyswoić niematerialną, choć wcieloną w wizualną duszę, która nie koniecznie stanowi faktyczny ślad po przeszłości. Wystarczy, że uosabia jej echo, a jednocześnie odpowiada normom smaku i panującemu ładowi wyobrażeń tradycji i historii. Można wprawdzie w związku z tym rzec, że w tej sytuacji traci on status oryginału, ale nie jest to takie pewne, jak wydaje się na pierwszy rzut oka.

Dopuszcza się bowiem – jak to określa Umberto Eco – odróżnienie oryginału substancjalnego danego obiektu od jego oryginału wizualnego. Pierwszy stanowi określoną rzecz w postaci ukształtowanej przez czas, biegnący od przeszłości po chwilę obecną. Drugi natomiast jest formą tego oryginału, wcieloną w dowolną materię. I właśnie owo wcielenie konstytuuje oryginał zabytku! Na tej zasadzie – by wykroczyć poza Musila – ten status ma np. warszawska Starówka, Zamek Królewski, liczne zrekonstruowane pałace i dworki; także wiejskie, kryte strzechą chałupy ze skansenów, stare rybackie łodzie, pługi i brony, naczynia kuchenne i kołowrotki, a nawet starannie wyeksponowane i gdzie trzeba podmurowane ruiny obronnych murów, wież strażniczych oraz liczne, odrestaurowane kościoły, łącznie z zabudowaniami i kościołem Paulinów na Jasnej Górze. To wszystko wszakże nie jest powszechnie widziane tylko jako konstrukcje „echa przeszłości", bo nie pozwala na to panująca wyobraźnia mieszczańska i typ kultury, z którego ona wyrasta.

Dla niej natomiast odpowiednikiem zabytku jest tylko tzw. tessera hospitalis i związany z tym przedmiotem pewien obyczaj, żywy niegdyś w starożytnej Grecji. Oto gospodarz domu, żegnając goszczącego w nim przyjaciela, dawał mu na pożegnanie właśnie tessera hospitalis, czyli – przełamaną, glinianą skorupę, której drugą część zatrzymywał. Czynił to po to, by gość lub jego potomek, gdy ponownie do jego domu zawita, mógł być rozpoznany, kiedy wręczy otrzymaną niegdyś część skorupy, a druga, będąca w posiadaniu gospodarza, utworzy z nią całość.

Zabytek – wedle potocznej wyobraźni – stanowi właśnie taką skorupę. Choć przybiera ona różne postaci: obrazu, narzędzia walki lub pracy, obiektu ruchomego lub nieruchomego, określonego miejsca w przestrzeni. I każda z tych postaci jest częścią, która domaga się złączenia z inną, pozostałą z przeszłości i „mówi", że nieobecne (przeszłość) jest obecne (zabytek).

Tego mówienia więc wyobraźnia mieszczańska nie traktuje jako dzieła własnych czynności duchowych lub jako tworu społecznego, lecz jak najbardziej dosłownie: jako znaczenie wcielone w przedmiot. Wyobraźnia ta bowiem – jeśli można tak się wyrazić – jest przedkantowska. Fikcyjne „echo przeszłości" oraz jego zewnętrzny odpowiednik materialny, stanowią dlań jedność, jakby dokonał się akt wcielenia ducha w materię. Faktyczność nie jest – w tym ujęciu – sferą rzeczy samych w sobie, które z natury są nieme, i tylko siebie swą ciszą uobecniają.

Umysł przedkantowski bowiem, którego formą jest ta wyobraźnia, widzi w nich coś więcej: rzeczy, które odsłaniają swe znaczenia, jako właściwe im formy naoczności. Nie odróżnia się więc tutaj kulturowych środków pojawiania się owych form, od substancji podstawy, na której się wznosi dane przedstawienie, oraz – co istotne – samej pracy jego konstytuowania. A właśnie w tych środkach i pracy (a nie w samej rzeczowej podstawie, jako niemej faktyczności) tkwią – prześlepiane przez tę wyobraźnię – treści, które odnajdywane są (wtórnie) w przedstawieniu.

Zabytek jako wytwór przemysłu kulturowego

To wszakże, co indywidualnie, intuicyjnie, niekiedy amatorsko, czynili opisani przez Musila mieszczańscy właściciele poarystokratycznych resztek, aby usłyszeć w zabytkach „echa przeszłości", jest niczym, w porównaniu z tym, co jako swoisty podmiot zbiorowy, czyni przemysł kulturowy w kolejnych dziesięcioleciach XX w. Jego zaś ekonomia, jak zauważa cytowany tu wyżej MacCannell, jest odmienna od ekonomii zasadniczej produkcji przemysłowej. Nie wypracowuje bowiem zysków w procesie produkcji, lecz zyski te osiągają przedsiębiorcy, działający na obrzeżach rzeczywistego wytwarzania. Stanowią oni szereg: od sprzedawców prażonej kukurydzy i pamiątek, poprzez agentów turystycznych i biura podróży, konserwatorów, aż po właścicieli wytwórni filmowych i instalacji telewizyjnych oraz wyposażonych w wiedzę z historii sztuki, archeologii czy etnologii przewodników, autorów opracowań lub komentarzy do folderów. Ich natomiast działania – jak czytamy w *Turyście* – „skupiają się na produkcji kulturowej, która w sposób niemal magiczny nieustannie generuje kapitał, często sama nie pochłaniając żadnej energii"

Marnie by jednak zabytki sczezły, gdyby nie właśnie działanie wielu branż tego przemysłu, będących ekonomicznymi przedstawicielami i rzecznikami mieszczańskiej wyobraźni. To on bowiem, za pomocą odpowiednich środków, utrwala ową przedkantowską metafizykę zabytku, jako pełnej sensu tessera hospitalis i kreuje swoistą, podstawową dla jego recepcji, mitologię autentyku i autentyczności.

Ten oto dla przykładu dworek, czy zamek, po którego komnatach przechadzamy się w świetle dziennym lub sztucznym - wywołuje w nas pewną aurę. Przemysł kulturowy, inwestując w ich odbudowę i rekonstrukcję, jakby powiedział Adorno, zmienia ją w mglisty krąg oparów, którym w istocie są opisane tu wyżej „echa przeszłości".

A czyni to nie tylko w bezpośredniej pracy nad zabytkiem, lecz poprzez wytwarzanie odpowiednich form oryginałów wizualnych zabytków. Przyczynia się tym do konstruowania perspektywy oglądu zwiedzającego, który czerpie przyjemność estetyczną z zauważonej zgodności między tym, co dane mu było w postaci filmu lub fotograficznej reprodukcji, a obiektem czy rzeczą zabytkową.

Aura zabytku przestaje być wtedy samoistnym światłem, promieniującym z autentyku, lecz jest wtórnym refleksem, oparem, obecnym w filmach i reprodukcjach i osiadającym na rzeczach jak kurz. W tych bowiem spreparowanych oryginałach wizualnych zawarte są określone schematy postrzegania, rozumienia a nawet odczuwania. Rezultatem jest zawsze doznanie swoistego piękna, jako mniej lub bardziej mdłej impresji.

Po to jednak, by wrażenie autentyczności zabytków uzyskać, trzeba wiedzieć, że podczas ich recepcji ma się właśnie z nią do czynienia. I tu również ten przemysł włącza swą aktywność twórczą. Odbywa się to przez kształtowanie szczelnego muru pomiędzy podmiotem recepcji zabytku i znawcą. Tak więc postrzega go ten, kto posiada odpowiednie kompetencje (np. historyk sztuki czy konserwator). Ktoś natomiast ich pozbawiony – zawsze zostaje w sferze domniemania, bo opiera się jeno o autorytet znawcy lub przewodnika. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z poznaniem, jako z obecnością pewnej istniejącej faktyczności. W drugim – z domniemaniem.

Ale, gdy chodzi o c h a r a k t e r przeżycia, i znawca i niekompetentny laik oczekują od zabytku tego samego. Gdy więc jeden i drugi (choć na odrębny sposób) jest przekonany, że ma do czynienia z autentycznością - doświadcza doznania pozytywnego; kiedy nie jest – negatywnego. I dlatego ten, kto wie, i ten, kto uzyskał autorytatywną (choć nie koniecznie prawdziwą) informację, są w takim samym położeniu estetycznym. Podobnie mogą być rozczarowani i zawiedzeni. Albo – przeciwnie – zachwyceni, kiedy wyrok będzie pozytywny. Gdy negatywny – czar znika.

Można to doznanie wygenerować lub dodatkowo wzmocnić przez dobór i selekcję opracowań historycznych, archeologicznych i etnologicznych; przez odpowiednio wyszkolonych przewodników, którzy wiedzą na kogo i co się powołać, kogo zaś i co pominąć, gdy mają do czynienia z taką bądź inną grupą odbiorców. Krótko: przez swoistą grę wiedzą i ignorancją zwiedzających. W rezultacie: wyobrażenie zabytku, jako „echa przeszłości", zostaje skonstruowane, a skuteczność tych zabiegów osłabia się lub wzmacnia, zależnie od tego, jak i jakie przedstawione zostają opowieści i historie, które zabytek ucieleśnia.

Wszystkie one muszą być ułożone tak, aby zabytek był jakby wehikułem czasu, przenoszącym w przeszłość: muszą zawierać taką treść, która odpowiada nie tylko przeszłym realiom, ale też i współczesnym marzeniom i wyobrażeniom zwiedzającego. Stąd – dla przykładu – nie jest przypadkiem, że zwiedzający Jasną Górę – chętnie nastawia uszu na epizod dziejów powieściowego Kmicica i księdza Kordeckiego. Tak samo oglądający pióropusze wymordowanych niegdyś przez Jankesów Indian – widzą je przez treści powieści Karola Maya itd. itp..

W jednym zaś i drugim wypadku stosowany jest, jak to nazywa Adorno, „racjonalnie dysponowany romantyzm". Przy okazji tych opowieści, upowszechnianych i produkowanych w związku z zabytkami, dokonuje się jakby uwznioślenie zwiedzającego, wynoszące go ponad codzienność. Przywołanie bowiem postaci, skojarzonych z zabytkiem, pozwala na porównanie i wyobrażeniowe zrównanie i identyfikację własnego życia z życiem tej postaci. Kucharka może bez przeszkód stać się księżniczką, a drobny urzędnik – niezłomnym rycerzem itp. itd..

Przemysł kulturowy, jak mówi Adorno, zmusza do połączenia rozdzielonych przez tysiąclecia obszarów kultury wysokiej i niskiej, i to ze szkodą dla obydwu. Ze szkodą – bo wysoka pozbawiona zostaje powagi; niska natomiast - przez poskromienie niesforności i oporności – właściwych jej cech. I to mogłoby być pointą dla moich konstatacji o tym przemyśle. Ale – może być ona jeszcze inna.

Przypomnijmy bowiem piękne i głębokie opowiadanie Brunona Schulza pt. *Księga*. Jego dziecięcy bohater i zarazem narrator, opowiada, jak to kiedyś, wraz z ojcem, dane

mu było obcować z Księgą, w której uobecniała się autentyczna istota świata. Ale Księga zniknęła. Jednakże po długich poszukiwaniach – udało się bohaterowi natrafić na jej ślady. Były to... gazetowe strony pełne reklam: płynu na porost włosów i opowieści, jak niejaka Csiling, pod wpływem jego cudownego działania, „zaczęła porastać we włosy i nie dość na tym, jej mąż, bracia kuzynowie z dnia na dzień opilśnili się tęgim futrem czarnego zarostu"; opowieści o Elsie – fluidzie z łabędziem, który stanowił cudowny balsam też czyniący cuda, czy o panu Bosco z Mediolanu – mistrzu czarnej magii. Jak powiada narrator: to, co znajdowało się na wypełnionych reklamami stronach – to właśnie „był Autentyk, święty oryginał, choć w tak głębokim poniżeniu i degradacji".

Sądzę, że Schulz opowiada tu o tym samym, co później teoretycznie wyjaśniał Adorno. Tyle, że bez poetyckiej ironii autora „Sanatorium pod klepsydrą". Pośrednio też mówi pisarz i o przedmiocie tych rozważań. Czymże bowiem jest owo „echo przeszłości" – zabytek, jak właśnie nie Autentykiem w głębokim poniżeniu i degradacji?

Jest on wszak tylko wcielonym aksjologicznym powidokiem wielkiej i wspaniałej dawności, zdegradowanej do naiwnej, metafizyki tessera hospitalis.

Ale przecież w dzisiejszej kulturze tylko w tej postaci może Autentyk (i zabytek) istnieć: marginalizując wszelką kulturę wysoką i wytwarzając marginesy kultury. W tych marginesach jednak - jak sądzi w „Księdze" Schulz – trwa życie, w którym autentyczność rozlewa się jak światło. I nie ma tam przegrody między wyobrażeniem, jego sensem i materialnością świata przedmiotów, choć autentyk ma taki sam byt, jak reklama płynu na porost włosów, czyli – jak mówiłem wyżej – nie jest bytem, ale zaledwie (za)bytkiem.

Chociaż – z drugiej strony – ów (za)bytek ma istotne znaczenie dla świadomości indywidualnej. Zwiedzanie zabytków bowiem – jak powiada autor „Turysty" - „jest rodzajem zaangażowania, którego społeczne przejawy pomagają pojedynczemu człowiekowi poskładać w całość oderwane doświadczenia. W ten sposób jego własne życie oraz społeczeństwo, w którym się ono toczy, stanowią dla niego uporządkowaną sekwencję przedstawień, tak jak zdjęcia w rodzinnym albumie".

Zabytek jako sierota po sacrum

Był wszakże czas, kiedy zabytki nie istniały, a to, co odpowiada dzisiaj ich pojęciu, mieściło się w obrębie sacrum religijnego. Po średniowieczu jednak kurczy się ono i zanika. Jednym z tego skutków jest ukształtowanie się swoistego, odrębnego od religijnego sacrum wspólnotowego, operującego właściwą sobie symboliką i mitologią o charakterze totalnym. Owa symbolika i mitologia zaś służą wynoszeniu danej społeczności nad wszystkie inne. I nawet to, co pospolite przemieniają w świętości. Krajobraz – dla przykładu – staje się za ich sprawą narodowy; wieśniacy, orzący ziemię wiosną - są wyrazem trwania ojczyzny w wiecznej przemianie pór roku itp. itd.. Czynią tedy to wszystko i temu podobne bezczasowymi wartościami dla siebie. Zdarzenia i rzeczy dzięki temu zmieniają się w opromienione świętością przejawy dokonań, celów i zamierzeń wspólnoty.

Zachowuje się więc sacrum wspólnotowe podobnie, jak niegdyś religijne, z którego zresztą nieustannie czerpie najrozmaitsze treści i wyobrażenia. Tak więc sprawy i działania danej grupy, tworzącej je są „święte"; działania wrogów natomiast „wszeteczne". Dla niej trzeba się „poświęcać", widzieć zbiorowe „światło". Dlatego w określonych okolicznościach społecznych i kulturowych następuje zlewanie się pozostałości sacrum religijnego ze wspólnotowym do tego stopnia, że dla członków określonej zbiorowości stają się one nieodróżnialne.

Zabytek zaś to sierota po sacrum religijnym. Do tego ostatniego należały niegdyś, obdarzone ponadzmysłowymi walorami, przedmioty naturalne lub sztuczne; obiekty i miejsca rytuałów i obrzędów; rzeczy i miejsca, które świadczyły o tożsamości i ciągłości danej ludzkiej wspólnoty i trwaniu tradycji. Darzono je szacunkiem i kultem. Jedne budziły lęk i grozę, inne radość lub nadzieję spełnienia oczekiwań.

W miarę jednak wyłaniania się sacrum wspólnotowego – rzeczywistość ludzką okrywa kopuła kultury i ideologii mieszczańskiej. Najróżniejsze zaś ich momenty pełnią tę samą rolę, co minione świętości religijne: czynią z wyobrażeń, obiektów, wyróżnionych i znaczących dla danej społeczności miejsc w przestrzeni, składniki - jak to St. Ossowski nazywał - „ojczyzny ideologicznej" i „ojczyzny prywatnej".

Ojczyzna pierwsza, ideologiczna, oznacza wedle niego emocjonalnie pozytywny (i egzystencjalnie zakorzeniający we wspólnocie) stosunek do ogólnonarodowych dóbr kultury, miejsc i obiektów pamięci, symboli, historii i tradycji walki o ich obronę. Natomiast „ojczyzna prywatna" wiąże się z określoną sferą zwyczajów i obyczajów lokalnych, nawyków i reakcji emocjonalnych; z pewną uczuciową aurą i symboliką regionalną, a także z obiektami, które ucieleśniają regionalną tradycję i historię.

Widomymi zaś wyrazami tych „ojczyzn" są właśnie zabytki, w które wcielają się sakralności dawne. Przydrożne świątki czy stare kościoły (np. katedra gnieźnieńska), obrazy (np. Matka Boska częstochowska), jak i słupy pokutne itp. itd., stają się nie tyle (i nie tylko) przedmiotami czy miejscami kultu, lecz elementami krajobrazu „ojczyzny ideologicznej" lub „prywatnej". I w tej roli zrównują się z zabytkowymi meblami, ubiorami, zachowanymi po przeszłości przedmiotami codziennego użytku, z pałacami, dworkami i zamkami, jak też z dawnymi chałupami krytymi strzechą.

Ta wspólnotowa sfera świętości umiejscawia się jakby w opustoszałej po religijnej przestrzeni i zawłaszcza ją z dobrodziejstwem inwentarza. Przy czym: oddziela się wyraźnie od prozy zwyczajnego życia, choć jej sensy nie są oczywiste. O jej znaczeniach trzeba się dopiero uczyć i wciąż o nich przypominać, gdy niegdyś, w obrębie sacrum religijnego, zdawały się one bezpośrednio dane w każdej czynności, myśli czy wyobrażeniu. Przepełnione nim było całe życie, praca, świętowanie i kulty.

To wszystko jednak dokonuje się wraz ze zmianami społecznymi i przemianami wyobrażeń o historii i narracyjnych form jej przedstawień. One także przechodzą właściwą sobie drogę rozwoju. Im są bliższe postaci dawnego, przednowożytnego sacrum religijnego, tym bardziej są formami opowieści mitologicznych. Im dalej – tym mocniej ulegają wspólnotowej ideologizacji, choć nie rezygnują z wykorzystywania mitów. Zawłaszczają je i przekształcają, aby pasowały do obrazu przeszłości, której świadectwem są zachowane obiekty, miejsca i ślady na nich.

Tworzy się wokół nich różne wersje ich obecności w dawnych wydarzeniach, i nadaje pożądaną wymowę emocjonalną. Skutkiem tego przyciągają one uwagę. A ponieważ niektóre z nich wydają się oryginalne swą dziwacznością, więc początkowo gromadzi się je i pokazuje jako – jak to nazywano w XVIII w. – kurioza. Jednakże kuriozami być one przestają na skutek dalszych przemian wyobrażeń o historii.

Wyobrażenia te – mówiąc w największym skrócie – zmieniają w toku dziejów skale preferencji, wedle których rozpatruje się rangę minionych zdarzeń i rzeczowych pozostałości po nich. Od narracji dotyczących władców, arystokratów i bohaterów, wielkich polityków i wodzów; od myślicieli, artystów i wynalazców – przechodzi się krok po kroku do beztwarzowych struktur społecznych, form ustrojowych, a wreszcie – do sposobów życia i wytworów codziennej ludzkiej egzystencji.

W sukurs tym zmianom przychodzą też określone ślady przeszłości, zamieniane w jej echa: od świadectw wielkich postaci historii i dowodów chwały klas wyższych i ich kultury do – jak to powiedział w *Z bliska i oddali* Claude Levi-Strauss – koszów ze śmieciami zwykłych zjadaczy chleba.

Sprawia to, że obszar zabytków wciąż niepomiernie się rozszerza. Teoretycznie rzecz biorąc: wszystko może być (i jest!) zabytkiem, co tylko spadło w przeszłość. Jednakże – co warto z naciskiem podkreślić – wiedza historyczna (przynajmniej naukowa) przestała być tylko zbiorem ideologicznych wyobrażeń o historii, lecz dąży do zdystansowania się wobec nich, czyniąc je przedmiotem krytycznego rozbioru i oglądu. I choć nigdy nie nastąpił rozwód z tymi wyobrażeniami (historycy pozostają ich współtwórcami i popularyzatorami), to jednak wyraźna tu jest separacja. Przynajmniej na profesjonalnych szczytach.

„Ojczyzna ideologiczna" wszakże i liczne „ojczyzny prywatne" są nadal doniosłymi i żywymi sferami świeckiej świętości w kulturze współczesnej. Oparciem wizualnym jednej i drugiej są zabytki właśnie. Wyobraźniowym – nasycone aksjologicznie narracje na ich temat. Pełnią one analogiczną funkcję, co obiekty dawnego sacrum i narracje religijne: zakorzeniają we wspólnocie. Stąd nieustanny głód opowieści, mitów, legend, które wyobraźnia potoczna złączy z uznanymi za zabytkowe śladami przeszłości. Proza historii zostawiona zostaje nauce. Jej świętość – zabytkom.

Sami historycy przy tym przejawiają względem nich postawę ambiwalentną. Jako uczeni - muszą żywić sceptycyzm wobec ich sakralności. Ale jako uczestnicy życia zbiorowego – nie różnią się od laików: są wobec nich pełni pokory, podziwu i czołobitności. A przychodzi im to tym łatwiej, że żaden z nich nie jest historykiem w ogóle, lecz tylko w określonej dziedzinie, i – na ogół – w drobnym jej fragmencie.

Najczęściej - jak to wskazywał jeszcze w „Buncie mas" Jose Ortega y Gasset – są oni ignorantami wobec zawartości całej swej dyscypliny naukowej; zwłaszcza – jej teorii. Reprezentują więc, poza wąskim kręgiem swych kompetencji, wyobraźnię potoczną. Taką samą, jaką posiada niewykształcony ogół. Więcej: z racji posiadanych dyplomów i tytułów – są instytucjonalnymi świadkami prawdziwości treści tej wyobraźni, nadużywając autorytetu nauki. I to oni właśnie są zawodowymi wytwórcami niezliczonych i (niekiedy pomysłowych) wyobraźniowych postaci „echa przeszłości", stanowiących materię określonych powidoków aksjologicznych. Z tego żyją; dzięki temu żyją też zabytki, bo potrzebuje ich – jak wyżej pisałem – przemysł kulturowy.

Zajmuje się on przecież, jak mówiłem, organizacją sensu zabytków oraz kształtowaniem nawyków kontemplowania ich. Archaiczne i tradycjonalne wspólnoty, z których one się wywodzą, zdominowane przez sacrum religijne, rozsypały się w proch. Mity i legendy (w mniej lub bardziej zniekształconej postaci), najpierw ustnie przekazywane z pokolenia na pokolenie, potem zapisywane, przechowywane w archiwach i upowszechniane w książkach, nie mają w sobie dawnej oczywistości sacrum religijnego.

Zniknął bowiem, charakteryzujący świat tradycjonalny, całokształt bezpośrednich stosunków ludzi do siebie i przyrody. Wytworzył się i pogłębił dystans między nimi. Ale nadal istnieje natarczywa potrzeba tożsamości z jakąś „ojczyzną ideologiczną" i określoną „ojczyzną prywatną". Mimo, że obecnie splata ludzi ze sobą nie więź krwi, przyjaźń, miłość, zażyłość, lecz interes czy telefon i Internet; zysk lub zapłata za pracę i powinności wobec przełożonych i urzędów.

Tu nie poradzi sobie bard, poeta, czy pamiętający dawne czasy starzec. Rolę kuriozalną raczej odgrywają różni czarownicy i wróżbici. Potrzebne są zorganizowane i odpowiednio ukształtowane gremia, pod kierownictwem konkretnych branż przemysłu kulturowego, które skutecznie będą oddziaływać na wyobraźnię zbiorową, zaspakajając ową potrzebę tożsamości.

I tego właśnie dokonuje przemysł kulturowy. W jego więc ramach powstają, zgodnie z charakterem społeczeństwa kapitalistycznego, określone wartości - zabytki, które są ciałami towarów. Jest on zawsze zainteresowany określonymi ich formami; ich nagłaśnianiem, reklamą, jak i eksponowaniem, jako skorup pamięci właśnie, które trafiają do emocji i umysłów ludzi współczesnych; ludzi, którzy przecież tak naprawdę są wykorzenieni z „ojczyzn ideologicznych" i „ojczyzn prywatnych". I są równie dobrze nigdzie, jak i wszędzie.

Zabytek jako byt próżniaczy

Recepcja zabytków to zatem kulturowa forma próby zakorzenienia się ludzi we wspólnocie, poprzez wsłuchiwanie się w fikcję „echa przeszłości", która – jako powidoki aksjologiczne – ucieleśniła się w określony materiał. Trafnie więc zauważa Dean MacCannell, że „Resztki wygasłych tradycji przywróconych do życia to istotne elementy nowoczesnej wspólnoty i świadomości. Przypominają o naszym zerwaniu

z przeszłością i tradycją – także naszą własną tradycją", bowiem – jak powiada w innym miejscu – postęp nowoczesności zależy od dojmującego odczucia niestabilności i nieautentyczności.

„Ludziom nowoczesnym – pisze – zdaje się, że autentyczność i realność leżą gdzie indziej: w innych epokach historycznych czy innych kulturach, w życiu prostszym i czystszym, niż ich własne. Innymi słowy, uwaga, jaką człowiek nowoczesny poświęca „naturalności", jego tęsknota za autentycznością i jej uparte poszukiwanie nie są przypadkiem ani przejawem dekadencji; niegroźnym dodatkiem do pamiątek po zniszczonych kulturach i minionych epokach. Stanowią one składnik zdobywczego ducha nowoczesności i podstawę świadomości, która jednoczy".

Dlatego – dla przykładu – zwiedzanie zabytków jest swoistym, zbiorowym na ogół, obrządkiem, obcym rytmowi codzienności i jej obiektom. Więcej: jest czymś przeciwstawnym całości realnego życia. Zabytek bowiem jest świętą świeckością. Jako świętość – wymusza nabożność: spuszczenie zasłony na bieżące interesy i skupienie się wyłącznie na nim. Istnieje dzięki temu poniekąd tak, jak kantowskie dzieło sztuki. Stanowi przecież coś, co samo dla siebie jest celem. Zachowana resztka muru, oznaczone pole bitewne, cmentarz, kościół, obraz, narzędzie tortur, drewniana socha, dawny dworek czy zamek – nie mają celu praktycznego. Każdy, kto do tych lub podobnych rzeczy się zbliża, jest kimś przybywającym z zewnątrz i pozornie po nic. Jedyną zaś postawą, jaką może zająć, jest tylko postawa kontemplacji.

Modelowym natomiast podmiotem recepcji zabytku jest turysta. Ktoś dysponujący właśnie „pustym" czasem, który „poświęca" przedmiotowi zabytkowemu, będącemu pozorną skorupą pamięci, łączącą go z tym, co „kiedyś było" i teraz istnieje w porządku pustej uniwersalności. Owa więc święta świeckość realizuje się przez „poświęcenie", „ofiarowanie" czasu. I te określenia wcale nie są tu przypadkowe. Mają wyraźnie religijny charakter, związany z umarłą sferą sacrum religijnego, w obrębie którego również dokonywało się poświęcenie i ofiarowanie, choć w rytmie życia innej kultury. Tu świętość wyraża się jedynie w zwiedzaniu, oglądaniu, wysłuchiwaniu informacji o zabytku, kontemplowaniu i puszczaniu wodzy fantazji.

Dlatego zabytki „mówią" . Na ogół patetycznie lub sentymentalnie. O walce, poświęceniu ojczyźnie, bogom lub religii czy ideologii. Tu i teraz dany kawałek materii przenoszą we wzniosły porządek aksjologiczny. I zaświadczają prawdziwość opowieści swą obecnością przed zwiedzającym. Dreszcz pozoru poznania łączy się w zwiedzaniu z przeżyciem swoistego piękna. Piękno, dobro i prawda ukazują się jako jednia. Tym samym zabytek okazuje się może ostatnim rezerwatem metafizyki, w którą po Kancie zwątpiła filozofia. A jego pozorny status skorupy pamięci znakomicie się do tego nadaje.

Należy jednak podkreślić odrębność zabytku, jako wytworu sacrum wspólnotowego i obrządku zwiedzania od obecności religijnego, które dla wiernych przenika mniej lub bardziej całą codzienność. Bogowie czy Bóg, ucieleśnione święte znaki itp. panują wszędzie, gdzie pojawią się ich grupy. Sacrum zaś, realizujące się np. poprzez modlitwę, wciąga w swój obszar każdą czynność i potrzebę (od łyżki strawy po chęć ukarania morem wrogów). A święto jako czas specyficzny, nigdy nie jest pusty, jak czas turysty. Stanowi zintensyfikowaną i aktywną obecność świętości. Istnieje w podmiocie przeżyć religijnych jak prąd płynący przez przewodnik, który rozgałęzia on na cały świat. W przypadku zabytku – taki prąd płynie wyłącznie w nim, jako „echu przeszłości", aby dla zwiedzającego wyszeptać nieobecne korzenie, by nieodwołalnie wiązały go one z bytem wspólnoty. Stanowi więc obwód zamknięty.

Dlatego w kulturze współczesnej, w której resztki żywej świętości religijnej coraz szybciej zamierają, obiekty postrzegane jako zabytki, a jednocześnie będące przedmiotami kultu religijnego, mają status dwuznaczny. Należą bowiem zarazem do sfery religijnej i świętości świeckiej, wspólnotowej, co u wyznawców kultu wywoływać może wewnętrzny dysonans. Chociaż przechodzi się najczęściej nad tym do porządku: splata się nabożność zwiedzającego turysty z jego nabożnością religijną. Sprzeczność wtedy znika, a przeżycie estetyczne dopełnia religijne.

Jeżeli nie - to zdarzają się sytuacje, jak ta, którą opisała jedna z gazet codziennych: ponieważ w jednej z wsi zielonogórskich wnętrze zabytkowego kościoła, ozdobione freskami, wydawało się proboszczowi brudne – po prostu kazał je zamalować, bo brud to przecież „rzecz nie na miejscu". Ostało się tedy „czyste" miejsce dla kultu. Świecka świętość przegrała. Oburzył się wprawdzie na to dziennikarz i konserwator zabytków, ale ksiądz postawił na swoim. Takie zdarzenia należą jednak do zanikających. Nie dlatego, że świecka świętość, czyli zabytek zwycięża. Z tej przyczyny, że zabytki stwarzają liczne możliwości dobrych interesów.

I w tym momencie wracamy do punktu wyjścia tego eseju. Zaczynając go – akcentowałem kulturową rangę zabytków. Potem ukazałem, jak przedstawia się ich geneza w obrębie świata mieszczańskiego, w którym są one – z jednej strony – podstawą jednego ze sposobów jego istnienia; z drugiej – formą nawiązania do (i przekreślenia) świata tradycjonalnego, feudalnego, przesyconego sacrum religijnym.

Mieszczaństwo oto jak już mówiłem - nie zna owego „zawsze" klas wyższych z porządku arystokratycznego i szlacheckiego. Przejmując jednak obiekty dawniej panujących, próżniaczych klas i stanów, chce, dzięki ich posiadaniu, zawłaszczyć je i swe życie opromienić ich urokiem. Jest ono jednak z istoty od ich odmienne, bo sposób jego funkcjonowania wiąże je z teraźniejszością i przyszłością, gdyż tam rozgrywają się jego realne interesy. Wytwarza więc fikcję „echa przeszłości", wiąże ją ściśle z przejmowanym dziedzictwem, a z jednego i drugiego tworzy wyłączoną z realności społecznej „czystą" enklawę, w której człowiek istnieje dla samego siebie. Tak powstaje zabytek i miejsce dlań, jako bytu próżniaczego, obdarzonego czcią i szacunkiem.

Jednakże klasa ta nie byłaby sobą, gdyby zdolna była cenić coś, co nie jest towarem. To więc, czym się sama bezpośrednio otacza, a reprezentuje przeszłość, ma stanowić obiekty, które przynoszą zysk, albo – jak to ujmował Veblen – być przejawem prestiżowego marnotrawstwa na pokaz. Stąd

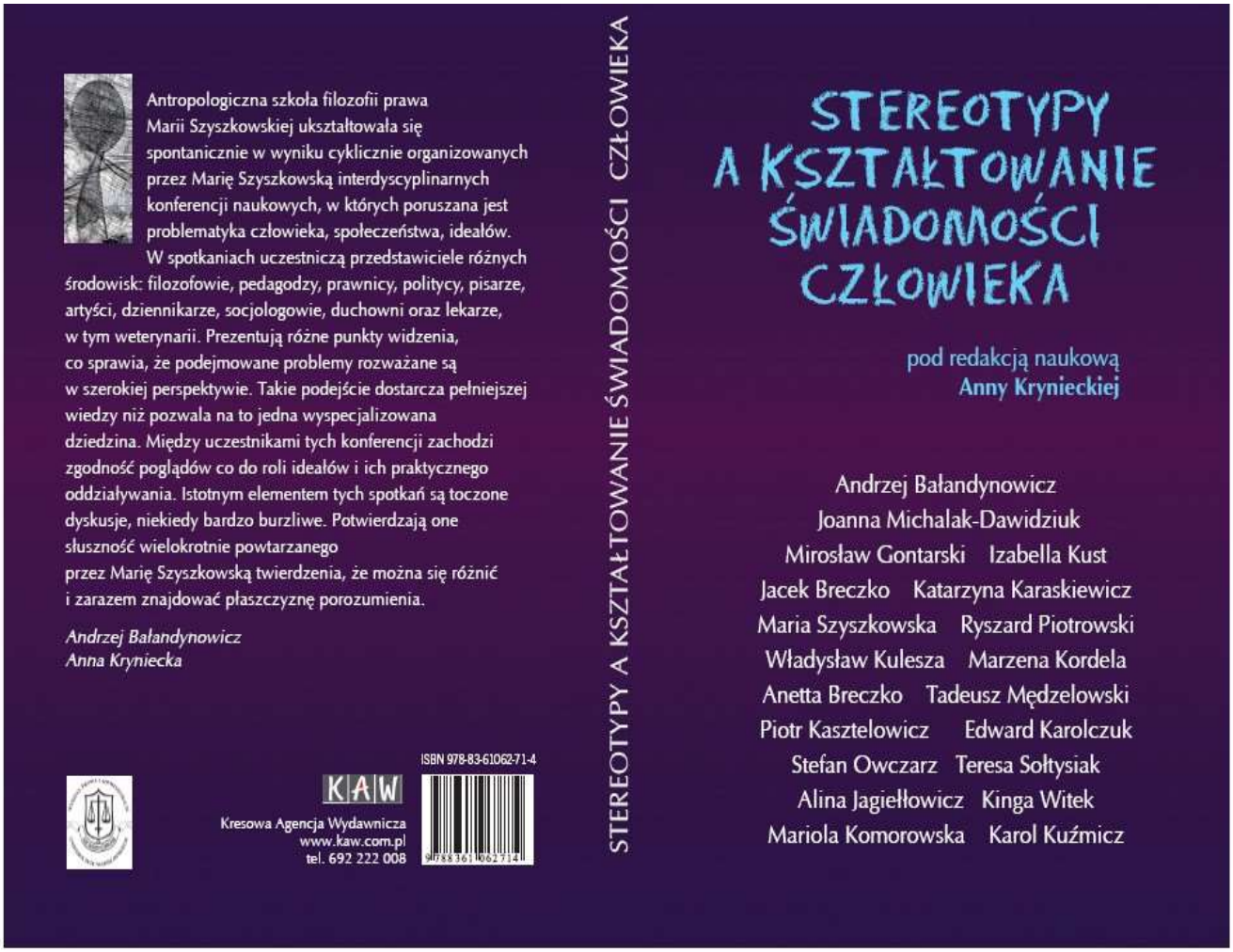
wspomniana wyżej analogia między zabytkiem, a dziełem sztuki, rozumianym na sposób Kanta, co nie przeszkadza temu, by stwarzał on możliwości dobrych interesów. Dlatego jest on najlepszym przykładem tworu kultury, w którym zaciera się granica między kulturą wysoką i niską.

Ale z drugiej strony – jak już tu powiedziano - kultura klasy panującej jest kulturą panującą. Dlatego jej mentalność jest zjawiskiem powszechnym, co zostało utrwalone i wzmocnione przez wszechwładny przemysł kulturowy. Ma on na podorędziu niezliczone sposoby, by istotę rzeczy przysłonić i zmistyfikować. Wykorzystuje do tego celu sacrum wspólnotowe różnych zbiorowości, a przede wszystkim symbole i mitologie różnych „ojczyzn ideologicznych i „ojczyzn prywatnych”, a w nich świecką świętością wdzięczą się zabytki, dostarczając okazji do wewnętrznego i życiowego próżnowania oraz do wydawania lub zarabiania pieniędzy. I tak oto byt społeczny zamienia się w „bytek”. Płynie stąd uzasadnione poczucie pustki i iluzoryczności obiektów, w których rozlega się „echo przyszłości”.

Trafny dawał temu wyraz G. Steiner w swej książce *W zamku Sinobrodego*, gdy pisał, myśląc o licznych rekonstrukcjach zabytków po II Wojnie Światowej, że „test stanowią odrestaurowane śródmieścia. Wielkim nakładem kosztów i wysiłku starówki, całe miasta, zostały odbudowane, kamień po ponumerowanym kamieniu, pelargonia za pelargonią. Fotograficznie nie można ich odróżnić; patyna na gzymsie jest nawet bogatsza niż uprzednio. A mimo to czegoś tu niewątpliwie brakuje. Jedź do Drezna czy do Warszawy, stań na jednym z doskonale restaurowanych skwerów w Weronie, a sam to odczujesz: doskonałość restauracji ma głębię wierzchniej warstwy lakieru. Jakby nie udało się odtworzyć światła w absydach, jak gdyby powietrze było nieodpowiednie i wciąż przesycone swądem spalenizny. Nie ma nic mistycznego w tym odczuciu; jest ono niemal boleśnie dosłowne. Być może uporządkowanie dzieła starożytnego harmonijnie współgra z czasem, a perspektywę ulicy, linii dachów, które doświadczyły naturalnego istnienia, można przedstawiać w postaci repliki, lecz nie re-kreacji (reprodukcja, nawet idealnie nieodróżnialna od oryginału nie jest formą żywotną). Jakkolwiek miła dla oka, Starówka warszawska jest jedynie dekoracją teatralną; u spacerujących po niej żyjących nie wywołuje żadnego rezonansu. I właśnie obraz tych precyzyjnie odbudowanych fasad domów, tych mozolnie konstruowanych świateł i cieni mam na myśli, próbując odróżnić to, co jest nie do odzyskania – nawet jeśli istnieje w pobliżu – od tego, co niesie presję życia”.

Tak oto w zabytku wyraża się utracony byt bytu.

Jan Kurowicki *– prof. dr hab., filozof. Ostatnio opublikował książki: O pożytku ze zła wspólnego (2015), Estetyczne przysłony rzeczywistości (2016).*



Bogusław Jasiński

NOWE MEDIA – NOWY JĘZYK

Kilka uwag filozoficznych o językowej grze o nową sztukę

Cyfrowe dzieła sztuki

Mówiąc o nowych mediach mamy zazwyczaj na myśli cyfrowy zapis obrazu i dźwięku oraz nowe, wynikające z technologii komputerowej, (a ściślej z coraz to nowych programów obsługi) możliwości jego kształtowania. Ten oczywisty punkt wyjścia niniejszych rozważań staje się jednocześnie mocną przesłanką traktowania dzieła sztuki jako swoistej bazy danych, która w każdorazowym odtwarzaniu jest niejako aktualizowana w postaci jakiejś konkretnej wypowiedzi artystycznej. Widzimy tu też od razu, iż cyfrowe dzieła sztuki niejako inkorporujemy w tradycyjne schematy teoretyczne, wśród których bez trudu rozpoznajemy znane figury myślowe językoznawstwa ogólnego stworzone przede wszystkim przez Ferdynanda de Saussure'a. Przyjęcie takiej perspektywy badawczej niesie ze sobą dwie konsekwencje. Po pierwsze, zakłada się niejako milcząco – bo wszak nie da się inaczej – że sztuka nowych mediów jednak jakiś język wypowiedzi artystycznej wytworzyła. Założenie to niekoniecznie jednak jest bezdyskusyjne. I po drugie, że tak naprawdę posługujemy się starym aparatem teoretycznej analizy, bo po prostu nowego nikt nie stworzył. Jest to – niestety – bliskie prawdy, ale i zarazem wystawia świadectwo dla samych teoretyków nowych mediów. Przejdźmy jednak do porządku nad obu kwestiami, niewątpliwie spornymi, albowiem w poniższych uwagach chciałbym się skupić nad filozoficznymi kontekstami przyjęcia takiej perspektywy badawczej, mając jednocześnie pełną świadomość kontrowersyjności obu przyjętych założeń.

Językoznawstwo i filozofia współczesna

Przejdziemy obecnie do analiz niektórych problemów związanych z rozwojem współczesnego językoznawstwa. Interesować nas jednak będą przede wszystkim filozoficzne – jak już powiedziałem wyżej – konsekwencje tych badań.

Od czasu słynnych wykładów genewskich Ferdynanda de Saussure'a (1907-1911) przyjęto wyróżniać w języku dwie jego podstawowe cechy: formę i treść, inaczej: znaczące i znaczone. Cały jednak wysiłek badań tak efektownie rozpoczętych w *Kursie językoznawstwa ogólnego* skoncentrowany został na analizie aspektów formalnych języka. Jak wiadomo, osiągnięto na tym polu spore sukcesy. Zwłaszcza zwrócić należy uwagę na dynamiczny rozwój takich dyscyplin jak fonologia i morfologia. Ten formalistyczny duch współczesnego językoznawstwa był praktyczną niejako realizacją teoretycznych pomysłów Husserla z okresu *Logische Untersuchungen*. Antypsychologistyczna kampania twórcy fenomenologii inspirowała ergocentryczne badania nad wytworami kultury – zawołanie: „badać je ze względu na nie same" było echem Husserlowskiego „powrotu do rzeczy samych". Są to bez wątpienia znamiona czasu szukającego uzasadnień życia w nim samym — jeśli bowiem przestała istnieć wertykalna oś sensu, to w takim razie szukać go należy za wszelką cenę w tym, co jest: a jest tylko to, co istnieje w horyzontalnym układzie odniesienia. Stopień precyzji i racjonalizacji osiągnięty w badaniach nad językiem posłużył niemalże jako wzorzec metodologiczny dla innych nauk. Świat natury zreprodukowanej wypełnia się swoistą racjonalnością. Jego materia staje się nieprzejrzysta na inny układ odniesienia niż on sam. Równolegle w językoznawstwie strukturalnym zanikły pytania o możliwość stworzenia równie precyzyjnej semantyki. Przestano mówić o **znaczeniu**, a cały sens dyskursu teoretycznego wypełniła refleksja nad **formą**. Rozum wytyczył swoje granice.

Można odnaleźć wyraźne analogie między formalistycznym językoznawstwem de Saussere'a, antypsychologizmem *Logische Untersuchungen* Husserla oraz nowatorstwem artystycznym Joyce'a w *Ulissesie*. Charakterystyczne jest dla tych różnych rodzajowo dokonań kulturowych myślenie **formą**: u de Saussure'a mamy pierwszeństwo „systemu" nad jego elementami, u Husserla – obiektywnego istnienia bytów logicznych nad ich genezą, u Joyce'a natomiast tekstu literackiego nad żywiołem narracyjnym. Porównania te wychodzą jednak na korzyść tego ostatniego. Joyce bowiem nie tylko daje w swej powieści iście wirtuozerski pokaz napięć formalnych stylu i narracji, ale także, poprzez wyraźnie zaznaczone zestawienie swego tekstu z pierwowzorem homeryckim, uzasadnienie owej wyszukanej formy epickiej — to zaś wynika z rzeczywiście głębokiego odczytania charakteru epoki. W ten sposób całą swą misterną konstrukcję formalną uzupełnia poprzez pokazanie jej „znaczonego" — owego *signifie*. I na tym polega bezsprzecznie wielkość Joyce'a. Tymczasem de Saussure i wczesny Husserl — każdy na swój sposób — opisują jedynie *signifian*t epoki, słusznie zresztą widząc w nim jej istotę. Ale jej osąd jest dziełem Joyce'a. W tym sensie możemy też powiedzieć, że ów zbuntowany Irlandczyk wychodzi poza swoją epokę — właśnie po to, aby dać jej pełniejszy obraz. De Saussure i Husserl dali się uwieść swojemu czasowi, Joyce natomiast go przechytrzył.

Scharakteryzujmy bliżej filozoficzną wymowę koncepcji de Saussure'a. Zwrócił on po raz pierwszy uwagę na to, że pełnej charakterystyki języka bynajmniej nie wyczerpuje jego analiza historyczna (diachroniczna), jak mniemali językoznawcy dziewiętnastowieczni, lecz polega ona przede wszystkim na opisie tego, jak poszczególne elementy języka współistnieją ze sobą (synchronia). Na tej drodze doszedł on do sformułowania idei systemu. Nie sądzę jednak, aby ten sposób rozumowania de Saussure'a można było odczytać — jak to zwykli czynić niektórzy komentatorzy — jako przejaw kryzysu myślenia historycznego. Historia nadal pozostawała realnością podstawową, albowiem była konstruktem rozumu filozoficznego. Raczej należałoby powiedzieć, że

postulat opisu współistnienia elementów w czasie jest dowodem jej siły — była to raczej próba uzupełnienia historycznego obrazu epoki przez zagadnienia, które do tej pory w nim się nie mieściły. Paradygmat racjonalności pozostał nie zmieniony, pojawiły się tylko nowe problemy w jego granicach.

Formalny opis systemu języka dokonany przez de Saussure'a (*langue* i *parole*, *signifiant* i *signifie*, stosunki syntagmatyczne a stosunki asocjacyjne, paradygmat) możemy uznać za teoretyczną przesłankę metody twórczej Joyce'a, eksploatowanej szczególnie w *Ulissesie*, a potem w *Finnegans Wake*. Porównując koncepcję językoznawstwa strukturalnego z konkretnym dziełem literackim będziemy mogli wydobyć filozoficzne strony teorii de Saussure'a. Język w jej ujęciu jest systemem, czyli pewną całością w określony sposób zorganizowaną, w której możemy określić sens jakiegoś elementu głównie poprzez wskazanie relacji łączącej go z innymi elementami tej całości. Ta koncepcja „lustrzanego" określania elementów języka jest w swoisty sposób powtórzona w metodzie twórczej Joyce'a, gdzie słowa przyglądają się sobie, a znaczenie każdego z nich wynika przede wszystkim z jego opozycji wobec pozostałych. Odniesieniem poszczególnej frazy zdaniowej w „Ulissesie" jest głównie fraza ją poprzedzająca lub fraza następująca po niej, a nie jakieś bliżej nie określone *signifie.* Dopiero całość Joyce'a ma to, czego nie ma paradygmat języka de Saussure'a, a mianowicie sens — tu właśnie rozpoczyna się ów bezwzględny osąd epoki, która m.in. i de Saussure'a wydała. Tu też widać przewagę Joyce'a.

W *Kursie językoznawstwa ogólnego* czytamy również, iż zmiana każdego elementu paradygmatu języka powoduje natychmiast zmianę pozostałych, co w konsekwencji prowadzi do zmiany całości. I ten wątek widzimy u Joyce'a: nowe odczytanie wybranego elementu *Ulissesa* powoduje natychmiast zmianę wymowy całości — pod tym względem *Ulisses* rzeczywiście migocze znaczeniami, na co wielokrotnie zwracali uwagę krytycy i historycy literatury współczesnej. Ale przecież de Saussure twierdzi również, że suma jakości wszystkich elementów systemu języka bynajmniej nie może być wyznacznikiem jakości samego systemu. Innymi słowy system ów to nie jest zwykła suma (agregat — w sensie matematycznym) jego elementów, lecz pewna jakość nowa, niesprowadzalna w prostej linii do jakości jego składowych. I znowu widzimy zastanawiające zbieżności z *Ulissesem*. Oczywiście — podkreślamy to raz jeszcze — mówimy tu przez cały czas o filozoficznych implikacjach formalnych sposobów myślenia o języku i formalnych sposobach myślenia w literaturze. Architektonika całości dzieła Joyce'a jest w tym wypadku jednoznaczna: drobiazgowa i niezwykle dokładnie przemyślana replika struktury *Odysei* Homera. Ale wszak konkretno-życiowe treści dzieła Joyce'a w żaden sposób **nie wynikają** z tak zarysowanej całości, ani też na odwrót: treści owe nie zakładają takiej właśnie całości. Szczególne zaś napięcie sensu, które decyduje o unikalnej wartości całego przedsięwzięcia Joyce'a bierze się raczej ze sprzeczności tych dwóch sfer: idealnego (synchronicznego) zamysłu całości oraz życiowego (diachronicznego, czyli jednak **historycznego**) konkretu. Wszystko zaś po to, aby życie współczesne zdemaskować — tak czyni, i to z pełnym sukcesem, Joyce. Jest on dzieckiem epoki i zarazem jej nieubłaganym krytykiem. Z jednej strony forma, z drugiej historia — jedno w tym dziele dopełnia drugie. Oto dialektyka, o którą potknęło się całe współczesne językoznawstwo, w którym wyeliminowano badania diachroniczne — językoznawstwo, któremu patronował „Kurs językoznawstwa ogólnego".

De Saussure sporo miejsca poświęcał także problematyce arbitralności znaku językowego. Udowadniał, że znaczenia słów i wyrażeń językowych nie wynikają wprost z rzeczywistości, lecz są przede wszystkim generowane przez system języka. W sensie filozoficznym, de Saussure swą metodą przypieczętowuje odrzucenie przez rozum ludzki jakiejkolwiek wyższej konieczności (instancji), niż on sam. Możemy również dopatrywać się w tym jeszcze jednego aspektu emancypacji gatunku ludzkiego — domykanie się natury zreprodukowanej (Opisałem to w swoim *Hauptwerku Tezy o ethosofii*). Procesowi temu konsekwentnie sekunduje — w artystycznej formie — Joyce, wymyślając setki słów zrozumiałych tylko w całym potoku narracji *Ulissesa*. Joyce bawi się słowem — **wie** o tym i pokazuje to czytelnikowi. Jest nad-świadomy całej tej metody, podczas gdy de Saussure pozostaje tylko na poziomie świadomej rejestracji i opisu. Joyce dzięki temu zdobywa się na sproblematyzowanie całej sytuacji, stawia znaki zapytania tam, gdzie de Saussure postawił już kropki. W obu jednak wypadkach owa arbitralność znaku słownego staje się świadectwem pychy rozumu człowieka. Jest to jeszcze jedna forma negacji wertykalnego układu wartości.

Podstawowym jednak motywem myślenia de Saussure'a o języku pozostaje wskazywanie na jego paradygmatyczną zamkniętość — system, który tłumaczy sam siebie. Niewątpliwie cecha ta przypomina to, co pisaliśmy wyżej o istocie natury zreprodukowanej, tej przestrzeni naszego życia, która zagubiła swój wymiar wertykalny. Zbieżności te wyrażają w pewien sposób ducha naszego czasu. Dlatego warto uważnie przyjrzeć się filozoficznej wymowie dokonań de Saussure'a, gdyż wykraczają one poza ramy wąsko pojętego językoznawstwa. W twierdzeniu, iż język sam siebie determinuje i sam siebie tłumaczy, skondensowana jest zasada funkcjonowania natury zreprodukowanej — pogląd na język staje się tu niespodziewanie papierkiem lakmusowym na stan naszej świadomości..

Podobne wnioski możemy sformułować, gdy czytamy wywody de Saussure'a dotyczące pojęcia znaczenia, które opisuje on poprzez koncepcję „różnicy" i „opozycji odróżniającej". Jest to metoda, rzekłbym, negatywna a nie pozytywna, albowiem cechą konstytuującą znaczenie okazuje się tu być to, czym ono nie jest wobec znaczeń innych. Ta figura myślowa przypomina nam próby określania samego siebie (jak u egzystencjalistów): poprzez to, czym jeszcze nie jesteśmy. Czy zatem w ogóle jesteśmy? Oto życie nasze wychylone jest ku temu, czego jeszcze nie ma, i wobec tego właśnie przede wszystkim zostaje określone. Tworzy się cała sieć napięć i działań (projekcji) wypełniających życie i zwróconych ku przyszłości. I ten ruch zdobywania kolejnych samotożsamości staje się naszym losem.

Czym zatem jest rzeczywistość dla współczesnego człowieka? — Jest chaosem, w który dopiero rozum ludzki

wprowadza porządek. Odpowiada temu szczątkowa koncepcja semantyki, jaką odczytujemy z tekstu de Saussure'a. Znaczenie słowom nadaje system języka, który dzieli i hierarchizuje ową bezkształtną rzeczywistość z punktu widzenia własnych, immanentnie mu danych kategorii. Jak się wyrażają inni językoznawcy: „rzeczywistość jest nieprzerwanym continuum" i „nie istnieje system naturalny kategorii lingwistycznych oparty na rzeczywistości" (Bertil Malmberg). Tak oto rozum ludzki kategoryzuje świat — stwarzając jednocześnie świat własny, sobie tylko właściwy, samotłumaczący się.

Dlaczego warto tyle uwagi poświęcać językoznawstwu Ferdynanda de Saussure'a? — Dlatego, ponieważ to właśnie językoznawstwo wysforowało się już na początku wieku dwudziestego na czoło dokonań w humanistyce, dyktując innym dziedzinom metodologiczne wzorce ścisłości naukowej. Ale jednocześnie stawało się ono, co usiłujemy tu pokazać, wyrazicielem określonego światopoglądu, który całej humanistyce dwudziestego wieku nadał pewne oblicze. Wyzwanie, które naukom o człowieku rzuciło językoznawstwo, na długi czas określiło kierunki poszukiwań naukowych oraz wyboru metod badań w takich dyscyplinach, jak antropologia, socjologia, wiedza o literaturze, psychologia. Językoznawstwo stało się awangardą intelektualną wieku.

Wyżej zwróciliśmy uwagę na brak jakichkolwiek zewnętrznych odniesień językoznawstwa współczesnego, które — przynajmniej w wersji strukturalistycznej — zamknęło się w granicach własnych samotłumaczących się struktur. Słowo, jakie się tu rodzi, jest także słowem zamkniętym — jak słowo filozoficzne. Jeśli w sterylnych strukturach języka, jakie konstruuje i w jakie każe wierzyć współczesne językoznawstwo, panuje jakiś porządek, to jest to bez wątpienia porządek naszego rozumu, który obcuje tylko z etykietami nazw powieszonych na rzeczach, ale nie z samymi rzeczami. W takich dekoracjach dzieje się nasze życie. Wspomniane zamknięcie językoznawstwa współczesnego jest podobne do analogicznego zjawiska, które obserwujemy w filozofii, czego wyrazem są zwłaszcza *Logische Untersuchungen* Husserla. Tendencja ta jest przejawem głębszej prawidłowości, drążącej życie współczesne. W przypadku Husserla mamy do czynienia z zamknięciem świata teoretycznego w granicach czystej świadomości. Całkowicie przeciwstawny model filozofii widzimy natomiast w przypadku Heideggera. Tu dominującą tendencją staje się otwarcie refleksji teoretycznej na istnienie — osadzenie jej w istnieniu. Myśl ześrodkowuje się w bycie (immanencja). Natomiast w przypadku Husserla zamknięcie, o którym mówiliśmy, polega na wyjściu ku sferze świadomości czystej (idealizm transcendentalny). Dziwny to paradoks: otwarcie, które zamyka, oraz ześrodkowanie, które otwiera. Widzimy tu mechanizm funkcjonowania natury zreprodukowanej (kategorią tą po raz pierwszy posłużyłem się w książce *Zagubiony ethos*). Myśl Husserla opuszcza istnienie samo i całkowicie sytuuje się po stronie jego racjonalizacji. Racjonalizacja zaś zakrywa z czasem to, ku czemu pierwotnie się odnosiła, i stwarza rzeczywistość drugą. Rzeczywistość ta jest ograniczona (granicą racjonalności), ale jednocześnie nieskończona — albowiem stwarzać może dowolną ilość bytów teoretycznych. Obrazem zaś tej nieskończoności jest słowo filozoficzne, które stwarza inne słowo i które zarazem jest stwarzane przez inne słowo. Natura zreprodukowana nieustannie reprodukuje samą siebie, a jej potencja jest nieograniczona. I myśl Husserla otwiera się właśnie na tę perspektywę, zarazem ją podtrzymując — jest zatem życiowo praktyczna. Inaczej Heidegger. Jego myśl chce wyrazić samo istnienie i dlatego odcina się od stwarzania słowa filozoficznego — musi zatem słowny świat rozbić, próbując ucieleśnić się w języku innym. Musiał zatem Heidegger natrafić w swym filozofowaniu na żywe słowo poetyckie.

Powróćmy teraz do wątku literackiego naszych rozważań. Wydaje się, że filozoficzne ideały Husserla w praktyce literackiej wyraził do końca (nie wiedząc nawet o tym) Joyce. Wszak mamy tu do czynienia niemalże z czystym przykładem myślenia ściśle transcendentalnego: autor odsłania literackość literatury, pracując całkiem świadomie nie na bytach obiektywnych (samych w sobie), lecz na ich sensach — kulturowych, filozoficznych, artystycznych. Rozbija ich związki, łączy w nowe relacje, kontaminuje je, tworzy związki wyższego rzędu a z nich sensy i wartości nowe. Taki też jest najgłębszy mechanizm przekraczania literatury przez Joyce'a — poprzez odsłanianie jej literackości. Sumując: dla autora pisanie *Finnegans Wake* to tworzenie sensu sensu, wartości wartości, znaczenia znaczenia. Joyce otwiera zatem całkowicie nowy obszar dla literatury, obszar, gdzie jest ona „u siebie" — niczego nie odtwarza, ale w pełni tworzy. Oto *eidos* literacki w postaci czystej. I w odróżnieniu od Husserla występuje u Joyce'a pewien naddatek — komentarz świata przedstawionego. Umożliwia go fikcja literacka. I choć obaj urzeczywistniają tę samą tendencję w rozwoju rozumu nowożytnego (każdy w innej domenie), to jednak powiedzieć możemy, że u pierwszego rozum ludzki doszedł w swym idealizmie do kresu swej wędrówki, natomiast u drugiego wystąpił w czapce błazna, nie oszczędzając samego siebie. Ernst Bloch pokazywał kiedyś podobną paralelność — na przykładzie *Fenomenologii ducha* Hegla oraz *Fausta* Goethego. I jest rzeczą zastanawiającą, że ostateczny rezultat analizy również wypadł na korzyść fikcji artystycznej. Wydaje się, że podobny fakt widzimy również w przypadku filozofii Husserla i twórczości Joyce'a. Tak jak *Fenomenologia ducha* i *Faust* ucieleśniały, każde na swój sposób, ducha epoki, podobnie Husserl oraz Joyce pokazali etap następny rozwoju tego ducha. Rodzi się jednak pytanie: dlaczego to właśnie forma artystyczna okazuje się w obu tych wypadkach „mądrzejsza" od dyskursu filozoficznego? Dlaczego w formie artystycznej możliwy jest komentarz do tego, co przedstawia? Czyżby intuicja artystyczna sięgała głębiej niż analiza filozoficzna? Dlaczego? — Może właśnie dlatego, że myślenie artystyczne bezwiednie staje mimo wszystko bliżej żywego słowa poetyckiego, łamiąc formy życia i ugruntowując się w samym istnieniu. Myślenie filozoficzne natomiast (słowo filozoficzne) stwarza formy życia i podtrzymuje już egzystujące. Widać to także było na przykładzie językoznawstwa: oto rzeczywistość odbija tam struktury języka, a nie na odwrót. Cała inicjatywa od początku należy do rozumu. Ale dzięki temu językoznawstwo stało się naprawdę naukowe. Inaczej żywe słowo poetyckie — stara się ono przewodzić impulsy płynące z samego istnienia. Porzuca więc logikę czystego rozumu, porzuca również logikę życia i wibruje logiką bytu. Jest czułym medium bytu — ale nie dyktatorem

bytu. Może zatem życie osądzać. I widzimy to zarówno w *Fauście* Goethego, jak i w *Ulissesie* Joyce'a. Dlatego dzieła te stawiamy wyżej, niż „Fenomenologię ducha" Hegla i „Idee" Husserla. W tym drugim przypadku sytuacja jest o tyle ciekawsza, że odsłania się tu kres drogi rozumu dwudziestowiecznego. Na tej drodze iść dalej nie można. Zdanie to jest zarazem stwierdzeniem geniuszu Husserla. Pozostaje jednak droga na sąsiednim brzegu filozofii — Heidegger, którego trzeba na nowo studiować. O ile dziełu Husserla odpowiada jako jego artystyczne dopełnienie „Ulisses" Joyce'a, o tyle Heideggerowi nie odpowiada nic. Tu lokalizujemy miejsce puste, domagające się wypełnienia. Ale przecież pytaniem właściwym, które do niego możemy zadać, jest: jak jest możliwy epos dziś? Do tego wszak można sprowadzić cały nasz wywód. Pytanie to kierujemy do epoki, przyglądając się jej formom.

Język sztuki w świetle lingwistyki

Współczesne językoznawstwo nie skończyło na Ferdynandzie de Saussure. Jego nowy rozdział — równie doniosły — napisał Noam Chomsky. I w jego dziele odnajdujemy supremację rozumu — lecz inaczej wyartykułowaną. Przyjrzyjmy się filozoficznym konsekwencjom idei gramatyki generatywnej Chomsky'ego. Nasz wykład opieramy głównie na jednej jego pracy pt. *Syntactic Structures* z roku 1957. Jest ona bowiem najmniej obciążona zagadnieniami „technicznymi" i dlatego szczególnie przystaje do porządku naszych dociekań.

Dla Chomsky'ego podstawowym aktem mowy jest zdanie. Człowiek rozumie nieskończoną ilość zdań — nawet te, których wcześniej nie wypowiedział. Generatywność zaś języka polega na tym, że wypowiadając zdanie nowe, kształtujemy je według prawideł wyuczonych na podstawie zdań słyszanych wcześniej. Jest to swoista twórczość, która potencjalnie już tkwi w samym języku. Tak oto w mowie przejawia się twórczość językowa, która jednak rządzi się pewnymi regułami (*rule — governed creativity*). Ilość zdań poprawnie generowanych przez język jest nieskończona, choć skończona jest ilość reguł, na podstawie których samo generowanie się odbywa.

Chomsky nawiązuje w niezwykle oryginalny sposób do idei racjonalizmu kartezjańskiego — oto badając język trzeba wyróżniać jego poziom powierzchniowy oraz poziom głęboki, który decyduje o znaczeniu danej wypowiedzi. Relacja zaś, która je wiąże, nazwana zostaje transformacyjną. Chomsky — za autorem „Rozprawy o metodzie" — uważa, że dla całego rodzaju ludzkiego, niezależnie od różnic między poszczególnymi językami, istnieje jakaś wspólna, głęboka gramatyka mowy, która jest człowiekowi wrodzona i której nie można się nauczyć. To ona właśnie sprawia, że gatunek ludzki obdarzony został darem mowy. Stwierdzeniem tym Chomsky wpisuje się w obszar panowania rozumu — w sensie, którym tu się posługujemy.

Z powyższego wynika, że strukturze powierzchniowej mogą odpowiadać dwie lub więcej struktury głębokie. W takim wypadku mamy do czynienia z wieloznacznością wypowiedzi. Zawsze jednak działają tu określone prawa transformacyjne wiążące strukturę głęboką ze strukturą powierzchniową. Nie jest to jednak relacja symetryczna — a zatem jakiejś jednej wybranej strukturze powierzchniowej może odpowiadać kilka struktur głębokich. Chomsky podkreśla jednak wagę struktur powierzchniowych — wszak to obszar, na którym manifestują się sposoby naszego komunikowania się z innymi. Faktem jest jednak, że ulegają one niekiedy atrofii, ponieważ w analogicznych sytuacjach naturalną potencję twórczą tkwiącą w języku poświęcamy na rzecz potocznego szablonu — tak bowiem łatwiej i szybciej można przekazać myśl. Zubaża to jednak nasz język i dlatego tak ważną rolę odgrywają terapie poetyckie, które odświeżają jego niepowtarzalność, a nawet „dziwność". Choć Chomsky otwiera tu wentyl bezpieczeństwa dla całej natury zreprodukowanej współczesnego człowieka, to jednak jej **problemu** nie stawia. Mieści się bowiem w jej granicach. Nie bierze też pod uwagę tego, że korozja języka sięgnęła dziś korozji myśli i że struktury głębokie języka stały się tak samo rachityczne, jak i ich zewnętrzne formy wyrazu. Oba te poziomy — trzymając się konwencji terminologicznej Chomsky'ego — całkowicie mieszczą się w obszarze natury zreprodukowanej i są nieprzejrzyste na samo istnienie. I głęboka struktura mowy Chomsky'ego podlega tym samym napięciom, co cała przestrzeń naszego życia.

Już nawet te ułamkowe informacje o gramatyce generatywnej nasuwają pewne porównania z twórczością Joyce'a. Mówiliśmy już o tym, że w „Ulissesie" tekst generuje tekst — cała narracja polega tu w gruncie rzeczy na wykorzystaniu tej potencjalności, która tkwi w samym języku. Autor uwalnia zapory i pozwala tekstowi pisać się samemu. Na pierwszy rzut oka metoda ta przypomina ideę generatywności Chomsky'ego. Dalej: Joyce programowo też wykorzystuje nie tylko wieloznaczność poszczególnych słów i zdań, ale wręcz całych sekwencji, gdzie pod tą samą powierzchniową strukturą trwa wirówka znaczeń, sensów i wartości, które — jakby powiedział Chomsky — konstytuują właśnie struktury głębokie. Zabieg ten służy w *Ulissesie* celom zarówno artystycznym, jak i ideowym — pokazuje względność danych percepcyjnych oraz nieabsolutne wartości natury zreprodukowanej. Przy jego pomocy Joyce zarazem pokazuje, jak i komentuje — poprzez wyolbrzymienie, ukazanie rzeczy i faktów w krzywym zwierciadle. Tak jest w słynnym epizodzie X *Ulissesa* zatytułowanym *Pływające wyspy*, gdzie kilkanaście postaci jednocześnie krąży po ulicach Dublina, obserwując poszczególne zdarzenia, a także siebie nawzajem, z różnych — niekiedy sprzecznych — punktów widzenia. Joyce w sposób mistrzowski uruchamia tu — mówiąc słowami Chomsky'ego — wielość głębokich struktur języka, by rozbić iluzję jednoznacznych kwalifikacji i wyobrażeń rzeczywistości, a następnie pozwala generować owym głębokim strukturom nowe wypowiedzi. Cała energia pisarska skupia się przy tym właśnie na odtworzeniu polifonii struktur powierzchniowych — wszak materiałem pracy jest cały czas język, zdaje się powtarzać Joyce. Ale Joyce czyni to jednocześnie w określonym celu, a mianowicie po to, aby zdemaskować całą naturę zreprodukowaną. Tego wymiaru nie ma teoria Chomsky'ego. Widzimy tu jednak zastanawiające zbieżności w sposobie myślenia o świecie. Chomsky pozostaje w okowach racjonalizmu kartezjańskiego, Joyce natomiast zamieszcza do niego komentarz.

Pojęcie rozumu

Od czasów Kartezjusza wraz z uzasadnieniem autonomii Rozumu pojawia się charakterystyka i opis wolności człowieka. Najciekawsze i najbardziej znamienne dla nas jest tu właśnie to połączenie idei Rozumu z ideą wolności. Rozum jest o tyle wolny, o ile odnosi się do samego siebie — stopień tej relacji jest miarą owej wolności. Wolność od tej chwili jest niejako immanentnie dana ludzkiemu myśleniu: „myślenie, które czyni użytek ze swej wolności” (Kartezjusz *Medytacje o pierwszej filozofii*, Medytacja II). Tendencję tę rozwija dalej Kant pisząc o „spontaniczności rozumu” (*Krytyka czystego rozumu*, §15). A stąd już tylko krok do pojęcia „czynu” (Tathandlung) Fichtego, samoustanowienia Ja — oto podwaliny ludzkiego świata, zbudowanego według miar i siły Rozumu. Wyznaczono precyzyjnie horyzontalny układ wszystkich możliwych odniesień naszego istnienia. Tworzy się nasz świat — przestrzeń natury zreprodukowanej.

Sztuka jako język

Uwagi powyższe, jak już powiedziano, pisane ręką i myślą filozofa, mają na celu przede wszystkim sprowokowanie odpowiedzi na pytanie: czy rzeczywiście w przypadku sztuki nowych mediów mówić już możemy o wykształceniu określonego języka ekspresji artystycznej? Pytanie to wydaje się być kluczowe przy jakiejkolwiek próbie teoretycznego i zarazem krytycznego opisu tejże sztuki, posiłkującej się cyfrowym zapisem obrazu i dźwięku, czyli de facto tworzącej swoiste informatyczne bazy danych. To, po raz drugi już w niniejszym tekście, podkreślenie, jest kluczowe przy rozumieniu samego statusu (rzekłbym ontologicznego) owych dzieł. W ślad za nim bowiem pojawiają się następne swoiste cechy tego typu działań artystycznych, jak ich modularność, automatyzacja, wariacyjność czy wreszcie zakorzenienie w określonych językach kulturowych. Tylko wtedy bowiem, kiedy sztukę tę w jakikolwiek sposób potrafimy zdefiniować poprzez jej swoisty język, po pierwsze – uznamy jako sztukę, i po drugie – potrafimy poddać ją teoretycznej analizie. A to są sprawy fundamentalne, w przeciwnym bowiem wypadku jawi się ona jako przedłużenie technologicznych gadżetów. I jako taka winna stać się przedmiotem analizy w innych środowiskach i innych obszarach, niekoniecznie mających cokolwiek wspólnego z samą sztuką.

Bez względu jednak na jakość odpowiedzi do tak postawionego pytania powinniśmy być jednak świadomi, iż przyjęcie takiej „językowej” wersji teoretycznego opisu owej sztuki niesie ze sobą określone konsekwencje filozoficzne. Sam bowiem język opisu nie jest całkowicie niewinny wobec określonych aksjologii filozoficznej, niezależnie od tego, czy jesteśmy tego świadomi czy też nie.

Bogusław Jasiński *– doktor filozofii, autor kilkunastu książek, w tym podręcznika do kuru filozofii współczesnej pt. Leksykon filozofów współczesnych. Wykładowca na uczelniach krajowych i zagranicznych.*



Katarzyna Karaskiewicz

PRAWO DO DEZINFORMACJI CZYLI CZARNA ETYKA

Dlaczego dezinformacja? Odpowiedź będzie brzmiała, ponieważ ludzie żyją w szumie informacyjnym. Jednakże dlaczego prawo do dezinformacji!? Wszakże człowiek powinien domagać się jedynie prawa do rzetelnej informacji. To jest właśnie prawo człowieka, które zawiera się w jego wolności. Według słownika Mieczysława Szymczaka dezinformacja to: „wprowadzanie w błąd przez podanie fałszywych informacji; nieprawdziwa, myląca informacja"[45]. Zdecydowałam się jednak na postawienie sprawy na tzw. ostrzu noża, gdyż od wielu lat mają miejsce niepokojące zjawiska społeczne, które generują konflikty między ludźmi. Jednocześnie poszukiwałam jakiegoś wyrażenia, które syntetyzowałoby zjawisko konfliktów międzyludzkich. Sformułowałam zatem wyrażenie „prawo do dezinformacji", z którego mogłam wyprowadzić kolejne wyrażenie tzn. „czarna etyka".

Twierdzę, że do praw wolnej jednostki należy także prawo do rzetelnej informacji, dzięki której jednostka może podejmować samodzielnie decyzje i jednocześnie może dokonywać świadomych wyborów. Należy mocno podkreślić słowo *świadomych*. Jednakże od wielu lat ludzie są pozbawieni tej fundamentalnej, dla ich wolności, możliwości. Prowadzi to do dezorientacji, i w konsekwencji do bierności. Jednostka, która gubi się w nadmiarze sprzecznych ze sobą lub nie do końca sprawdzonych informacji, ostatecznie nie podejmuje żadnej decyzji lub podejmuje ją pod wpływem czynników zewnętrznych. Podjęta decyzja pod wpływem czynników zewnętrznych, nie jest jednak decyzją samodzielną, czyli jednostka żyje w iluzji wolności. Przeciętna jednostka żyjąca na co dzień w szumie informacyjnym, godzi się na taki stan faktyczny, będąc przekonaną (samowystarczająca wiara), że jest to naturalny stan związany z rozwojem technologii, którego skutkiem jest, między innymi, szybki obieg informacji. Mamy do czynienia z patologią, która dla niepoznaki otrzymuje różne nazwy m.in.: równość, wolność, w skrajnych przypadkach, szum informacyjny określany jest jako demokracja. Zatem to, co jest patologią generowaną każdego dnia, ma stanowić jeden z fundamentów demokracji.

Czarna etyka

Wyjaśnienia wymaga zastosowane przeze mnie, syntetyzujące moje przemyślenia, wyrażenie „czarna etyka". Powstało przez analogię do wyrażenia *czarny PR*. Nie twierdzę, że należy podzielić etykę na białą etyką i czarną etykę. Uważam to w tej chwili za nonsens. Zdecydowałam się na stosowanie wyrażenia „czarna etyka", aby zobrazować pogłębiającą się patologię codzienności w jakiej żyje jednostka.

Od czasów Sokratesa i sofistów, w rozważaniach nad etyką, dominują dwa główne pytanie: co to jest dobro? i, co to jest szczęście? Przedstawiciele różnych szkół filozoficznych, pochylając się nad człowiekiem czy społecznością, poszukiwali odpowiedzi, przy jednoczesnej próbie rozwikłania znaczenia obu fundamentalnych słów: „dobro" i „szczęście". W XVIII wieku do dwóch głównych pytań dołączono jeszcze jedno: jak żyć, żeby nie szkodzić innemu człowiekowi? Nie bez znaczenia na tak sformułowane pytanie (do dziś wraz z pytaniami o dobro i szczęście tworzy triadę pytań etyki), miał wpływ Immanuel Kant, a w szczególności postulowany przez niego imperatyw praktyczny, który brzmi: „Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twej osobie, jako też w osobie każdego innego, używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka"[46]. Z imperatywu praktycznego płynie nakaz pokoju między ludźmi. Kantowski pokój rozumiałabym szerzej, a więc nie tylko zaniechanie konfliktów zbrojnych, ale także zaniechanie jakichkolwiek konfliktów między ludźmi. Te ostatnie generowane są często przez nieprzestrzeganie prawa, świadome łamanie procedur, konformizm, bierność, zaniechanie, wreszcie do głosu dochodzą partykularyzmy, które każdą jednostce postępować złośliwie, zawistnie, mściwie, nierozsądnie, nietolerancyjnie, bezmyślnie, destrukcyjnie itd., itp..

Niepokojący jest fakt, że pytania o dobro, szczęście i pokojowe współistnienie z drugim człowiekiem, zostały zastąpione pytaniami: co zrobić żeby było źle?, co zrobić, żeby człowiek był nieszczęśliwy?, co zrobić, żeby ludzie byli dla siebie wrogami (w domyśle szkodzili sobie)? I nie należy tych pytań rozumieć oraz interpretować w znaczeniu socjologicznym bądź psychologicznym. Rozważania takie rozpoczynałyby się od pytań, które byłyby sformułowane w następujący sposób: dlaczego jest źle?, dlaczego człowiek jest nieszczęśliwy?, dlaczego ludzie nastawieni są do siebie wrogo? Ja natomiast formułuję pytania od słów „co zrobić, żeby…". Zdziwiony czytelnik jeśli się zastanowi nad tak sformułowanymi przeze mnie pytaniami, dojdzie do wniosku, że

[45] *Słownik języka polskiego*, t. 1, pod red. M. Szymczaka, Warszawa 1978, s. 390.

[46] I. Kant, *Uzasadnienie metafizyki moralności*, tłum. M. Wartenberg, Kęty 2001, s. 46.

współczesne media, koncerny, banki, instytucje rządowe postępują właśnie według pytań rozpoczynających się od słów „co zrobić, żeby…", było źle, nieszczęśliwie, konfliktowo. Innymi słowy tworzona jest *czarna etyka postępowania.*

Dwa źródła dezinformacji

Twierdzę, że istnieją dwa źródła „prawa do dezinformacji", które następnie urzeczywistniają tzw. „czarną etykę": (1) kapitalizm (dla niepoznaki nazywany demokracją liberalną); (2) równość intelektualna. Punkt (2) wynika z punktu (1).

Zacznę od demokracji liberalnej. Chcę zwrócić uwagę na nieporozumienie językowe. Mam na myśli dwie frazy: (1)„wolność jednostki", która jest często określana jako fundamentalna część praw człowieka i (2) „demokracja liberalna". Obie frazy zostały ze sobą zestawione przez zwolenników ustroju kapitalistycznego i są traktowane jako integralna całość. Wolność jednostki czy w ogóle prawa człowieka nie mają nic wspólnego z demokracją liberalną, która jest w rzeczywistości liberalizmem gospodarczym (=kapitalizmem). Liberalizm gospodarczy i wynikająca z niego rzekoma wolność jednostki, to oksymoron z jednej strony i bełkot logiczny z drugiej. Wmawianie ludziom, że tylko dzięki demokracji liberalnej będą wolnymi ludźmi jest świadomym wpędzaniem ich w niewolnictwo i bierność w działaniu o własną podmiotowość. Triada: wolność-równość-braterstwo zostały przejęte przez apologetów gospodarki liberalnej jako zdobyczne gospodarki wolnorynkowej i określane są mianem (niesłusznie) wolnościowej rewolucji społeczno-ekonomicznej. Wmawia się ludziom, że wywalczyli sobie prawa człowieka (m.in. wolność). Tu dochodzimy do kolejnego nieporozumienia językowego. Otóż liberalizm gospodarczy (=demokracja liberalna) to nie to samo co liberalizm społeczny. Niestety ludzie są przekonani (niewiedza i brak logicznego myślenia), że oba zwroty oznaczają to samo, a więc odczytują obie frazy jako znaczeniowo tożsame i są przekonani, że dzięki liberalizmowi w ogóle mają upragnioną wolność (nie rozumiejąc zresztą czym wolność jest w rzeczywistości). Nie bez znaczenia jest fakt, że w tej niewiedzy utrzymuje się kolejne pokolenia. Przy jednoczesnym wmawianiu, że są ludźmi wolnymi, korzystającymi w pełni z praw człowieka. Wolność jednostki jako jeden z fundamentów praw i godności człowieka jest upodmiotowieniem, natomiast demokracja liberalna uprzedmiotawia jednostkę. Z czego zatem ma wynikać wolność jednostki i w ogóle prawa człowieka w ustroju kapitalistycznym, brak racjonalnych i formalnych przesłanek oraz argumentów.

Dodam, że demokracja jest wartością, która składa się z czterech własności (wartości): (1) równość (wprowadzili filozofowie starożytni); (2) wolność (wprowadził Locke); (3) rozdział prawa od moralności (wprowadził Kant); (4) braterstwo (wprowadził Fichte). Niestety żadna z czterech własności demokracji nie jest na świecie urzeczywistniana. Mamy do czynienia z pierwszą fundamentalną dezinformacją, która generuje konflikty między państwami, między obywatelami a państwem, między pracownikami a pracodawcami, między ludźmi w ogóle. Paradoksem jest to, że patologie społeczne, które na co dzień postrzegane są powszechnie jako rzekome zdobycze najlepszego ustroju czyli „demokracji", uniemożliwiają w rzeczywistości urzeczywistnienie równości, wolności, rozdziału moralności od prawa i braterstwa.

Drugą fundamentalną dezinformacją jest wmawianie ludziom, że każdy człowiek może być każdym. Dezinformacja ta jest wynikiem urzeczywistniania równości intelektualnej – jako patologii nazywanej dla niepoznaki wolnością jednostki. To wymaga jednak wyjaśnienia. Powołam się na etykę Johanna G. Fichtego. Rozważania nad Fichteańskim *dubito* doprowadzają do m.in. następujących wniosków: istnieje jedynie autorytet płynący z rozumu indywiduum; wolność jest stanem umysłu; istnieje nierówność intelektualna[47], która jest różnicą w ogólnej wiedzy (naukowej i moralnej). Ludzie są – owszem – nierówni, ale tylko nierówni intelektualnie. W każdej chwili ten stan pół-człowieczeństwa[48] może (i musi) ulec zmianie. Dlatego nierówność intelektualna nie ma dogmatycznego nakazu moralnego. Jednostka, która odpowie na apel filozofa wejdzie do elitarnego klubu człowieczeństwa a tym samym wobec niej przestaną obowiązywać wynikające z nierówności intelektualnej rozmaite zakazy.[49] Konstatowana przez Fichtego nierówność intelektualna doprowadziła mnie do wniosku, że gdybyśmy chcieli przedstawić filary demokracji w ujęciu filozofa byłyby to: (1) Równość społeczna; (2) Nierówność intelektualna (każda jednostka ma prawo i obowiązek ją przekraczać, a prawo to jest konsekwencją tego, że jednostka weszła na drogę intelektualnego oraz moralnego doskonalenia); (3) Przestrzeganie prawa.

Jeśli odwrócimy kolejność punktów (1) i (2) a także to, co w ujęciu Fichtego miało być równością i porządkiem, otrzymamy ustrój zaprzeczający demokracji, który jednak dziwnym zbiegiem okoliczności będzie odzwierciedlał współczesną sytuację społeczno-ekonomiczno-prawną będącą konsekwencją kapitalizmu (=demokracji liberalnej): (1) Równość intelektualna (paradoksalnie każdy może być każdym, bowiem konstytuuje to miejsce, w którym jednostka aktualnie się znajduje); (2) Nierówność społeczna (wynikająca m.in.: z równości intelektualnej; (3) Nieprzestrzeganie prawa. Dodam, że to równość społeczna ma niwelować inne nierówności i minimalizować nierówność intelektualną, nigdy odwrotnie, równość intelektualna nie zniweluje nierówności społecznej – zwłaszcza w demokracji liberalnej (=kapitalizm).

Równość intelektualną uznaję za główną dezinformację i główny element „czarnej etyki". Wmawianie ludziom, że są *par excellence* równi intelektualnie jest świadomym wyrządzaniem im krzywdy, zła i czynieniem ich nieszczęśliwymi. Nierówność intelektualna jest jedyną nierównością, której nie można w żaden sposób zniwelować. Truizmem jest powta-

[47] Więcej w K. Karaskiewicz, *Przeciw autorytetowi. Prawo i godność jednostki w ujęciu Johanna Gottlieba Fichtego*, w, Nowa Krytyka (czasopismo filozoficzne), www.nowakrytyka.pl (16.04.2016).

[48] Terminologia Fichtego.

[49] K. Karaskiewicz, *Przeciw autorytetowi. Prawo i godność…, op. cit.*

rzanie, że: „ludzie nie mogą być równi intelektualnie", bowiem różnią się od siebie pod względem zainteresowań, możliwości fizycznych i mentalnych, umiejętności (także umiejętności przyswajania wiedzy), talentów, pragnień, oczekiwań, posiadają różny stopień pamięci, odtwarzania przyswajanej wiedzy, kojarzenia faktów czy wreszcie korzystania z operacji intelektualnej, jaką jest rozumowanie.

Twierdzę, że równość intelektualna generuje konflikty między ludźmi, precyzyjniej, między niewykształconymi a niewykształconymi; między wykształconymi a niewykształconymi; między profesjonalistami a nieprofesjonalistami.

Zacznijmy od pierwszej kategorii konfliktu między ludźmi niewykształconymi. Demokracja liberalna stwarza możliwości pozornego awansu społecznego, jednak dzieje się to kosztem intelektu. Można to zobrazować następująco: X patrzy na Y-a i myśli, że może być taki jak Y, który osiągnął sukces. Jedynym argumentem w tak pojmowanym awansie społecznym jest argument przeciętności: „X jest taki sam jak Y". Y jest banalny, przeciętny, niewykształcony lub posiada nieusystematyzowane wykształcenie, ale to nie stanowi przeszkody, przeciwnie banalność i przeciętność jest nagradzana. W majestacie prawa łamie się też procedury i przepisy po to, aby zaspokoić ambicje X-a czy Y-a, którzy bez skrupułów pchają się do sektorów kultury, ekonomii, nauki, polityki itp. Naśladownictwo banalności i przeciętności generuje jednak frustrację, rozczarowanie, agresję i wrogość między ludźmi niewykształconymi (konflikt między tymi, którym się powiodło i tymi, którym się nie powiodło).

Konflikt między wykształconymi a niewykształconymi wydaje się łatwy do zdefiniowania, ale na gruncie demokracji liberalnej, której rzecznicy nader często zwracają uwagę, że wykształcenie jest tylko trywialnym dodatkiem do praktycznych umiejętności, ludzie wykształceni spychani są na obrzeża sektorów kultury i gospodarki, aby nie zagrażali, nie mogącym się wylegitymować wykształceniem, decydentom.

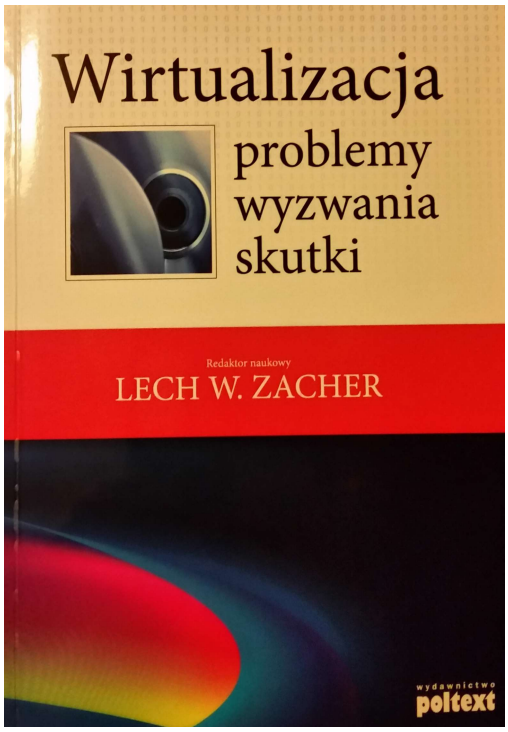
Konflikt profesjonalistów z nieprofesjonalistami jest swoistego rodzaju paradoksem. Generalnie jest to konflikt między ludźmi wykształconymi, którzy jednak ze względu na wpływy różnych czynników zewnętrznych (m.in. bezrobocie – jeden z fundamentów demokracji liberalnej) decydują się na podjęcie pracy w obcej dla siebie profesji (np. historyk sztuki jest wychowawcą w przedszkolu, prawnik zostaje muzealnikiem). Naganne jest, gdy czynniki zewnętrzne generowane przez państwo, zmuszają X-a do porzucenia swoich umiejętności i planów związanych z ukończonym kierunkiem studiów. Innymi słowy demokracja liberalna zmusza X-a do nieustającej zmiany zawodów (dodam, że w każdym z nich jest nieprofesjonalistą). Truizmem jest powtarzanie, że profesjonalista zawsze przynosi korzyć nie tylko sobie, ale także instytucji, w której jest, społeczeństwu i w konsekwencji całemu państwu. Teza ta jest dobrze znana już od czasów Sokratesa. Myśliciel ten, powiedział, że tylko profesjonalista, jeśli tylko znajduje się na „swoim miejscu" jest człowiekiem wartościowym dla społeczeństwa i państwa. Tego samego zdania byli Arystoteles oraz Stanisław Kostka Potocki. Rację miał też Kant pisząc: „Wszystkie gałęzie przemysłu, rzemiosła i sztuki zyskały przez podział prac, ponieważ nie jeden człowiek robi wszystko, lecz każdy ogranicza się do pewnej pracy, która swym sposobem traktowania różni się znacznie od innych, a czyni to, by móc ją wykonać jak najdoskonalej i z większą łatwością. Gdzie prace nie są w ten sposób rozróżnione i podzielone, gdzie każdy jest majstrem do wszystkiego, tam rzemiosła znajdują się jeszcze w stanie największego barbarzyństwa"[50].

Na zakończenie dodam, że nie budzi sprzeciwu sytuacja, w której X samodzielnie, podkreślam – samodzielnie – decyduje się na zmianę swojego życia, planów, umiejętności i marzeń – słowem jedzie w Bieszczady, aby hodować owce.

Podsumowanie

Równość intelektualna to nie tylko miałkość i bylejakość (tryumf mas), ale także deprecjonowanie pracy. Praca nie jest wówczas elementem twórczym, która wyróżnia człowieka i kształtuje go duchowo oraz moralnie. Praca staje się jedynie środkiem do przeżycia (stąd nieustająca walka, podsycana przez media, które głoszą równość intelektualną). Zatem praca nie jest celem samym w sobie, ale środkiem do celu, a celem jest przeżycie. Bez urzeczywistnienia imperatywu praktycznego Kanta nie można urzeczywistniać etyki Fichteańskiej, ani urzeczywistniać człowieczeństwa, tym bardziej nie można urzeczywistniać czterech własności demokracji.

dr Katarzyna Karaskiewicz *– historyk idei, historyk kultury, antropolog; Absolwentka Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Prowadzi badania z zakresu historii idei, polskiej historii i filozofii nowożytnej, estetyki, filozofii języka.*



[50] I. Kant, *Uzasadnienie metafizyki moralności*, *op. cit.*, s. 6.

Jakub Zamana

SOCJOTECHNIKA W REŻYMIE DEMOKRATYCZNYM, AUTORYTARNYM I TOTALITARNYM

W każdym systemie politycznym socjotechnika jest narzędziem rządzących. Jest ona zawsze sprzężona z procesem indoktrynacji społeczeństwa – w szkołach, w mediach, w kościołach różnych wyznań, w instytucjach opieki i pomocy społecznej, a nawet w sferze rozrywki i wypoczynku. Służy legitymizacji władzy, pozyskiwaniu poparcia dla władz i sojuszników, mobilizacji zwolenników, ale też demobilizacji, neutralizacji, marginalizacji albo i pacyfikacji przeciwników politycznych oraz środowisk społecznych stawiających opór.

Te uniwersalne i typowe zadania socjotechniki odmiennie jednak przedstawiają się w różnych typach porządku politycznego. Reżymy – demokratyczny, autorytarny oraz totalitarny – różnią się pomiędzy sobą stopniem kumulacji władzy, zakresem kontroli władzy nad społeczeństwem i/lub kontroli społeczeństwa nad władzą, dopuszczeniem lub wykluczeniem alternatyw politycznych i rotacji władzy, wreszcie – otwartym lub zamkniętym nastawieniem wobec wpływów zewnętrznych i wewnętrznych zróżnicowań społeczeństwa. Demokracja jest systemem z założenia otwartym (na różnorodność interesów i poglądów, przepływ idei, kontakt z otoczeniem), natomiast autorytaryzm i zwłaszcza totalitaryzm – systemem zamkniętym. Rzutuje to na sposób rządzenia oraz możliwe formy artykulacji interesów i ekspresji poglądów; odmienna jest socjotechnika systemów zamkniętych (autorytarnych, totalitarnych) oraz socjotechnikę systemów otwartych (demokratycznych)[51]. Szkoła w każdym z tych systemów jest ważnym narzędziem oddziaływania państwa na społeczeństwo.

Socjotechnika w reżymie demokratycznym

W reżymach demokratycznych (otwartych) współistnieje wiele instytucji, organów decyzyjnych i ośrodków skupienia oraz autorytetu występujących na różnych poziomach (centralnym, regionalnym, lokalnym) i w różnych dziedzinach życia, formalnie niezależnych i równoprawnych. To zasada policentryzmu. Większość decyzji podejmowanych jest na zasadzie kompromisu i consensusu, na podstawie konsultacji społecznych i debat publicznych. Podmioty polityczne w tym systemie nie mają ambicji monopolistycznych (a przynajmniej nie mogą mieć) w kwestii wywierania wpływu na życie obywateli w sferze prywatnej.

System charakteryzuje się pluralizmem konkurujących podmiotów[52], które rywalizują ze sobą o skuteczniejszy wpływ na poszczególne grupy społeczne poprzez konkurencję i licytację w ofertach programowych, postulatach, założeniach ideowo-programowych, projektach rozwiązań. Państwo respektuje funkcjonowanie wolnych związków zawodowych, organizacji pozarządowych, samorządów, przedsiębiorstw prywatnych, partii politycznych oraz autonomicznych uczelni wyższych.

W reżymie demokratycznym różnice ideologiczne (rywalizacja lewicy socjaldemokratycznej/socjalistycznej, centrum liberalno-demokratycznego, prawicy konserwatywnej itp.) w kwestiach światopoglądowo-obyczajowych i społeczno-gospodarczych uznawane są za stan naturalny, a nawet konstruktywny. Najważniejsza jest jednak zasada dotycząca przestrzegania zasad wynikających z aksjologii liberalnej demokracji, w tym z zasad praworządności (poszanowanie Konstytucji, trójpodziału władzy).

[51] J. Ziółkowski, *Socjotechnika,* [w:] M. Karwat, J. Ziółkowski (red.), *Leksykon pojęć politycznych,* Warszawa, 2013, s. 315.

[52] Tamże, s. 315.

System polityczny oparty jest na rywalizacji wielu podmiotów politycznych (partii, organizacji), które wywierają wpływ poprzez zastosowanie repertuaru socjotechniki opartej na perswazji, manipulacji oraz zastosowaniu sztuczek marketingowych, PR-u, a także propagandy. Natomiast eliminowane są tu podmioty polityczne, które działają antysystemowo, propagując np. ideologię totalitarną i przemoc jako sposób rozstrzygania różnic politycznych.

Według M. Karwata „z demokratyzmem wpływu wywieranego przez poszczególnych uczestników – mamy do czynienia wtedy, gdy spełnione są łącznie następujące warunki: *podmiotowość uczestników dyskursu i wyboru; zbiorowy, grupowy i publiczny charakter rozstrzygnięcia; kontrola społeczna; wzajemna kontrola podmiotów o nietożsamych interesach i dążeniach; zdolność do samoograniczenia; odrzucenie pokusy marginalizacji reprezentantów odmiennych interesów i poglądów; zdolność do pozyskania akceptacji dla własnego stanowiska w rozstrzyganych sprawach* […]"[53]. Innymi słowy, kluczem do rozwiązywania problemów jest umiejętność nawiązywania porozumień, dochodzenia do kompromisu oraz posługiwania się sztuką perswazji.

Podstawą systemu demokratycznego powinny być wolne media (niepodlegające cenzurze), które rywalizują atrakcyjnością przekazu. „Podmioty oddziałujące częściej mają ambicję sterowania zachowaniami niż przekonaniami i stylem życia odbiorców"[54].

W sferze edukacji zmniejsza się tu do minimum możliwość narzucania przez instytucje państwowe reform, które nie zostały zaakceptowane na drodze consensusu. W systemie edukacji respektuje się zasadę dialogu wszystkich zainteresowanych stron (nauczycieli, związków zawodowych, rodziców itp.). Wolność poglądów naukowców i nauczycieli oraz autonomia wyższych uczelni jest podstawą systemu demokratycznego. Władzy zależy na uwierzytelnieniu swoich postulatów poprzez uzyskanie akceptacji od mas.

Należy zaznaczyć, że w reżymie demokratycznym wykorzystuje się socjotechnikę opartą na perswazji, manipulacji, czy sugestii, ale rzadko jest tu wykorzystywany przymus i przemoc „(poza przypadkami zakreślonymi prawem państwowym)"[55]. Przymus jest stosowany np. w przypadku egzekwowania prawa (egzekucja komornicza, więzienie za złamanie prawa). Natomiast przemoc występuje tylko w sytuacjach nadzwyczajnych, gdy służby porządkowe muszą użyć siły (próba przeprowadzenia zamachu stanu, zadymy chuliganów, zagrożenie terroryzmem). Manipulacja często ma miejsce – w propagandzie, kampaniach wyborczych, debatach publicznych – ale jest narzędziem forsowania interesów partykularnych i stronniczych poglądów wielu podmiotów, z których żaden nie ma pozycji arbitralnej, wyłączności, ale jest uczestnikiem gry sił równoprawnych.

Socjotechnika w reżymie totalitarnym

W reżymie totalitarnym socjotechnika jest jednym z najważniejszych elementów umożliwiających budowę monopolu władzy. Władza wywiera w taki sposób wpływ, aby społeczeństwo było całkowicie posłuszne oraz wierne. Nikt nie ma prawa dyskutować z władzą, gdyż władza ma zawsze i wszędzie rację. Socjotechnika rządzenia w tym systemie przerasta w inżynierię społeczną – totalne zaprogramowanie, kontrolowanie i kreowanie wzorcowego projektu społeczeństwa.

Istotą tego reżymu jest zachowanie monopolu na każdym poziomie władzy, a także w wymiarze sprawiedliwości, w służbach mundurowych, mediach, kulturze, nauce – każdej dziedzinie człowieka (społecznej i prywatnej). „Władza ma monopol na skoordynowane działania socjotechniczne. […] Celem jest ukształtowanie „nowego typu" człowieka. Socjotechnika taka jest podszyta strachem, zagrożeniem, znaczna jest rola motywów ideologicznych (zwłaszcza w propagandzie) […] wyzwolenie i skanalizowanie aktywności obywateli: konieczność aktywnego udziału w życiu społeczno-politycznym. Budowana jest atmosfera zagrożenia wewnętrznego („bądź czujny – wróg nie śpi") i zewnętrznego"[56]. W tym reżymie wrogiem może być każdy, kto przeciwstawi się decyzjom władzy (w instytucjach państwowych, naukowych lub na ulicy itp.), a podejrzanym i potencjalną ofiarą każdy, kto nie okazuje afirmacji, gorliwości, pozwala sobie na dystans lub widoczny sceptycyzm. Najważniejsze jest jednak zidentyfikowanie wroga zewnętrznego (dychotomia społeczna napędzająca falę nienawiści), który z założenia ma zagrażać ideologii, państwu, władzy, a przede wszystkim obywatelom. Obywatele mają żyć w strachu i być przygotowani na walkę z wrogami rasy, narodu, państwa itp[57].

Socjotechnika w reżymie totalitarnym pełni kluczową rolę w procesie nauczania, gdzie od najmłodszych lat uczniowie poddawani są „praniu mózgu" (całkowite podporządkowanie jednej, jedynej dopuszczalnej ideologii i władzy). W tym systemie nauczyciele i uczniowie pełnią rolę „strażników ideologii", tropiąc i identyfikując zdrajców ideologicznych. W obszarze edukacji głównym celem socjotechnicznym jest tworzenie „nowego typu" człowieka, który będzie całkowicie podporządkowany państwu oraz przyjętej aksjologii.

Głównym czynnikiem wzmacniającym władzę jest polityka strachu i podporządkowania. Za skuteczność takiej polityki odpowiedzialne są służby specjalne, policja oraz członkowie organizacji politycznych, którzy kontrolują życie prywatne każdego obywatela. Każdy przejaw krytyki skierowanej wobec władzy lub odstępstw od przyjętych reguł w życiu prywatnym (dyskusje polityczne, odbiór zakazanego przekazu w mediach, zakazane książki, nieprawomyślne komentarze i dowcipy) traktowane są jako przejaw wrogości wobec władzy, co wiąże się z najsurowszymi konsekwencjami (obóz pracy, więzienie, a nawet kara śmierci).

[53] M. Karwat, *Demokratyczne i niedemokratyczne formy wpływu. Kryteria weryfikacji,* „Studia Politologiczne", 2016, vol. 41, s. 154-155.
[54] J. Ziółkowski, op. cit., s. 316.
[55] Tamże, s. 316.
[56] Tamże, s. 315.
[57] Zob. A. Bullock, *Hitler i Stalin, Żywoty równoległe,* tłum. J. Mianowski, F. Pastusiak, t. I-II, Warszawa 1994, s. 147, 151-152.

W reżymie totalitarnym socjotechnika oparta jest głównie na przymusie i przemocy – w celu eliminowania jakiejkolwiek opozycji oraz podporządkowania i wymuszenia odpowiednich postaw. Wszelkie przejawy opozycyjności są tłumione w zarodku. Wsparciem dla przemocy fizycznej i symbolicznej jest manipulacja propagandowa, której skuteczność zagwarantowana jest przez izolację społeczeństwa od świata („syndrom oblężonej twierdzy"), odcięcie od zewnętrznych i niezależnych źródeł informacji, monopol informacji po stronie ośrodka władzy.

Socjotechnika w reżymie autorytarnym

Reżym autorytarny w odróżnieniu od demokratycznego (opartego na wolnościach, tolerancji, pluralizmie, dialogu, kompromisie) ma charakter represyjny i programowo dyskryminacyjny (polityczne wykluczenie i ubezwłasnowolnienie określonych kategorii społecznych). Jednak w odróżnieniu z kolei od totalitaryzmu zakłada selektywną, a nie totalną kontrolę nad życiem społecznym, publicznym i prywatnym.

Głównym celem podmiotu (władzy) wywierającego wpływ w tym reżymie politycznym jest sprowadzenie większości społeczeństwa do roli biernego odbiorcy[58], pozbawionego realnego wpływu na politykę i instytucje państwowe. Ośrodek władzy zadowala się aktywizacją i poparciem części społeczeństwa – wąskiego kręgu własnych zwolenników oraz klienteli (grup popierających reżym nie ze względu na poglądy, lecz w zamian za określone korzyści). Sceptyków oraz oponentów wystarczy tu rozbroić, zastraszyć możliwymi represjami, a większość obywateli zachęcić do apolityczności i ucieczki w prywatność. Kto nie „politykuje" (nie po myśli rządzących), ten unika kłopotów.

Socjotechnika w reżymie autorytarnym, jeśli jest ustabilizowany, jest bardziej umiarkowana od socjotechniki w reżymie totalitarnym. Wyjątkiem są sytuacje buntów zagrażających reżymowi, na które odpowiada się brutalną siłą. W autorytaryzmie oddziaływanie podmiotu sterującego służy wprawdzie do podporządkowania, ale władza nie ma ambicji do ingerowania w życie prywatne obywateli oraz wymuszenia powszechnej gloryfikacji systemu panującego (entuzjazm mas).

Bardzo istotną kwestią w tym reżymie politycznym jest wykreowanie autorytetu i elity państwo-politycznej, która podporządkowuje sobie wszelkie instytucje państwowe (urzędy administracji publicznej, wymiar sprawiedliwości, służby mundurowe), a także przedsiębiorstwa, organizacje związane z elitami władzy państwowej. W tym reżymie nie respektuje się zasady trójpodziału władzy, chociaż zachowane jest pewne złudzenie, że obywatele mogą liczyć na sprawiedliwość, jeśli tylko nie podważają decyzji władzy. W dużej mierze reżym autorytarny jest kształtowany przez manipulację (zachowanie pewnych pozorów demokracji, szczególnie na arenie międzynarodowej)[59].

W odróżnieniu od totalitaryzmu (gdzie następuje uniformizacja ideologiczna społeczeństwa i zakazane, ścigane są jakiekolwiek tendencje dysydenckie) w autorytaryzmie dopuszcza się do głosu opozycję, która jednak nie ma możliwości przejęcia władzy, ze względu na oligarchiczny model zarządzania państwem i trwałe zawłaszczenie państwa, wykorzystanie aparatu państwowego do zwalczania opozycji.

W obszarze edukacji i szkolnictwa wyższego zachowana jest pewna autonomia. Elita polityczna stara się wpływać na obsadę kluczowych stanowisk w tym obszarze życia oraz programy nauczania, ale przy okazji stara się respektować poglądy naukowców (przynajmniej tych przychylnych władzy). W tym przypadku nauczyciele, którzy nie podważają legitymacji władzy – mogą pracować w swym zawodzie nawet bez rytualnej gloryfikacji rządzących i bez obowiązku podporządkowania swojego życia prywatnego jednej ideologii, jak ma to miejsce w totalitaryzmie.

W reżymie autorytarnym najczęściej stosowana jest socjotechnika oparta na przymusie, sugestii oraz podstępie. Rzadziej niż w reżymie totalitarnym występuje przemoc: tam jest ona zjawiskiem powszednim i wszechogarniającym (zagrożony jest każdy, nawet zwolennik i funkcjonariusz siły rządzącej), w rządach autorytarnych natomiast stosowana jest na początku (np. w przewrotach i puczach służących objęciu władzy, w pacyfikacjach rewolucji), a potem już interwencyjnie; i pozostaje w rezerwie jako „miecz Damoklesa".

*

W poszczególnych reżymach socjotechnika jest wykorzystywana do różnych celów w procesie socjalizacji i edukacji: w demokratycznym służy do „wypracowania konsensusu lub kompromisu, przez stosowanie głównie perswazji, prowadzenie dialogu"[60]; w autorytarnym do zapewnienia posłuchu i podporządkowania, przez zastosowanie przymusu, nacisku; w totalitarnym do całkowitego podporządkowania i gloryfikowania władzy państwowej, a zniszczenia wszelkich ośrodków i przejawów oporu, sprzeciwu, buntu, czemu służy przymus, przemoc, terror i wszechobecna propaganda.

Jakub Zamana *– doktorant na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.*

Szczegółowa oferta edukacyjna RODNiIP „WOM" w Rybniku dostępna jest na stronie www.wom.edu.pl

[58] Szerzej na temat autorytaryzmu: T.W. Adorno, E. Frenkel-Brunswik, D.J. Levinson, R.N. Sanford, *The authoritarian personality,* New York 1950, Th.W. Adorno, *Osobowość autorytarna,* Warszawa 2010; J. Linz, *Totalitaryzm i autorytaryzm,* [w:] J. Szczupaczyński (red.), *Władza i społeczeństwo,* Warszawa 1995; J. Ziółkowski, *Autorytaryzm,* [w:] M. Karwat, J. Ziółkowski (red.), *Leksykon pojęć politycznych,* Warszawa 2013.

[59] Por. Tamże.

[60] M. Karwat, *Demokratyczne i niedemokratyczne formy wpływu. Kryteria weryfikacji,* „Studia Politologiczne", 2016, vol. 41, s. 155.

Sara Burchert

MEDIATYZACJA ŚWIADOMOŚCI SPOŁECZNEJ I POLITYKI

Media masowe są jednym z najważniejszych źródeł wiedzy społeczeństwa o polityce. Ale przekaz informacji zawsze uwikłany jest w selekcję wiadomości, określone kryteria nadawania im istotności, większego lub mniejszego znaczenia oraz w interpretację, co sprawia, że nie istnieje informacja dosłownie obiektywna, lecz oscyluje ona między pewnym stopniem obiektywizmu a określonym natężeniem tendencyjności. Władza mediów widoczna jest na różnych poziomach, także w sferze edukacyjnej. Telewizja uznawana jest za jedno ze źródeł socjalizacji jednostek, w tym socjalizacji politycznej. Efekty, które osiągane są przy pomocy komunikowania masowego to przede wszystkim wytworzenie postaw – akceptacji bądź krytyki, wobec konkretnych sytuacji. Celem nie jest więc zbudowanie wiedzy, która pozwoliłaby na samodzielną ocenę, co w przełożeniu wpływa negatywnie na procesy edukacyjne. Tym samym media mają możliwość wywierania wpływu nie tylko na sposób postrzegania świata, ale też na budowanie tożsamości i silnego poczucia identyfikacji. Stają się także kreatorem, czy też odtwórcą ram, przez które następnie filtrowana jest zdobywana wiedza.

Anthony Giddens dostrzegał w przekazie medialnym dostarczanie „faktów zapośredniczonych", które produkowane przez media nie tylko dostarczają nam wiedzy, ale porządkują ją i wyjaśniają, w jaki sposób dane zdarzenie należy rozumieć. Co więcej, wyrażał on również pogląd, że medialne przedstawienie rzeczywistości zdaje się być dla odbiorców bardziej realne, niż to co ich otacza[61]. W tym kontekście obywatel jawi się z jednej strony jako odbiorca informacji, obserwator życia politycznego, z drugiej natomiast jako uczestnik procesów komunikowania oraz artykulacji interesów i wywierania nacisku.

Media często opisywane były jako wolne i niezależne, szczególnie w Polsce po 1989 roku, w opozycji do uzależnionych od władzy mediów w czasach Polski Ludowej. A jeśli już dostrzegano ich zależność i stronniczość, to właściwego rozwiązania problemu dopatrywano się w wyborze innego medium. W ostatnich latach, nie tylko w dyskusji naukowej, problem stronniczości mediów podejmowany jest znacznie częściej, podobnie jak kwestie manipulacji informacją i w konsekwencji stanowiskami, postawami, postrzeganiem rzeczywistości przez odbiorców[62]. W dyskusji publicystycznej przybiera on zwykle formę sporu, w którym zamiast pytać o prawdę albo chociaż uczciwość, prezentowana jest odpowiedź, na pytanie - kto ma rację. To znaczy: czyją wizję prawdy należy przyjąć, a w konsekwencji zwykle - do którego obozu przynależeć, czyje sądy o świecie przyjmować za własne.

G. Gerbner dostrzegał, że telewizja ma znaczący wpływ na kształtowanie obrazów i wyobrażeń, którymi później żyje społeczeństwo, jednocześnie stwierdzając, że formalnie deklarowany pluralizm mediów jest złudny, gdyż w istocie wszystkie media posługują się podobną logiką tworzenia przekazu tak, by zdobyć jak najszerszą publiczność. W przeprowadzonych przez siebie badaniach dostrzegł on, że telewizja wywiera tak istotny wpływ na odbiorcę, że wizja świata jaką prezentuje staje się niemalże odzwierciedleniem tego, co obserwuje w mediach. W ten sposób interpretuje się teorię kultywacji, według której widz spędzający dużą ilość czasu na oglądaniu telewizji upodabnia swój sposób myślenia do tego prezentowanego w danej stacji. Gerbner wyróżnia dwa mechanizmy: wciąganie jednostki w główny nurt kulturowy oraz rezonans.

Pierwszy z nich dotyczy tego, że telewizja nie tylko upowszechnia, ale też tworzy zestaw przekonań, znaczeń i ocen w odniesieniu do otaczającego świata, a wraz z tym przedstawia jednorodny obraz społeczeństwa, który jednocześnie staje się głównym nurtem kultury. W konsekwencji skutkiem długotrwałego oglądania tego medium staje się niedostrzeganie polaryzacji postaw. Rezonans natomiast zachodzi wtedy, kiedy treści w telewizji eksponowane są z dużą siłą, a przy tym zgodne z doświadczeniami ich odbiorcy, co powoduje wzmocnienie i swoiste uprawomocnienie własnych przekonań[63].

Jakie zachodzą relacje na linii media - polityka?

J. Street wyodrębnił cztery możliwe sposoby postrzegania tych relacji: pluralistyczny, strukturalistyczny, konstruktywistyczny oraz kolonizacyjny. Pluralizm w jego rozumieniu miałby oznaczać, iż media są jedynie pośrednikami w procesie komunikacji, kanałem komunikacji między politykiem a odbiorcą. Konstruktywistyczny nurt w badaniach nad komunikacją, który zdaniem J. Streeta reprezentuje między innymi Neil Postman (autor m.in. bestselleru Zabawić się na śmierć), zakłada, że polityka istnieje jedynie poprzez jej

[61] A. Giddens, *Nowoczesność i tożsamość,* Wydawnictwo PWN, Warszawa 2007, s. 38-40.

[62] Żuk P., *Media a kontrola społeczna w czasach „wolności rynkowej* [w:] Żuk P. (red.), *Media i władza,* Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2006, s. 39-42.

[63] Gebner G., *Toward Cultural Indicators: The analysis of mass mediated message system,* AV Communication Review, 17,2. [za:] Kołodziejczyk A., *Teoria kultywacji w badaniu skutków oglądania telewizji,* [w:] Kubicka D., Kołodziejczyk A., *Psychologia wpływu mediów. Wybrane teorie, metody, badania,* Kraków 2007, s. 76-79.

medialne reprezentacje. Każde działanie może odnieść efekt jedynie wtedy, kiedy jego oznaki zaistnieją w oczywistości medialnej. Media są więc źródłem każdej władzy i kreują rzeczywistość polityczną. Konstruktywizm zakłada, że bez mediów politycy nie byliby w stanie istnieć, a cała sfera polityczna jest tworzona według wymagań logiki medialnej i we współpracy z mediami. Skutkiem tego jest kreowanie polityki na kształt programu rozrywkowego (czego wyrazem jest m.in. ewolucja programów informacyjnych, wiadomości radiowych i telewizyjnych w kierunku "inforozrywki"). Jednocześnie, aby zbadać politykę, zgodnie z tym podejściem należałoby przyjrzeć się przede wszystkim kwestii tworzenia przedstawień medialnych.

Dopełnieniem tego podejścia jest kolonizacyjna koncepcja relacji między mediami a polityką, która zakłada, że choć każda z tych sfer posługuje się swoją własną, odrębną logiką, to logika polityczna istnieje w ramach rzeczywistości, która kreowana jest przez media, w związku z czym logika mediów w zdecydowany sposób wpływa na logikę polityczną, nie pozwalając tej drugiej istnieć niezależnie, co skutkuje postrzeganiem polityki jako widowiska. Media wybierają to, co postrzegane jest jako wartościowe (atrakcyjne), zgodnie z ich własną logiką, w związku z czym politycy dopasowują swoje działania, do tego wzorca tak, by nie zniknąć z rzeczywistości medialnej, a tym samym, pośrednio, ze sfery świadomości społecznej.

Ostatnim wymienianym przez Streeta podejściem jest strukturalizm, który przede wszystkim odnosi się do kwestii ekonomicznych, jakie wpływają nie tylko na media, ale także na politykę. Media mają produkować informacje, które wymagają jak najmniej nakładu, zarówno w odniesieniu do pracy, jak i kapitału, a jednocześnie mogą przynieść jak największy zysk, podczas gdy polityka staje się spektaklem podporządkowanym niejako ekonomicznej logice medialnej[64].

Media są w dużej mierze źródłem naszej wiedzy o sferze politycznej, jednocześnie są najbardziej istotną przestrzenią w jakiej funkcjonuje dyskurs polityczny, a raczej przestrzenią, z której czerpie się wiedzę o jego reprezentacjach. Tym samym warto zastanowić się nad tym, jaki jest kontekst i strukturalne warunki możliwości zaistnienia czegoś w mediach. Wydaje się, że w świetle koncepcji dyskursu wyłożonej przez Marka Czyżewskiego[65], zaprogramowanie przekazu najlepiej tłumaczą schematy „kolonizacji". Występują w nich nawiązania do dramaturgicznego przedstawiania polityki, do zjawiska spektaklu politycznego, mimo wszystko jednak z założeniem o nietożsamości logiki świata polityki i logiki mediów, choć przy dostrzeżeniu ich wzajemnych zależności.

Warto zwrócić uwagę na interpretację roli mediów przez Pierre'a Bourdieu, którą zawarł w swojej pozycji dotyczącej „panowania" dziennikarstwa. Bourdieu twierdzi, że decydując się na wystąpienie w telewizji, jednostka jest zmuszona do rezygnacji z własnej autonomii. Rezygnować z niej musi nie tylko gość, któremu narzucona zostaje forma i tematyka rozmowy, ale także dziennikarz, będący jednocześnie osobą, która podtrzymuje funkcjonowanie tej struktury. Autor dostrzega, że telewizja jest *„szczególnie szkodliwą formą przemocy symbolicznej"*[66], gdyż dokonuje się ona w zasadzie w sferze nieświadomości - zarówno ci, którzy są jej poddani, jak i ci, którzy ją sprawują, nie są tego świadomi.

Dominacja sensacji i informacji ważnych dla wszystkich, a przynajmniej takich, które wywołają zaciekawienie większości sprawia, że naprawdę stają się one istotne, ponieważ ich zadaniem jest ukrywanie tego, co mogłoby być cenne. Telewizja w tym ujęciu posiada niemalże monopol na kształtowanie umysłów, a także jest sprawczynią podziału na tych, którzy mają dostęp do informacji pochodzących z bardziej poważnych źródeł i takich, których niemalże jedynym źródłem wiedzy o świecie stają się migawki telewizyjne, z których niewiele można wyczytać[67]. Zdolność telewizji do tego, by za pomocą obrazu tworzyć złudzenie rzeczywistości sprawia, że każde zrelacjonowane wydarzenie, nawet to najbardziej błahe, może nieść za sobą istotne skutki społeczne, które mogą przyczyniać się zarówno do mobilizacji, jak i demobilizacji odbiorców. Implikacją tego zjawiska w rzeczywistości politycznej jest fakt, że gra polityczna toczy się o narzucenie odbiorcom własnego sposobu postrzegania świata, wartości, określonych sytuacji. W tym celu używa się podziałów, kreuje pseudowydarzenia, a przynajmniej nadaje się realnie istotnym wydarzeniom (dla danej grupy, społeczności) formę, która będzie medialnie interesująca, budzi się emocje (zazwyczaj negatywne, zorientowane przeciwko konkretnej osobie, zjawisku).

Bourdieu porusza również temat fałszu, który dokonuje się niejako na oczach odbiorców, jednocześnie pozostając często niezauważany i pomijany, a warto zwrócić uwagę, że niejednokrotnie również na polskiej scenie politycznej byliśmy tego świadkami. Chodzi o sytuację, w których jawnie sprzeczający się ze sobą dyskutanci, reprezentujący poglądy rozbieżne, podczas telewizyjnego spektaklu odgrywają rolę wrogów, choć w rzeczywistości są ze sobą blisko związani, a ich kontakty nie są odzwierciedleniem tego, co obserwują, często pozbawieni możliwości weryfikacji, odbiorcy[68]. Jest to kolejny, a zarazem nie ostatni, aspekt w wykładzie Bourdieu, w którym zwraca się uwagę na rolę telewizji w produkowaniu nierówności i kolejny przejaw podziału wynikającego z dostępu do informacji, gdyż istnieje przecież grupa ludzi świadomych tej gry pozorów, podczas gdy zdecydowana większość może wyrażać jedynie przypuszczenia, czy opinie.

W koncepcji roli telewizji w sprawowaniu władzy przy użyciu przemocy symbolicznej dostrzec możemy, że zwykle usiłuje się spowodować, iż wszystko ma sprawiać wrażenie *„demokratycznego"*. choć w istocie, wcale takim nie jest[69]. Bourdieu w tym celu tworzy pojęcie *„pola dziennikarskie-*

[64] Street J., *Politics Lost, Politics Transformed, Politics Colonised? Theories of the Impact ofMass Media,* Political Studies Review: 2005, vol 3, s. 20-31.
[65] W pracy: M. Czyżewski, S. Kowalski, A. Piotrowski (red.), *Rytualny chaos. Studium dyskursu politycznego*, Kraków 1997.
[66] P. Bourdieu, *O panowaniu telewizji. Panowanie dziennikarstwa*, Warszawa 2009, s. 42.
[67] Tamże, s. 44.
[68] Tamże, s. 60.
[69] Tamże, s. 63.

go", jako osobnego mikrosystemu, którego nie da się zrozumieć bez poznania oddziaływań zachodzących wokół niego, relacji z innymi mikrosystemami, otoczeniem wobec niego zewnętrznym. Pozycja tego pola w świecie rzeczywistym wynika przede wszystkim z faktu, że ma ono monopol na masowe upowszechnianie i wytwarzanie informacji.

Idąc tropem myśli Bourdieu pojawia się kolejny powód, dla którego tak ważna jest świadomość roli mediów w kreowaniu dyskursu. Politycy, którym odmówi się dostępu do mediów (bądź ci, którzy z różnych przyczyn sami z owego uczestnictwa zrezygnują), mogą zniknąć ze świadomości społecznej. Wchodząc w konflikt ze stacjami telewizyjnymi można niejednokrotnie narazić się na tendencyjny dobór treści. Ponadto współpracując z mediami należy brać pod uwagę logikę ich funkcjonowania, w związku z czym politycy często podejmują się działań mających na celu dostosowanie swoich słów do oczekiwań konkretnej stacji, bądź też sprowadzania tego, co chcą przekazać do retorycznych konwencji, czy chwytliwych sloganów. Tym samym każda informacja, która uwikłana jest w mikrosystem pola dziennikarskiego, ograniczonego i zdominowanego przez mechanizmy rynkowe, a jednocześnie posiadającego autonomiczną władzę symboliczną, musi być analizowana w ramach realnych zależności, które niejednokrotnie pozostają niewidoczne, bądź też niezauważane.

Ważnymi pojęciami stają się również mediatyzacja polityki, jak i mediatyzacja publiczności. Mediatyzację polityki W. Schultz odnosił przede wszystkim do działań pośredniczących, przejawia się ona poprzez takie zjawiska jak medialna selekcja informacji, które następnie trafiają do nieograniczonej publiczności. Informacje te stają się podstawą dla wiedzy oraz działań podejmowanych przez jednostki w ramach systemu. Podobnie media selekcjonują aktorów mających dostęp do uczestnictwa w sferze publicznej, a tym samym możliwość ich zaistnienia w świadomości społecznej. Innym elementem tego zjawiska jest ocenny charakter materiałów emitowanych, czy też interpretacja oczekiwań społecznych wobec określonych podmiotów, decyzji, działań. W ten proces wpisać można także tworzenie pseudowydarzeń i fikcyjnej rzeczywistości, które to w konsekwencji są w stanie wywierać realny wpływ na podejmowane później decyzje polityczne[70].

W odniesieniu do mediatyzacji publiczności przytacza się sądy, że jakoby pomniejszanie roli funkcji informacyjnej mediów, z preferencją dla funkcji rozrywkowej, odpowiada przede wszystkim potrzebom odbiorcy, gdyż przekaz łatwy w przyswojeniu, skandaliczny, obrazowy, emocjonalny, krótki, jednoznaczny, aktualny, jest tym, czego oczekuje ponowoczesne społeczeństwo[71]. Mediatyzacja publiczności powoduje przede wszystkim upolitycznienie życia jednostek. Sprawia, że informacja, sfera polityki wpływa w coraz większym stopniu na życie prywatne jednostek. M. McLuhan tego rodzaju działania nazywa "*techniczną symulacją świadomości",* w której proces poznania ludzkiego poszerza swój zasięg na całą społeczność, w tym sensie, że jednostka staje się zaangażowana w sprawy, które jej bezpośrednio nie dotykają, w sprawy całej ludzkości, tak jakby odnosiły się konkretnie do niej. W ten sposób określa on władzę przekazów medialnych nad jednostkowym pojmowaniem świata, nad ludzkimi zmysłami, nad całą świadomością człowieka. Tym samym media wprowadzają do społecznego obiegu wartości przypadkowe, sztucznie wykreowane, tak by ludzki proces poznania ograniczał się do tych właśnie wzorców[72] .

Wszystkie poruszone wyżej kwestie mają także istotny wpływ na postawy uczniów, sposób ich rozumienia świata, a także na ramy, w których umieszczają docierające do nich informacje. W procesie edukacji warto więc zwracać uwagę nie tylko na potrzebę zdobywania i poszukiwania wiedzy, ale także na to, jakie zagrożenia dla społeczeństwa niesie bezrefleksyjne przyjmowanie informacji. Świadomość medialnego zakrzywiania rzeczywistości i umiejętność skutecznego odróżniania faktów od opinii, dostrzegania manipulacji i stronniczości, wiedza na temat procesów wpływających na ostateczny kształt obrazu rzeczywistości, w tym politycznej, którego konsumentem stajemy się właśnie dzięki mediom, wydaje się być elementem koniecznym w kształtowaniu postaw przystających do idei społeczeństwa obywatelskiego.

Sara Burchert *– doktorant Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.*

==========

Jan Stępień

Grabarze Twoich marzeń

Noszą czarne garnitury
Starannie golą swoje maski
Nad ich życiem czuwa
Bezsenny sztab telefonów
Grabarze Twoich marzeń
Wszystkie problemy świata
powierzyli superkomputerowi:
może pisać wiersze i prozę
komponować muzykę
bawić się z Twoim dzieckiem
oraz sterować bombą neutronową

[70] W. Shultz, *Komunikacja polityczna. Koncepcje teoretyczne i wyniki badań empirycznych na temat mediów masowych w polityce*, Kraków 2006, s. 30.

[71] A. Chodubski, *Media a kształtowanie świadomości wyborczej*, [w:] T. Sasińska-Klas (red.), *Media w wyborach. Kampanie wyborcze. Media w polityce*, Toruń 2007, s. 123-125.

[72] M. McLuhan, *Zrozumieć media. Przedłużenie człowieka*, Warszawa 2004, s. 123-125.

Magdalena Rzadkowolska

INTELIGENCJA I KSIĄŻKA

Inteligencja jest pojęciem wieloznacznym, obejmującym konglomerat zawodów wymagających wykształcenia średniego albo wyższego i uważanych w swej epoce za „umysłowe". Inteligencja oznacza także elitę umysłową i kulturalną narodu – to kryterium węższe od poprzedniego i nieprecyzyjne, obejmuje inspiratorów ruchów społecznych i politycznych, twórców ich symboli i dostawców idei.

Joanna Kurczewska, autorka hasła *Inteligencja* w *Encyklopedii socjologii*, pisząc o rodowodzie tego terminu odwołuje się do określenia Karola Libelta, że inteligencję tworzą „ci wszyscy, co troskliwsze i rozleglejsze odebrawszy po szkołach wyższych wychowanie stają na czele narodu jako uczeni, urzędnicy, nauczyciele, duchowni, przemysłowi zgoła, którzy mu [narodowi, ludowi] przewodzą wskutek wyższej swej oświaty"[73].

Filozof i ekonomista Jan Filip Staniłko zauważył, że „«Inteligencja» to słowo w języku polskim niosące ze sobą olbrzymi bagaż sensu, historycznej treści a także – co niesłychanie ważne – nacechowane (pozytywnie) moralnie. Warstwa społeczna, określana tym mianem ma ciekawą i skomplikowaną historię. Ma także nieocenione zasługi dla narodu i państwa polskiego. […] Inteligenckość jest […] wypływającym z tradycji powołaniem do budowy dobra wspólnego, lojalnością wobec specyficznej, uformowanej w przeszłości idei społecznego zaangażowania"[74]. Tak opisana inteligencja, była predestynowana do zaangażowania się w „życie książki" – działania na rzecz jej gromadzenia i upowszechniania, co dokonywało się poprzez organizowanie bibliotek i czytelń, prowadzenie działalności wydawniczej.

Przez wieki stosunek do książki był pragmatyczny, wykorzystywano przydatne prace ,zaś mniejszą wagę przywiązywano do walorów zewnętrznych. W okresie zaborów obowiązek zachowania i pomnażania dziedzictwa narodowego spadł na społeczeństwo. Owo zadanie spoczęło na barkach ziemiaństwa i inteligencji, którzy czuli się odpowiedzialni za kondycję umysłową i moralną narodu. Uznano, że najskuteczniejszym narzędziem jego realizacji będą książki, które pozwolą kultywować język polski, historię, tradycję, kształcić, wychowywać, służyć „pokrzepieniu serc". Wówczas w szerokich warstwach społecznych pojawił się kult książki[75].

W okresie zaborów obserwujemy zjawisko gromadzenia zbiorów, zwłaszcza powstawanie księgozbiorów prywatnych, w których swoje miejsce znalazło dawne i współczesne piśmiennictwo polskie i światowe. Biblioteka miała być nie tylko azylem dla zabytków kultury, ale również dobrze wyposażonym warsztatem edukacji i pracy naukowej. Dlatego dla zbieraczy ważniejsza była treść książek niż walory zewnętrzne.

Dążenie do posiadania książek wypływało z praktyczności i poczucia obowiązku. Biblioteki prywatne, którym przypadła w tym czasie najważniejsza rola, to nie tylko kolekcje wielkoziemiańskie. To zbiory inteligencji – nauczycieli i profesorów, prawników, lekarzy i aptekarzy, duchownych, literatów, dziennikarzy, kupców, bankierów, urzędników, bibliotekarzy, wojskowych – która była oddana pasji kolekcjonerskiej, a ich biblioteki służyły nie tylko właścicielom i najbliższemu otoczeniu. Wiele z tych księgozbiorów zasiliło biblioteki publiczne, które dzięki owym darom szybko powiększały swoje zasoby.

Nie można dziś nawet w przybliżeniu podać listy bibliotek domowych ani określić ich średniej wielkości. Fragmentaryczne dane pozwalają jednak twierdzić, że w niemal każdym domu zgromadzono mniejszą lub większą bibliotekę, intensywnie wykorzystywaną. Posiadanie księgozbioru domowego ściśle łączyło się z chęcią zapewnienia potomstwu wykształcenia, właściwą stylowi życia polskiej inteligencji XIX/XX w. Ważne było codzienne obcowanie z książką, kształtowanie nawyków czytelniczych dzieci, które prowadziło do samokształcenia całej rodziny. Przekaz drukowany był wówczas głównym kanałem informacji pozwalającym na stałe poszerzanie wiedzy o otaczającym świecie, ale również narzędziem wspomagającym wychowanie patriotyczne i budującym przywiązanie do kultury narodowej[76].

Z inteligencji wywodzili się najczęściej inicjatorzy i uczestnicy społecznego mecenatu zbiorowego. Swoje biblioteki organizowały towarzystwa naukowe m.in. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk, Towarzystwo Naukowe Płockie, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Towarzystwo Naukowe Krakowskie, Towarzystwo Naukowe w Toruniu (placówki te były przede wszystkim przeznaczone dla uczonych, ale także publicznie dostępne); towarzystwa specjalistyczne i zawodowe np. Wileńskie Towarzystwo Lekarskie, Warszawskie Towarzystwo Lekarskie, Towarzystwo Numizmatyczne w Krakowie, Towarzystwo Prawnicze w Krakowie, Konfraternia Kupiecka w Warszawie; zrzeszenia i kluby środowiskowo-towarzyskie[77].

Inteligencja przyczyniła się do rozwoju bibliotekarstwa publicznego w II poł. XIX w., z inicjatywy Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności w 1861 r. uruchomiono w Warszawie bezpłatną czytelnię; rok później było ich 12 a pod koniec XIX w. – 23. Podobne działania podjęły we wszystkich zaborach inne organizacje charytatywne, facho-

[73] J. Kurczewska, *Inteligencja*. [w:] *Encyklopedia socjologii*. T. 1, Warszawa 1998, s. 337.
[74] J.F. Staniłko, *Koniec polityki inteligenckiej*, „Arcana" 2006 nr 5.
[75] B. Bieńkowska, *Książka na przestrzeni dziejów*, Warszawa 2005, s. 182.
[76] A. Żarnowska, K. Sierakowska, *Stare i nowe wzorce i obyczaje rodziny inteligenckiej w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej. Rodzina inteligencka* [dok. elektron.]. – Tryb dostępu: http://jazon.hist.uj.edu.pl/zjazd/materialy/zarnowska_sierakowska.pdf [dostęp dn. 2017-06-20]; I. Krzywicka, Wyznania gorszycielki, Warszawa 1992 s. 95; B. Bieńkowska, *Książka*…, s. 197, 200.
[77] B. Bieńkowska, *Książka*…, s. 201.

we, oświatowe, reprezentujące różny światopogląd i działające na rzecz różnych środowisk. Przyświecała im jedna idea – szerzenie ducha patriotycznego i oświaty. W zaborze pruskim aktywnie działało od 1880 r. Towarzystwo Czytelń Ludowych (prowadzące swoją działalność do 1939 r.), w zaborze austriackim – Towarzystwo Oświaty Ludowej (1881-1904) i Towarzystwo Szkoły Ludowej (1891-1939), w zaborze rosyjskim – Polska Macierz Szkolna (zarejestrowana w 1906 r., zdelegalizowana w 1907 r., wznowiła działalność w latach 1916-1939). Biblioteki oświatowe prowadzone przez organizacje społeczne były niewielkie, często mieściły się w prywatnych mieszkaniach, natomiast cieszyły się dużą frekwencją i działały przez okres 20-lecia międzywojennego, mimo że wówczas obowiązki oświaty publicznej przejęło państwo. Osoby o wyrobionych gustach czytelniczych wywodzące się z warstw średnich zakładały stowarzyszenia, które powoływały miejskie biblioteki publiczne, m.in. w Warszawie, Lublinie, Kielcach, Kaliszu, Łodzi. Skromną liczbę tych placówek uzupełniały płatne czytelnie i wypożyczalnie, organizowane nie tylko w celach zarobkowych, ale również z pobudek ideowych jak Czytelnia Naukowa Jadwigi Dawidowej (1885-1907) związana z warszawskimi organizacjami oświatowymi i „Latającym Uniwersytetem"[78].

W strukturze społecznej kształtującej się na przełomie XIX i XX w. na pograniczu tzw. klasy posiadającej (średniej klasy fabrykantów i kupców) i inteligencji znaleźli swoje miejsce wydawcy. Marianna Mlekicka w monografii *Wydawcy książek w Warszawie w okresie zaborów* zwraca uwagę, że nie byli oni inteligencją w sensie warstwy społecznej. Związki te rozpatruje tylko z punktu widzenia stanu ich wykształcenia i charakteru zawodowej działalności. W ciągu XIX wieku zwiększała się liczba wydawców posiadających średnie i wyższe wykształcenie, wielu z nich posiadało wysokie kwalifikacje intelektualne. Sama profesja charakteryzowała się dualizmem celów działania, wydawca dążył do osiągania zysku dbając o zaspokojenie potrzeb umysłowych społeczeństwa. Ta cecha stawiała wydawcę wśród inteligencji aktywnie tworzącej kulturę narodową[79].

Okres 20-lecia międzywojennego pod wieloma względami był kontynuacją poprzedniej epoki. Janusz Żarnowski zwraca uwagę na zaangażowanie inteligencji w funkcje obsługi życia społecznego. Było to związane z modernizacją państwa, profesjonalizacją życia zawodowego i społecznego, narastającą biurokratyzacją życia społecznego, gospodarczego i społecznego. Inteligencja obsadziła wszystkie stanowiska w sektorze publicznym, w edukacji. Wówczas odradzało się życie kulturalne; nadrabiano zaległości oświatowe; rozwijało się szkolnictwo wszystkich szczebli, różne formy kształcenia pozaszkolnego, instytucje naukowe; rozbudowywały się dawne i powstawały nowe biblioteki różnych typów. W „życiu książki" inteligencja uczestniczyła aktywnie, podejmując działania na rzecz zawodowego kształcenia bibliotekarzy, opracowując instrukcje metodyczne i podręczniki – co przyczyniło się do modernizacji bibliotekarstwa jako zawodu i dyscypliny naukowej, zabiegając i uchwalenie ustawy bibliotecznej. A także rozwijając działalność wydawniczą i księgarska, promując kulturę książki[80].

W latach 1939-1945, podczas II wojny światowej, nastąpiło odrodzenie dawnej roli inteligencji. Za swoją misje uznała ona zachowanie tożsamości narodowej, podjęcie działań na rzecz rozwoju i utrzymania systematycznej edukacji dzieci i młodzieży oraz prowadzenie możliwych wówczas form działalności kulturalnej. Osobną kwestią jest dorobek polskiej inteligencji na emigracji, który został zaprzepaszczony przez władze wyzwolonej spod okupacji hitlerowskiej Polski[81].

Po zakończeniu wojny inteligencja „abdykowała", uznając wyższość robotników i warstw ludowych. Nastąpiła wówczas zmiana jej składu społecznego. Podjęto kwestię profesjonalizacji inteligencji i jej wewnętrznego zróżnicowania ze względu na zawód, pochodzenie społeczne, stosunek do kultury etc. Tradycja realnego socjalizmu nakazywała poszukiwanie inteligencji wśród ludzi z wyższym wykształceniem, ale brano pod uwagę dodatkowe kryterium, charakter wykonywanej pracy. J. Kurczewska zwraca uwagę, że od lat 60. XX w. inteligencja kształtowała się na innych fundamentach, wywodząc się z nowej ludowej inteligencji, wchodzącej w sojusze z grupą „starej". Członkowie nowej inteligencji próbowali pozostać fachowcami, nie aspirując do niezależności intelektualnej i moralnej, choć niektórzy usiłowali stać się ideologami państwa socjalistycznego. Badania socjologiczne prowadzone na przełomie lat 60. i 70. XX w. pokazały, że poziom wykształcenia był jednym z najsilniejszych czynników różnicowania społecznego. Jednak w późniejszych latach okazało się, że różnicuje aktywność społeczna, a zwłaszcza „poziom konsumpcji kulturalnej". Urzędnik z wyższym wykształceniem mógł być uczestnikiem kultury masowej, a robotnik z wykształceniem średnim – wyższej[82].

Socjolog Aleksander Gella ocenił, że upadek inteligencji trwał od zakończenia II wojny światowej do końca lat 50. XX w. Na przełomie następnych dwóch dziesięcioleci nastąpił jej odradzanie się, gdy małe grupy intelektualistów i ich naśladowców zajmować miejsce między establishmentem a masami. Zaś w latach 80., jak wskazuje J. Mikułowski Pomorski, inteligencja odegrała samodzielną rolę, pokazując, że zachowała podmiotowość i niezależność sądzenia[83].

Po zakończeniu II wojny światowej inteligencja nie mogła podjąć zadania zaspokajania potrzeb umysłowych społeczeństwa poprzez prowadzenie działalności wydawniczej. Po trzyletnim okresie względnej swobody pracy wydawniczej, w latach 1948-1989 wyeliminowano z polskiego rynku wy-

[78] B. Bieńkowska, *Książka*…, s. 201-202; H. Więckowska, *Tradycje nowoczesnego bibliotekarstwa polskiego*. [w:] *Twórcy nowoczesnego bibliotekarstwa polskiego*, red. B. Kocowski, Wrocław 1974, s. 16, 18; I. Lepalczyk, *Dawidowa Jadwiga*. [w:] *Słownik pracowników książki polskiej*, Warszawa – Łódź 1972, s.160-161.

[79] M. Mlekicka, *Wydawcy książek w Warszawie w okresie zaborów*, Warszawa 1987, s. 240.

[80] J. Żarnowski, *Dawne i nowe role inteligencji w Polsce*, „Kultura i Społeczeństwo" 2000 nr 2, s. 132; H. Więckowska, *Tradycje nowoczesnego*…, s. 19, 20.

[81] J. Żarnowski, *Dawne i nowe* …, s. 133.

[82] J. Kurczewska *Inteligencja*…, s. 342.

[83] J. Mikułowski Pomorski, *Inteligencja wobec nowych czasów*. [W:] *Inteligencja między tradycją a wyzwaniem współczesności*, pod r. J. Mikułowskiego Pomorskiego, Kraków, 2005. s. 244, 253.

dawców prywatnych. Obowiązywała wówczas skrajna postać filozofii „walki i eliminacji", która doprowadziła do monopolizacji „życia książki" przez jedną siłę ideologiczną – PPR następnie PZPR – i do centralistycznego systemu zarządzania instytucjami systemu książki. Rozwój i działalność sieci wydawniczej, księgarskiej i bibliotecznej pozostawały w gestii władz państwowych, realizowały ich politykę społeczną i kulturalną[84].

W latach 1971-1980 zaczęły powstawać nielegalne instytucje wydawnicze należące do podmiotów niezależnych, będące w opozycji do sfery władzy, pojawiła się „literatura drugiego obiegu". We wrześniu 1976 r. ukazał się pierwszy numer „Biuletynu Informacyjnego KOR", który poruszył lawinę drukowanych w podziemiu książek i periodyków, które różniły się jakościowo, ideowo, politycznie, ale przełamały monopol partyjno-państwowego wydawcy. „Powstawała gęsta i – jak się okazało – trwała tkanka społecznej i obywatelskiej komunikacji. Nie zniszczyły jej nawet restrykcje stanu wojennego. Podziemne wydawnictwa to zarazem imponująca kontynuacja, jak i niezwykły fenomen"[85]. Wówczas zaczął kształtować się wielopodmiotowy rynek książki.

Powstały takie wydawnictwa jak NOWA (Niezależna Oficyna Wydawnicza) Mirosława Chojeckiego czy Spotkania Janusza Krupskiego. W następnych latach pojawiły się kolejne oficyny proponujące ciekawe inicjatywy wydawnicze, np. Wydawnictwo im. Konstytucji 3 Maja, związane z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela opublikowało kilkadziesiąt książek, m.in. *Największego sojusznika Hitlera* Aleksandra Bergmana; poznańska Witrynka Literatów i Krytyków wyspecjalizowała się w bibliofilskich wydaniach tomików wierszy Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego, Adama Zagajewskiego. Coraz bogatsza była oferta czasopism – powstały korowski *Głos*", katolickie *Spotkania*, *Droga* redagowana przez Leszka Moczulskiego, literacki *Puls*[86].

Lata 1981-1989, a zwłaszcza okres stanu wojennego, są ważne dla renesansu tradycyjnych zadań inteligencji. Nastąpiła wówczas dekompozycja systemu politycznego, pojawiły się ważne podmioty, jak zdelegalizowana *Solidarność* czy Kościół katolicki, który m.in. poprzez swoje wydawnictwa umożliwiał rozpowszechnianie treści niezależnych od „reżimu totalitarnego"[87]. Obrady Okrągłego Stołu można uznać za moment przełomowy – rozpoczęła się transformacja ustrojowa; 23 marca 1990 r. sejm przyjął ustawę o likwidacji *RSW Prasa – Książka – Ruch*, zniesiono cenzurę, dzięki czemu rynek książki stał pluralistyczny.

Przemiany ustrojowe, które nastąpiły po 1989 r. pokazały, że w procesie przemian ekonomicznych, cywilizacyjnych i kulturowych znaczącą rolę odegrały grupy o rodowodzie inteligenckim, określane przez badaczy jako klasy średnie. „W studiach teoretycznych lub historyczno-kulturowych nad statusem inteligencji w nowym ustroju przyjmuje się, że jest to kategoria społeczna (zbiorowość osób z wyższym wykształceniem wykonujących prace umysłowe) lub całość społeczna wewnętrznie zróżnicowana, mająca jednak poczucie tożsamości wewnętrznej i odrębności zewnętrznej, zwana częściej warstwą aniżeli klasą, lub, że jest to konstrukt ideologiczny, na który składają się specyficzne cechy i zadania grupowe […]"[88].

Nowe społeczeństwo, które zaczęło kształtować się wraz z upadkiem komunizmu stawało się coraz bardziej indywidualistyczne, wspólna tożsamość zaczęła tracić moc oddziaływania, jest wypierana przez węższe tożsamości. Okazało się, że wraz z przywróceniem suwerenności politycznej przestało istnieć zapotrzebowanie na nauczycieli społeczeństwa. Według Janusza Żarnowskiego „[…] różnice między «sferą budżetową» a sektorem gospodarczym są tak duże, że powstały w nich odrębne i zasadniczo różniące się grupy ekspertów. W sektorze gospodarczym kierownictwo sprawują ludzie biznesu. Biznes aspiruje do pozycji zbliżonej do warstwy średniej społeczeństw zachodnich, z którą się stale kontaktuje, a nie do udziału w jakiejś warstwie o charakterystyce podobnej do inteligencji. Niższe warstwy biznesu przypominają raczej mniej lub bardziej zmodernizowane drobnomieszczaństwo, na pewno zaś nie inteligencję. Sektor budżetowy natomiast będzie się zapewne kurczył w związku z prywatyzacją gospodarki i usług, kurczyć się więc będą także zatrudnione w nim kategorie zbliżone do inteligencji"[89].

Inteligencja nie jest dziś łatwa do wyodrębnienia, trudno jest przeprowadzić rozdział między intelektualistami a pracownikami umysłowymi. Choć kultura zachodnia stawia między nimi znak równości, to według tradycji wschodniej te dwie kategorie na siebie zachodzą, ale się nie pokrywają. Intelektualiści są bieglejsi zawodowo, bardziej twórczy, ale mniej ideowi. Inteligencja była nastawiona na przezwyciężanie zapóźnień gospodarczych i społecznych i niepodległość narodową. Te zadania miały towarzyszyć wypełnianiu ról zawodowych[90].

Inteligencji były przypisane obowiązki strażnika i krzewiciela kultury, nauczyciela narodu. Dla Ryszarda Legutki we współczesnym, zindywidualizowanym społeczeństwie „[…] rola inteligencji jest trudna do przecenienia. To ona będzie nadawała treść pojęciom ogólnym, ona będzie formowała ideologie, utrwalała je, walczyła z nimi, tworzyła kolektywne świadomości a także podważała je. […] sam proces rozpowszechniania idei oraz treści, jakie za nimi stoją, jest dzisiaj w rękach grup – takich, jak specjaliści od reklamy czy rynkowych operacji – które nie kwalifikują się do inteligencji w zwykłym sensie tego słowa. Jednak źródło tego, co stanie

[84] S.A. Kondek, *Władza i wydawcy*, Warszawa 1993; Tenże, *Papierowa rewolucja: oficjalny obieg książek w Polsce a latach 1948–1955*, Warszawa 1999.
[85] T. Wołek, *Wolne słowo*, „Polityka" 2005 nr 4.
[86] J. Skórzyński, *Wolne słowo z powielacza*, „Polityka" 2007 nr 37.
[87] M. Jachimowski, *Regiony periodycznej komunikacji medialnej – czyli dekompozycja przestrzeni medialnej uwarunkowana kulturowo, cywilizacyjnie i politycznie*, [w:] *Współczesne procesy fragmentaryzacji i rekompozycji*, Kraków 2007, s. 55-56.
[88] J. Kurczewska, *Inteligencja…*, s. 342-343.
[89] J. Żarnowski, *Dawne i nowe role inteligencji w Polsce*. [Cyt. za:] A. Radziewicz-Winnicki, *Społeczeństwo w trakcie zmiany*, Gdańsk 2004, s. 120.
[90] J. Mikułowski Pomorski, *Inteligencja…*, s. 247.

się przedmiotem reklamy czy rynkowej promocji, tkwi w umyśle oraz wyobraźni inteligenta"[91].

Kultura była i jest „poligonem" inteligenckiej walki o świadomość społeczną. Koncepcja uczestnictwa w kulturze, wpływania na świadomość społeczną, jest inteligenckim celem, który ma być spełniony wobec społeczeństwa. Jak kształtują się relacje inteligencji przełomu XX i XXI wieku z książką i biblioteką? Po minionym systemie odziedziczyliśmy sieć bibliotek publicznych, która od kilku lat systematycznie się kurczy. Mamy bogatą produkcję wydawniczą, choć większość edytorów nie ma poczucia misji – głównie wypuszcza na rynek literaturę popularną i poradnikową. Mimo że zwiększa się liczba osób legitymujących się dyplomem ukończenia studiów wyższych – odsetek publiczności czytającej spada, w 2016 r. jedynie 37% Polaków powyżej 15 r.ż. przeczytało jakąkolwiek książkę, a 10% siedem lub więcej pozycji. Natomiast 16% nie przeczytało żadnej książki, gazety, czasopisma, wiadomości w sieci ani nawet tekstu o objętości przynajmniej trzech stron[92]. Według prognozy firmy PwC dla rynku mediów i rozrywki do 2020 r. rynek książki drukowanej będzie się kurczył, jego przychody spadną o 8-10%[93].

Frank Furedi w książce *Gdzie się podziali wszyscy intelektualiści?* (Warszawa 2008) zwraca uwagę na, mające charakter ogólnoświatowy, zjawisko powszechnego włączenia jak największych grup ludzi do systemu kształcenia na poziomie akademickim. Ta idea prowadzi jednak do obniżenia standardów i pozwala na ukończenie studiów wyższych osobom, które nie przeczytały ani jednej książki. Krzysztof T. Toeplitz opisany przez F. Furedi'ego problem skomentował następująco: „Człowiek wykształcony odróżniał się od pospólstwa nie tyle większą biegłością w wykonywaniu powszechnych czynności, lecz odmiennym, bardziej przenikliwym spojrzeniem na rzeczywistość jako całość. W dzisiejszym starciu kultur ten model przegrywa zarówno ilościowo, jak i komercyjnie, równocześnie jednak kultura typograficzna wydaje się obecnie jedynym punktem oparcia wobec kultury nieustannej rozrywki, za jaką wielu teoretyków uważa kulturę elektroniczną"[94].

Świat się zmienił, zmienił się model uczestnictwa w kulturze; „papierowa «Galaktyka Gutenberga» przestała być dla nas wszechświatem, a stała się jedną z opcji"[95]. Jest to związane z faktem, iż żyjemy dziś na pograniczu dwóch kultur – typograficznej i elektronicznej. Lekturę książki zamieniono na lekturę witryn internetowych. Za pośrednictwem Internetu ogląda się filmy, słucha muzyki, czyta teksty literackie, eseje, publicystykę umieszczoną jako pliki PDF czy podcasty audio.

Czy dziś inteligencja będzie zakładać biblioteki? Z pewnością nie na skalę masową – choć z sukcesami prowadzona była akcja „Jedna firma – jedna książka" (do 2007 r.), której patronowała fundacja „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom". Firma fundowała co najmniej jedną książkę do bibliotek, przedszkoli, świetlic i innych placówek. Spadek publiczności czytającej zachęca pracodawców do zakładania profesjonalnych bibliotek zakładowych, jak to uczynił Artur Nowak Gocławski kierujący Spółdzielnią Doradców Kredytowych ANG[96].

Do dziewiętnastowiecznej tradycji szerzenia czytelnictwa zaliczyć można zabiegi całej rzeszy bibliotekarzy, którzy starają się o środki finansowe z różnych źródeł, pisząc wnioski, by prowadzić szeroką działalność kulturalną i oświatową skierowaną do dzieci i dorosłych. Pielęgnowaniu nawyku systematycznego obcowania z książką służy akcja „Cała Polska czyta dzieciom", uświadamia znaczenie czytania dziecku dla jego rozwoju emocjonalnego oraz stara się wyrobić u dorosłych nawyk codziennego czytania dzieciom[97]. Promocję czytelnictwa wspierają znane osoby ze świata kultury, filmu, mediów, sportu, polityki. Uczestniczyły one m.in. w akcji Polskiej Izby Książki *Przyłapani na czytaniu* i w różnych okolicznościach fotografowały się z książką. W 2017 r. czytelnictwo, na zlecenie Instytutu Książki, będą promować gwiazdy popularnego programu radiowego *Lato z Radiem*. Prócz dużych akcji, popularność zyskują działania prowadzone w mediach społecznościowych, nie wymagające znacznych nakładów finansowych. Zwłaszcza hashtagi pozwalające na dotarcie do wielu użytkowników i szybką interakcję[98]. Inteligenckie ideały wzbogacania księgozbiorów miała rozbudzić przeprowadzona w 2008 r. akcja Fundacji Agory, wydawnictwa *Świat Książki* i agencji Ciszewski PR *Czas na czytanie. Książka wzbogaca*. Dzięki niej bibliotekom w całej Polsce przekazano 100 tys. książek[99].

Współcześni organizatorzy akcji promujących książki i czytelnictwo zwracają uwagę na korzyści płynące z czytania, na rozszerzanie horyzontów, wzbogacanie słownictwa, kształtowanie wrażliwości. Zaś wspieranie czytelnictwa uważają za część działań na rzecz niwelowania nierówności społecznych.

Magdalena Rzadkowolska – *bibliolog, teolog.*

[91] R. Legutko, *O tak zwanym końcu inteligencji*. [W:] *Inteligencja. Tradycja i nowe czasy*, pod red. H. Kowalskiej, Kraków 2001, s. 37-38.

[92] *Stan czytelnictwa w Polsce w 2016 r.* [dok. elektron.]. – Tryb dostępu: http://www.bn.org.pl/download/document/1493378303.pdf (dostęp dn. 2017-06-26)

[93] M. Lemańska, *Wpływy ze sprzedaży książek w Polsce coraz niższe* [dok. elektron.]. – Tryb dostępu:http://www.rp.pl/Media-i-internet/309269872-Wplywy-ze-sprzedazy-ksiazek-w-Polsce-coraz-nizsze-Nie-pomoga-coraz-popularniejsze-e-booki.html#ap-2 (dostęp dn. 2017-06-26)

[94] K. T. Toeplitz, *Smutek Gutenberga*, „Polityka" 2008 nr 20 s. 72.

[95] J. Derkaczew, *Czy kultura idzie na dno*, „Gazeta Wyborcza" z dn. 7.04.2008, s. 14.

[96] Biblioteki zakładowe [dok. elektron] – Tryb dostępu: http://bibliotekizakladowe.pl (dostęp dn. 2017-06-26); M. Rachid Chehab, *Pracownicy tej firmy finansowej mają bibliotekę, specjalną aplikację i czytanie zapisane w celach*, „Gazeta Wyborcza" z dn. 25.05.2017

[97] ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom http://www.calapolskaczytadzieciom.pl

[98] B. M. Morawiec, 10 *akcji viralowych promujących czytelnictwo i biblioteki* [dok.elektron]. – Tryb dostępu: http://lustrobiblioteki.pl/2017/02/10-akcji-viralowych-promujacych-czytelnictwo-biblioteki (dostęp dn. 2017-06-26).

[99] M. I. Niemczyńska, *Stawiamy na czytanie książek – www.czas na czytanie.pl* , „Gazeta Wyborcza" z dn. 16.05.2008.

Marcin Buczyński

REWOLUCJONISTKI – PORTETY KOBIET W *PŁOMIENIACH*

Męska rewolucja w imię kobiet

Kobiety w *Płomieniach* tylko pozornie są postaciami drugoplanowymi czy epizodycznymi.

Oczywiście, na poziomie fabuły to przede wszystkim męska opowieść o walce. Przecież czytamy wspomnienia Michała Kaniowskiego, przez co narzucony zostaje specyficzny rodzaj narracji narratora uczestniczącego. Kaniowski na swojej drodze spotyka przede wszystkim mężczyzn, z którymi może walczyć ramię przy ramieniu, przechodzi różnego rodzaju męskie inicjacje – od seksualnej po bojową. Koła, w których działa są zdominowane przez mężczyzn, nawet poświęcenie kariery naukowej na rzecz działalności społecznej ma w powieści męskie oblicze w postaci Asta. Jak zatem można mówić o pierwszorzędnej roli kobiet w *Płomieniach*, skoro rola społeczna kobiety w czasach, o których traktuje powieść, dopiero zaczynała przybierać dzisiejsze kształty? Gdzie ich istotna waga? Przecież główny wątek, którym jest zamach na cara, to konflikt rozgrywający się pomiędzy mężczyznami: zamachowcem z jednej strony i tyranem z drugiej. Rewolucjonistki, które pojawiają się na stronach powieści nie dożywają do finałowej rozgrywki ze starym porządkiem. Uczestnicząca w ostatnich przygotowaniach i w konsekwencji rozpadzie spisku Sonia jest postacią, której rola nie jest do końca sprecyzowana, pojawia się w kilku scenach i nie odgrywa przewodniej roli.

Zatem w centrum stoją mężczyźni. Na tym stwierdzeniu moglibyśmy poprzestać, ale tylko w przypadku, gdyby rzeczywiście Stanisław Brzozowski chciał przekazać nam jedynie fabularyzowaną historię ruchów rewolucyjnych XIX – go wieku. Musimy przyjąć, że centrum jest gdzie indziej, jak pouczał Jacques Derrida. Zresztą to stanowisko, które było bardzo ważne dla nastawienia dekonstrukcji, bliskie jest krytycznemu podejściu samego Brzozowskiego, który diagnozował stan polskiej literatury tak:

Literatura polska w okresie obecnym jest wyrazem życia duchowego i myślowego ludzi zaskoczonych przez nowoczesność, nierozumiejących nowych form życia, nowych walk, nowego, stającego się człowieka.

I nieco dalej:

…zanik w literaturze polskiej myśli mającej ogólnoludzkie znaczenie, zanik poczucia i potrzeby prawdy, zanik zmysłu dla wyników nauki, wszystko to są wyniki konieczne całych nowoczesnych dziejów polskich. Szczerego, bezpośredniego a ciągłego kontaktu pomiędzy myślą naszą, a życiem nowoczesnym nie było nigdy[100].

Takie stanowisko wymusza podjęcie odpowiednich kroków w samej twórczości. Musi ona odpowiadać na nowoczesność, nowe walki, nowego człowieka. Pisarz deklaruje, że jest kilku twórców, którzy podjęli się dostosowania literatury polskiej do problemów nowoczesności. Są wśród nich: Prus, Orzeszkowa, Świętochowski, Sieroszewski i Żeromski. Sam Brzozowski przesunie granicę jeszcze dalej, jeszcze bardziej dostosuje literaturę polską do problemów nowoczesności.

Ponieważ *Płomienie* są powieścią ukształtowanego już umysłu, wcześniejsze deklaracje ideowe dość często pojawiają się w powieści, co zresztą zauważyła krytyka, po ukazaniu się powieści, pisząc o „szlachetnym dziennikarstwie", czy

[100] S. Brzozowski, *Koniec romantyzmu*, w: S. Brzozowski: *Eseje i studia o literaturze,* T.1, Wrocław 1990, s. 429.

„ideowym kronikarstwie"[101]. Brzozowski, chcąc uchwycić w powieści i uzasadnić konieczność walki o zmianę rzeczywistości, nader często powołuje się na społeczną sytuację kobiet, którym mężczyźni odmawiają podmiotowości.

Chronologicznie najwcześniejszą opowieścią pokazującą sposób traktowania kobiet w patriarchalnej rzeczywistości jest historia przytoczona przez petersburskiego staruszka spotkanego przez Kaniowskiego. Historia dziewczyny o imieniu Zuzia jest charakterystyczna dla wskazywanego przez Brzozowskiego wykorzystywania przez mężczyzn swojej pozycji. Bohaterka jest w dwójnasób w sytuacji podległości – jest kobietą i jest niskiego pochodzenia społecznego. Wykorzystującymi są: szlachcic i ksiądz. Obydwaj ponoszą karę wymierzoną poza obrębem postępowania administracyjnego.

Pierwszą kobietą na kartach powieści egzemplifikującą ten problem jest Bejła – prostytutka, której marzeniem jest wyjechać do domu publicznego do Rygi, gdzie miałaby szansę poznać mężczyznę, który by jej nie bił. Relacja Kaniowskiego z Bejłą jest oczywiście relacją mężczyzny z prostytutką. Powoduje to w Kaniowskim wyrzuty sumienia, a następnie zamknięcie się przed światem w książkach. Następuje najpierw zwątpienie w reguły rządzące światem, następnie bunt przeciw takiemu ułożeniu rzeczywistości, w której można dojść do refleksji: *naga kobieta – rzecz* (s. 44). Refleksja ta zrodzi krzyk Kaniowskiego: *Słyszycie! Ja nie chcę, aby to było*! (s.40). Krzyk ten należy zestawić ze słowami wdzięczności wypowiadanymi przez Bejłę:

Tyś mnie nie bił, ty mnie nie parzył papierosem po gołym ciele i nie śmiał się, kiedym płakała. Ja się tobie podobam, jakbym naprawdę była twoją. Tyś na mnie nie krzyczał ja na zwierzę (s. 44-45).

Wdzięczność dziewczyny za potraktowanie jej w sposób bez przemocy od razu wskazuje na umiejscowienie jej w społeczeństwie i obnaża hierarchię, której regułą jest ustawienie kobiety w rzędzie ze zwierzętami (bestiami w kategoriach, jakich użyło średniowiecze) i odmówienie jej ludzkiego traktowania.

Zrodzona z samopotępienia odraza wobec zniewolonego ciała pcha Kaniowskiego w kierunku duchowości – mistycznej lektury *Myśli* Pascala. Lekiem na wstręt wobec upokorzonego ciała ma być duch. Jednak dopiero po wyzwoleniu się z tych rojeń Kaniowski zaczyna działać.

Grupa skupiona wokół łóżka umierającego Wrońskiego pozwoli Kaniowskiemu na włączenie się w walkę wyzwolenia kobiet spod przemocy patriarchatu. Kiedy grupa interweniuje, ratując dziewczynę – Katię – z rąk kapitana – sadysty Moroszkina, moment ten stanie się dla Kaniowskiego symbolicznym aktem inicjacji w walkę o słabszych.

Jak jednak przykłady te przekładają się na tezę o naczelnej roli kobiet w *Płomieniach*? Musimy spojrzeć na całość powieści. Walka rewolucjonistów wymierzona jest w cara – symbol trwania dotychczasowego porządku. Niszcząc symbol, można zachwiać podstawami samego porządku/systemu. Żeby jednak móc zacząć niszczyć ów porządek, należy ustawić siebie poza nim, spojrzeć z dystansu na reguły nim kierujące i relacje system – jednostka. W przypadku głównego bohatera *Płomieni* jest to postawienie się w opozycji do polskiej tradycji narodowo-katolickiej, zerwanie z sentymentalnym patriotyzmem i fasadową religijnością. Tak też dzieje się w powieści. Jednak tradycja upomina się o swoje niewierne dzieci, system próbuje je przywrócić sobie.

Ola i presja tradycji

W powyższej części pisałem o tym, jak ważna jest rola kobiet w formowaniu się umysłu krytycznego głównego bohatera w pierwszej kolejności, co doprowadzi go do działalności rewolucyjnej nieco później. Dzieje się tak dlatego, że to właśnie kobiety ów system upośledzał w szczególności, cała jego moc skierowana była na podporządkowanie ich sobie i wykorzystanie. Kobieta – zwłaszcza epizodyczna bohaterka – to dla rewolucjonistów wyrzut sumienia uruchamiający cały aparat działań, który ma zmienić ich sytuację. Brzozowski pokazuje również kilka kobiet, które same zaangażowały się w ruch socjalistyczny. Jedną z nich jest Ola.

Właściwa akcję *Płomieni* rozpoczyna rodzaj spowiedzi Kaniowskiego, której adresatką jest Ola. Rozmowa z duchem – nieżyjącą towarzyszką – mocno określa ideową wymowę powieści. Z wcześniejszych bowiem fragmentów wiadomo, że będziemy mieli do czynienia z opowieścią o rewolucjoniście zaangażowanym w zamach na cara. Inwokacja, rozpoczynająca powieść, nie jest prostym nawiązaniem do najbardziej klasycznych tekstów epickich (choć Ola jest rodzajem muzy), ale pokazaniem tego, jak prywatne miesza się z publicznym, zaangażowanie w publiczne rzutuje na życiu prywatnym.

Działalność Oli w ruchu rewolucyjnym nie była może pierwszoplanowa, bohaterka ta nie była typem przywódcy, czy ideologa, ale to, co może zainteresować w tej postaci, to uwikłanie w kulturę tradycyjną i wyrwanie się z niej. Biografia Oli charakteryzuje się wszelkimi trudnościami, na jakie mogła trafić kobieta przy próbie emancypacji. Inną ważną sprawą jest to, że bohaterka ta łamie narracyjny monopol Kaniowskiego w powieści – jest autorką wpisanego w powieść pamiętnika. Tym dwóm perspektywom warto się przyjrzeć. Proponuję zacząć od tej drugiej.

W książce Krystyny Kłosińskiej o wczesnych powieściach Gabrieli Zapolskiej: *Ciało, pożądanie, ubranie* autorka pokazuje, jakie były reakcje krytyki młodopolskiej na pisanie kobiet. W reakcjach na samodzielność przejawianą przez pisarki w XIX wieku dominowały dwie perspektywy oglądu z punktu widzenia męskiego. Jedną z nich było pokazanie kobiety piszącej jako kogoś niespełnionego seksualnie:

Cały proces nabiera charakteru narcystycznego: samowystarczalna kobieta trzyma w ręce pióro – fallus. Stąd już tylko krok od uznania autorek za „wojsko starych panien, szlochających rzewnie dlatego, że pragnęły wyjść za mąż,

[101] Por. S Brzozowski, *Płomienie*, Warszawa 1997. Cytaty z powieści w dalszej części tekstu oznaczone będą stroną, z której pochodzą.

a szczęście im nie posłużyło, zblazowanych mężatek, rwących się z nudów do pióra[102].

Druga perspektywa pokazuje kobietę poza relacją swojej płci. Pisząca kobieta to wyrwana z tradycyjnej tożsamości rodzinnej osoba przyjmująca rolę mężczyzny, bo podmiotu samostanowiącego[103].

Ola nie jest pisarką w ścisłym sensie, nie publikuje, jest zamknięta w bezpiecznym gatunku pamiętnika, który sytuuje ją w perspektywie tylko działań prywatnych. Jednak, jeżeli nie pisanie, to samo działanie w takiej perspektywie ustawia bohaterkę. I to jest bardziej niebezpieczna perspektywa czekająca na kobietę, która nie zniknęła zresztą do dziś. W tekście Magdaleny Środy publikowanym w książce: *Kobiety i władza* pokazuje jak łatwo wpaść w ciąg stereotypów, kiedy, będąc kobietą, zdecyduje się na działanie publiczne.

Każda kobieta, która próbuje się wyrwać się ze stereotypu, wpada bowiem w następny. Bochniarz, która jest niezależną, zdyscyplinowaną, wymagającą kobietą, mogła być oceniona jako zbyt twarda i za mało kobieca, jeśli jednak „złagodziłoby się" jej wizerunek o informację, że jest równocześnie osobą niezwykle ciepłą i wrażliwą […] , stałaby się nieuchronnie matką, a właściwie babką Polką…[104]

I właśnie takiej pułapki nie uniknie Ola, która na mocy własnej decyzji oderwie się od tradycyjnej roli społecznej.

Przyjrzyjmy się jak przebiega ten proces opisany w pamiętniku bohaterki. Pierwszy jego fragment otwiera temat, który jest częsty na kartach *Płomieni*. Chodzi o hegemonię religijności, która reguluje w społeczeństwie polskim relacje pomiędzy ludźmi. Cały zresztą pamiętnik jest usytuowaniem bohaterki w perspektywie usamodzielniania. Ola od pierwszych słów swojego dziennika przedstawia się jako osoba żyjąca wbrew tradycji katolickiej.

Ola nie stanie się symbolem rewolucji takim, jak opisany przez Marię Janion w książce: *Kobiety i duch inności*, nie wpadnie w zagrożenie stania się alegorią rewolucji, zamiast wielowymiarowego symbolu, nie będzie również fantazmatycznym symbolem stworzonym z męskich projekcji[105]. Jej droga to droga kobiety wyzwalającej się spod presji kulturowej.

Ola, biorąca do ręki pióro, przejmuje – według kategorii Kłosińskiej – władzę[106]. Co z nią robi? Pokazuje w jaki sposób wyzwala się z tradycji, jak zaburza tradycyjne role społeczne. Podejmuje więc bohaterka wyzwanie pisma. W pierwszym fragmencie pamiętnika pokazany jest jej gest wobec śmierci i religii. Broni indywidualnej decyzji Kazimierza, którego życie ustawione było poza religią, decyzji o zerwaniu z Kościołem. W zdaniu: *Trzęsę się na myśl, że jemu sprowadzono księdza* (s. 265) ważne okażą się dwie rzeczy: Ola stoi po stronie agnostyka/ateisty, który odrzuca kuratelę Kościoła, ale równocześnie widać jak mocna jest jego władza, zachowanie monolitu społecznego, jak ciężko zerwać z ustaloną przez wieki tradycją, jak wielką opresję wywiera ona na każdego, nawet tego, kto ją odrzuca. W dalszym fragmencie czytamy:

Nie pozwolono mi zostać w tę właśnie noc i kiedym wróciła, on leżał już z obrazeczkiem w ręku. Podeszłam i wyjęłam obrazek. Nie śmiano mi przeszkadzać.(s. 265)

Scalanie przez rodzinę przez dodanie niesamodzielnemu ciału symbolu religijnego zostaje przez Olę zburzone. W obręb pokoju umierającego powraca prawda jego wyboru przeciwstawiona fałszywemu, ale bezpiecznemu trwaniu członków rodziny. Fragment ten pokazuje roszczenia tradycji na temat rzeczywistości – nie o prawdę tu chodzi, ale o pozór jedności, pozór wspólnego, wyznawania tego samego. Symulakrum staje się zasadą konstruowania rzeczywistości. Ola kształtować swój byt społeczny będzie przeciwko niemu.

Warto jeszcze na moment pozostać przy pamiętniku i przyjrzeć się innemu ważnemu dla formowania się osobowości bohaterki fragmentowi. W pewnym momencie pisze:

…czym jesteśmy my, kobiety? Ja wiem, że jeszcze siebie nie znam. (s. 269)

Kolektywny podmiot pierwszego zdania wskazuje nowe zadanie dla kobiet, które muszą znaleźć dla siebie nowe miejsce w rzeczywistości. Pytanie postawione przez bohaterkę jest pytaniem o tożsamość – to oczywiste. Następujący po nim komentarz narzuca pracę nad nowym samookreśleniem. Owo *jeszcze* jest zadaniem do wykonania na najbliższą zapewne przyszłość. Szansą na jakąkolwiek inną tożsamość niż rozpatrywaną w kategoriach rodzinnych – żony, matki, babki, ciotki – jest dla Oli ruch socjalistyczny. Zanim opuści dom i aktywnie włączy się w działania rewolucjonistów, odbędzie krótką rozmowę z ojcem Michała Kaniowskiego:

- Czy ty wierzysz? – rzekł
- W co, stryju?
- W ten wasz mus.
Opuściłam głowę:
- Muszę stryju.
- Czy wierzysz?…
- Wiem, że tak trzeba. (s. 280)

Dla Oli przystąpienie do rewolucjonistów nie jest sprawą wiary, ale raczej nakazu moralnego – imperatywu czasów.

W ruchu, między towarzyszami, Ola daje się szybko poznać jako świetna polemistka i osoba mocno zaangażowana. Pomiędzy towarzyszami występuje jako osoba równa, nie marginalizowana. Bywa też tak, że staje się głosem rozsądku, jak w przypadku dyskusji o zamachu na cara. Początkowo można wręcz odczuć, że to rozmowa bez udziału kobiet, wypowiedzi należą tylko do mężczyzn. Głos kobiety jest tu podsumowaniem dyskusji, upomnieniem towarzyszy.

Jednak w losach Oli, Brzozowski wskazuje na różnice w sposobie funkcjonowania rewolucjonistów i rewolucjonistek. Mężczyzna podejmuje suwerenną decyzję i idzie walczyć. Kobieta podejmuje taką samą decyzję i kiedy idzie

[102] Cytowany przez autorkę tekst był publikowany w „Niwie" w 1887 roku przez Jaske-Chońskiego. K. Kłosińska, *Ciało, pożądanie, ubranie. O wczesnych powieściach Gabrieli Zapolskiej,* Kraków 1999, s. 13.
[103] Ibidem, s. 9
[104] M. Środa, *Kobiety i władza,* Warszawa 2009, s. 413.
[105] M. Janion, *Bogini wolności. (Dlaczego rewolucja jest kobietą?),* [w:], *Kobiety i duch inności,* Warszawa 2006, s. 5-49.
[106] Op. cit., s. 36.

walczyć, zaczyna się o nią upominać rodzina. Po Olę przyjeżdżają kolejno ojciec i matka. Choć bohaterka odmawia powrotu, powołując się na etykę pracy, charakterystyczna jest próba wciągnięcia jej na powrót w orbitę ról rodzinnych. Bohaterka jednak woli walkę zakończoną śmiercią niż powrót do świata bezpiecznego, ale opartego na niesprawiedliwych zasadach.

Katia – rewolucja jest kobietą

Płomienie bynajmniej nie są książką feministyczną. Choć kobietom poświęca się tu wiele miejsca, choć ich sytuacja społeczna i rodzinna jest wyrzutem sumienia, bolącym kolcem wbitym w rzeczywistość, który należy usunąć, kwestii kobiecej tak naprawdę tu nie ma. Czasy, o których traktuje powieść, nie znały jeszcze osobnej walki o prawa kobiet. Ani słowa tu o prawie wyborczym, zresztą, żeby o takie prawo walczyć najpierw trzeba wywalczyć powszechne wybory. Żeby wyzwolić kobietę ze stereotypu matki-opiekunki, najpierw należy znieść nierówności i niesprawiedliwość. Dlaczego nie istnieje w powieści Brzozowskiego kwestia kobieca, można pokazać na przykładzie Katii.

Historia tej bohaterki na stronach powieści rozpoczyna się od sceny, w której grupa chłopców pod przewodnictwem Wrońskiego idzie odbić ją z rąk kapitana – sadysty, jej męża Moroszkina. Scena ta określa Katię w dalszych losach. Kobieta bita, zniewolona przez mężczyznę, która uwolnienie wykorzysta do walki o wolność innych. Jej postawę określają słowa, które wypowiada do księdza:

- Nie umiem wybaczać – mówiła – Krzywdy dzieciom i kobietom wyrządzonej nie można wybaczać. Nie powinno się wybaczać takich krzywd. (s. 217)

Rozdział, którego jest bohaterką i który nosi jej imię, podnosi dwie najważniejsze kwestie, które w powieści leżą u podstaw działalności Kaniowskiego. Krzywda kobiet i sprzeciw wobec porządku społecznego ufundowanego na chrześcijaństwie. Na początku rozdziału jeden z bohaterów – Jaszka – przynosi wiadomość o powodzie strajku w fabryce czekolady. To reakcja na gwałt dokonany przez właściciela fabryki na robotnicy. W dalszej części rozdziału dostajemy się w sam środek rewolucyjnego wybuchu wywołanego przeciw księżom, którzy gwałcili dziewczynki. To właśnie słowa Katii wyżej zacytowane są reakcją na to zdarzenie.

Bohaterka z osoby poniżanej i bitej zamienia się w płomienną mówczynię i przewodniczkę sprzeciwu. Bierze w końcu udział w Komunie paryskiej i tam ginie. Postać ta mogłaby funkcjonować jako symbol Kobiety-Wolności, ale jeden szczegół każe powstrzymać się przed tą kategoryzacją. W monologu, który wypowiada do Kaniowskiego wskazuje, że jest przede wszystkim osobą noszącą w sobie krzywdę, z której wyrasta pragnienie zemsty. Zyskuje tożsamość mścicielki i w ten sposób sama siebie określa:

My jesteśmy kapłanki tej bogini Hekate, której imię ze strachem wymawiali starożytni. (s. 218)

W narracyjnym komentarzu do jej działań powtarza się zresztą to twierdzenie:

... wyrosła w wyniosłą, olbrzymią postać kobiety mścicielki. (s. 219)

W Paryżu woła:

- Zemsty, zemsty. Nie zapomnijcie ilu już zginęło. Matki, posyłajcie synów, siostry – braci, żony – mężów. My, kobiety wywalczymy przyszłość, my rodzimy dzieci, my nie chcemy niewoli na ziemi. (s. 224)

Dzięki zemście i zapałowi do walki może w końcu wykrzyknąć:

Teraz żyję – już ja nie niewolnica Moroszkina. […] *Całuję ciebie swobodnymi ustami. Ustami, które śmierć zawrze na wieki.* (s. 225)

Ginie w czasie walk w Paryżu:

I widziałem wreszcie ją na bruku, z piersią przeszytą bagnetem: leżała z zastygłymi oczami. Armata najeżdżała na jej ciało... (s. 226)

Kobiety potrzebowały własnego symbolu rewolucji, który w postaci Katii przybrał postać bogini Hekate. Bohaterka ta działa zupełnie jak jej romantyczny męski poprzednik Konrad z trzeciej części *Dziadów*. Pragnienie zemsty jest tak silne, że obydwoje się w nim zatracają. Można pokusić się o stwierdzenie, że Brzozowski w postaci Katii chciał ustanowić kobiecy odpowiednik romantycznego bohatera. Zmiana ta zyskuje dzięki temu swój symbol, tworzy nową tradycję – niereligijną i kobiecą i tym samym zmienia akcenty w sposobie uzasadnienia zemsty.

Katia mogłaby więc stać się symbolem rewolucji. Wyraźny zresztą jest hagiograficzny wymiar jej biografii. Brzozowski nie ukrywa zresztą, że celem *Płomieni* jest uświęcenie spraw lewicy w podobny sposób, jak Europa od średniowiecza uświęcała swoje przywiązanie do chrześcijaństwa. Dlatego w powieści pojawia się epitet: *święte słowo*, kiedy Kaniowski po raz pierwszy słyszy nazwę socjalista w rozmowie. Ważne wydarzenia zawiązujące tożsamość lewicową też nazywane są w tym tonie:

Paryż, święte miasto ludzkości, nigdy nie był tak wielki jak za czasów niezapomnianej Komuny. (s. 223)

Uzasadnione więc wydaje się twierdzenie, że biografia Katii jest hagiografią. Jakiego rodzaju świętą można w niej dostrzec? Na pewno jest osobą prowadzącą lud na barykady:

Miasteczko było w rękach ludu, a ludem rządziła Katia. (s. 219)

Brzozowski nie pokazuje procesu, który wyniósł bohaterkę na pozycję, którą zajęła. Autor jednak wskazuje na pewien fakt, który pozostaje w zdobywaniu tej pozycji w ścisłym związku. W szkicu o powieści *Szalona* Józefa Ignacego Kraszewskiego Maria Janion pisze o pokusie erotycznej, sile erotycznego uwodzicielstwa, która odegrała rolę w emancypowaniu się kobiet[107]. Pierwsza kwestia wypowiedziana przez bohatera w rozdziale o Katii to słowa Jaszki:

[107] M. Janion, op. cit., s. 57.

- *Nigdy nie widziałem takiej masy tak straszliwie brzydkich kobiet. Czy uważasz, że wszystkie one są wąsate, i o czym one mówią?* (s. 199)

Tymczasem pierwszy lapidarny opis Katii jest taki"

Piękna, wysoka brunetka o niedbale zawiniętych w węzeł włosach. (s. 202)

Siłę owego erotycznego uwodzicielstwa odczuje szybko Kaniowski, który zwiąże się z bohaterką. Ona sama w tym czasie przechodzi zmianę, zostaje wprowadzona *w bieg myśli nowoczesnego socjalizmu* (s. 203). Powoduje to w niej również pewną zmianę zewnętrzną:

Teraz, nie zastanawiając się chyba nad tym, zaczęła się inaczej czesać i ubierać. W bluzce z wysokim kołnierzem, w małym kapelusiku wyglądała jak młody, cudnie piękny chłopiec. (s. 204)

Erotyczna pokusa, którą wywoływała Katia zostaje poddana obróbce – transgresji erotycznej. To kobieta porzucająca swoją tożsamość tradycyjną, przypisaną do ról rodzinnych. Kobieta taka nie ma jeszcze ustalonego w społeczeństwie miejsca, stąd konieczność „umęskowienia" jej roli. Aktywność, skoro była domeną mężczyzn, nakazywała każdemu aktywnemu podmiotowi stać się – symbolicznie chociażby – mężczyzną.

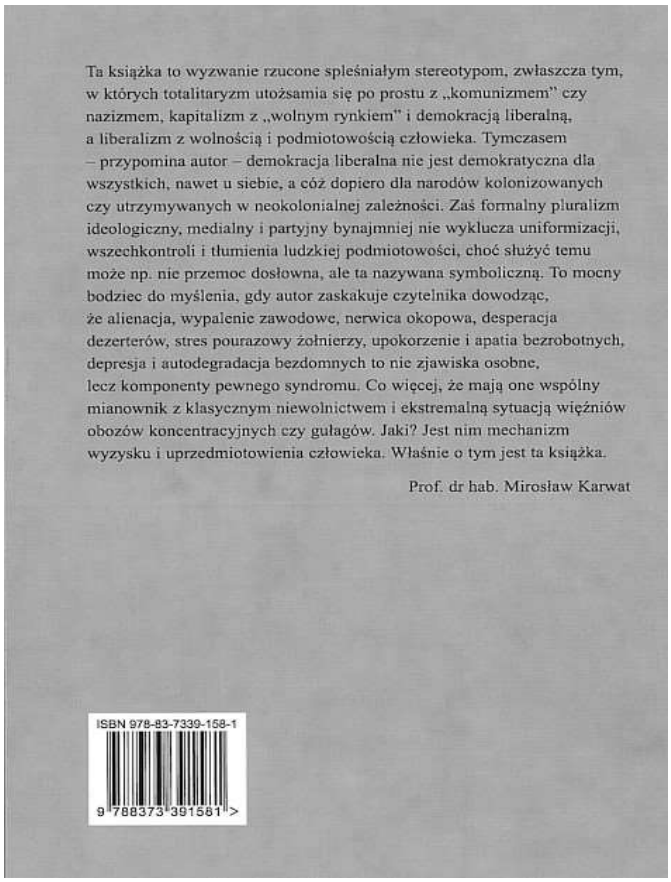
Czas działalności Katii nie jest jeszcze czasem postulowania samodzielności kobiet, to nie kwestie kobiece, ale ludowe zajmują bohaterkę. Widać to zresztą w jednej z wypowiedzi Bohaterki:

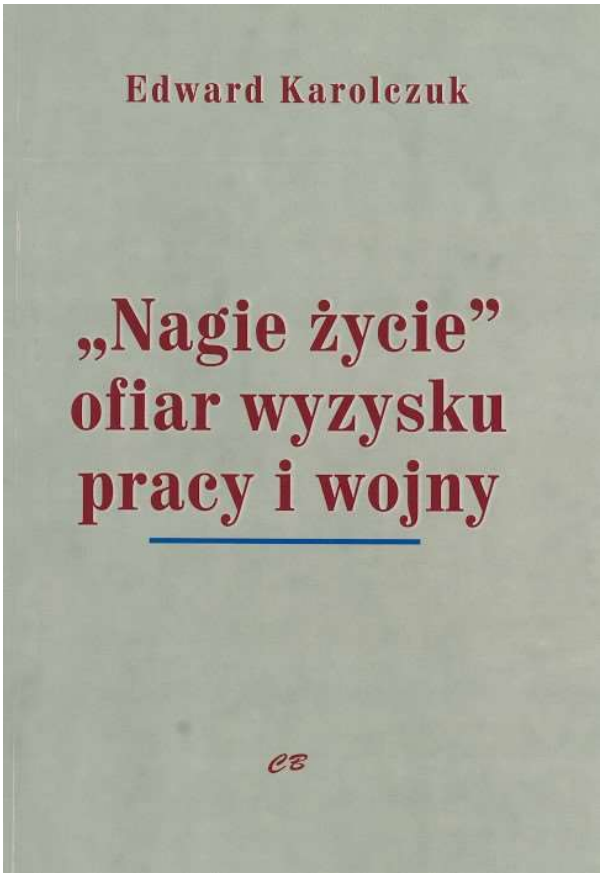
- *Kobiety Paryża, ani jednego pocałunku, ani jednego uścisku niewolnikom i tchórzom. Nie mogą być niewolnicy ojcami naszych dzieci, bo my nie chcemy rumienić się za nich. Wolnych ludzi rodzić chcemy, wolnych, nieżyjących ludzką krzywdą. Żony robotników, córki robotników, rodzić chcemy dzieci dla przyszłości, w której praca będzie swobodą.* (s. 223)

Ta deklaracja wolności nie zmienia radykalnie ról społecznych. Cały radykalizm wypowiedzi skupia się raczej na kwestii wolnościowej, kwestii powstania z kolan, przestania bycia niewolnikami. Brak tu chęci zerwania z tradycyjnie pojmowaną rolą matki. Pragnienie bycia matką właśnie jest mocno podkreślone, zmiana ma nastąpić w całościowych relacjach społecznych.

Nie byłoby rewolucji, gdyby nie kobiety – można by napisać o *Płomieniach*. One są wszędzie i one są katalizatorem działań. Nadużyciem jednak byłoby pisać o tej powieści jako o poruszającej kwestie feministyczne. *Płomienie* pozostają uwikłane w swój czas i są obrazem ówczesnej świadomości. Dotyczą czasów wcześniejszych, kiedy kwestia kobieca nie istniała osobno, kiedy idee lewicowe były bardziej monolityczne.

Marcin Buczyński *– doktor nauk humanistycznych, absolwent Uniwersytetu Śląskiego.*





WALDEMAR GAJEWSKI

PRZEKŁADY *EUGENIUSZA ONIEGINA* A. PUSZKINA W POLSCE. PRÓBA OCENY

„Złota proporcja" patentem na optymalny przekład poematu?

CZĘŚĆ II – Poszukiwanie optymalnego kształtu strofy Onieginowskiej

W sporze o optymalny kształt strofy „polskiego" *Eugeniusza Oniegina* A. Puszkina ani Tuwim, ani Ważyk nie udowodnili swoich racji na tyle, by przekonać do nich teoretyków i praktyków tłumaczenia. Wzajemne wymówki dotyczyły głównie popełnionych błędów czy uchybień w tłumaczeniach, natomiast w mniejszym stopniu – wybranej formy strofy. Tymczasem właśnie forma strofy decyduje tak naprawdę ostatecznie o pełni możliwości wypowiedzi artystycznej, lub o jej ograniczeniu, jeżeli forma jest np. zbyt wydłużona. Z kolei nadmiar miejsca w przestrzeni strofy stwarza inny problem - czym to miejsce wypełnić? Jak to zrobić? Bo przecież „skondensowany" Puszkin, to nie „rozcieńczony" Puszkin. Ale co, jeśli „rozcieńczenie" wynika z natury języka kultury przyjmującej i jest niezbędne, by zachować naturalność formy wiersza?

Niebezpieczeństwo zastąpienia rymów męskich żeńskimi: nadmierna swoboda w przestrzeni strofy może skłaniać do rozluźnienia dyscypliny tłumacza i zbytniego żonglowania słowem, wreszcie do nadmiernego wzrostu objętości utworu w przekładzie.

Jedynym rozsądnym wyjściem wydaje się zastosowanie zasady umiaru, w taki sposób, by i "wilk był syty i owca cała". Czyli: zachować w rozsądnej ilości rymy męskie, lecz jednocześnie zachować swobodę wypowiedzi dzięki przewadze rymu żeńskiego w strofie. Znalezienie jej optymalnego odpowiednika strofy Onieginowskiej w języku polskim stanowi klucz do rozwiązania problemu. Odpowiednik oryginalnej strofy musi być na tyle uniwersalny, by zafunkcjonował na przestrzeni całego utworu, w polskiej szacie językowej i nie powodował znużenia odbiorcy.

Przypomnijmy jak wygląda układ rymów oryginału w strofie Onieginowskiej: **aBaB ccDD eFFe GG**

Jeżeli przyjąć, **że poemat liczy 400 strof**, to **objętość** w razie wprowadzenia wszystkich rymów męskich w strofie, objętość poematu wzrasta **średnio o 3200 sylab**, czyli **ok. 27 strof**, których Puszkin nigdy nie napisał. Te przestrzeń wiersza trzeba wypełnić jakąś treścią, tak czy inaczej jest to „watowanie" pustej przestrzeni lub „rozcieńczanie" skondensowanej tkanki utworu. Efekty tego zabiegu technicznego mogą być tylko negatywne. Puszkin robi się w przekładzie zbyt „rozgadany", ponadto „rozmywają się" granice każdej strofy, jej puenta lub „złota myśl". Ginie ona w monotonii jednakowych rymów żeńskich.

Zabieg odwrotny, czyli pozostawienie wszystkich rymów męskich, powoduje zanik ich funkcji dramatycznej w polszczyźnie (zgodnie z zasadą fizjologii, odkrytą przez rosyjskiego noblistę Iwana Pawłowa: cyklicznie działający na organizm jednakowy bodziec, powoduje znużenie nim, zobojętnienie, i w efekcie – brak reakcji). Przypomina to sytuację, gdy malarz na białym tle obrazu namaluje np. dwa czarne punkty, Jeżeli zwielokrotni on ilość punktów, to każdy z nich z osobna jakby rozmyje się wśród pozostałych. Ten przykład jest analogią do niezbyt częstego w polskiej poezji, a przez to widocznego w wierszu rymu męskiego (na tle żeńskiego) i bardzo częsty, a przez to neutralny rym męski w poezji rosyjskiej.

I teraz, jeżeli tłumacz nie dostrzega tego problemu, mechanicznie przenosi nadmiar rymów męskich do polszczyzny, nadmiar tegoż powoduje jakby zobojętnienie słuchacza, utratę funkcji semantycznej użytych wyrazów monosylabicznych, na plan pierwszy wysuwa się ich funkcja techniczna, przejawiająca się w nadmiernym „stukocie" lawiny monosylab. Konsekwencją tego stukotu jest „dewaluacja" wartości semantycznej rymów męskich – zaczynają one istnieć jakby same dla siebie.

Taka „poetyka" na dłuższa metę kłóci się z naturą dobrej poezji i oddaniem treści oryginału, który tej cechy na pewno nie posiada. Reasumując: następuje dewaluacja rymów w utworze.

Zapewne dlatego Tuwim, jako wytrawny tłumacz zrezygnował z obranej metody tłumaczenia *Oniegina.* Jak widzimy, matematyka w poezji odgrywa kluczową rolę.

Cóż pozostaje uczynić tłumaczowi, gdy i tak źle, i tak niedobrze? Z racji różnic między dwoma systemami języków polskiego i rosyjskiego, można negatywne zjawiska w strukturze strofy spróbować zniwelować, by ocalić pełnię treści i piękno języka Puszkina, wypowiedzi artystycznej nadać taka formę, by uniknąć dwóch wersologicznych skrajności.

Co istotne: rymy męskie, jeśli już ich część pozostawiamy, nie powinny być banalne jak w większości piosenek, czyli nadmiernie zużyte, lecz jednak pełne jak w klasycznej poezji Puszkina i Mickiewicza, na pewno nie mogą to być asonanse, używane we współczesnej poezji polskiej. Tymczasem tłumacze *Oniegina* w II połowie XX wieku, którzy poszli w ślady Tuwima systematycznie naruszali tę zasadę. Sam Tuwim, jako mistrz słowa – prawie wcale. Sporo niezadowalających, niepełnych rymów można zauważyć w przekładach T. Bobińskiego, A. Sycza czy A. Lewandowskiego. Natomiast Leon Belmont stosował rymy dokładne, tyle, że zbyt często się one powtarzają, spłycając przez to treść *Oniegina,* wywołując niekiedy niezamierzony efekt komiczny, obcy oryginałowi.

Podobnie można zarzucić Tuwimowi, zbytnie „wzmacnianie" treści Oniegina tam, gdzie wymagana była subtelność, a zamiast tonu żartobliwego – autorska ironia czy delikatny podtekst czy aluzja.

Natura Puszkinowskiej poezji wymaga pogłębionych studiów, takie badania przeprowadził znakomity polski puszkinolog prof. Wacław Lednicki. Tłumacz powinien pamiętać jakim utworem jest *Oniegin*: „P. Szkłowskij usiłuje dowieść, że *Oniegin* napisany jest w stylu sternowskiej paro-

dii; jest to teza absolutnie fałszywa:" parodii w tak szerokim zakresie, jak chce tego p. Szkłowskij, nie zawiera ani dzieło Sterne'a, ani *Oniegin* – utwór patetyczny, w którym brzmi ton głębokiej liryki, wydostającej, jak głębokie westchnienia, szczere, z serca idące wyznania. Są i różnice: Oniegin to jakby obraz olejny; lekki, subtelny pastelowy rysunek Sterne'a byłby na nim niewidoczny. Sarkazm, który spotykamy w romansie Puszkinowym, mało ma wspólnego z czarownym, przejrzystym, opalizującym humorem angielskiego sentymentalisty i jego delikatną ironią; uderzenia Puszkinowego pędzla raczej z Byrona szerokim gestem mogą być porównane…"[108]

Zanim tłumacz zabierze się do tłumaczenia tej miary dzieła co Eugeniusz Oniegin, powinien zrozumieć w jakiej epoce tłumaczy, co tłumaczy, dla kogo tłumaczy co więcej, nie powinien powtarzać schematów swoich poprzedników, być ich „epigonem" lecz wytyczać nowe ścieżki, by przekład był oryginalny i miał szansę zaistnienia jako autonomiczne dzieło literatury rodzimej. Wielkie znaczenie w tym kontekście ma odpowiedzialność tłumacza za słowo. Niestety obecnie coraz większą wagę przywiązuje się do praw tłumacza, a mniej do obowiązków wobec autora, warto więc o tym pamiętać.[109]

„Złoty patent" przyrody i nowy przekład „Oniegina"

Podejmując się tłumaczenia *Oniegina,* szukałem odpowiedzi na pytanie o nowy kształt strofy Onieginowskiej, analizując zarówno uwagi Tuwima jak i Ważyka, uwagi cenne, pozwalające uniknąć pewnych błędów, jednocześnie przestudiowałem wszystkie znane przekłady *Oniegina*, starając się ustalić ich zalety i wady i to, co je łączy. Tłumacz zawsze staje przed wyborem tego, co uznaje za lepsze nad rozwiązaniem gorszym.

Kiedy ustaliłem w roku 2008 optymalną moim zdaniem strukturę strofy Onieginowskiej, rozpocząłem tłumaczenie pierwszej księgi. Opinie słuchaczy były pozytywne, tłumaczyłem więc dalej. W trakcie pracy natrafiłem na przekład sceny pojedynku Oniegina z Leńskim pióra poety Wiktora Gomulickiego z końca XIX wieku. Okazało się, że obrany przez niego schemat strofy był identyczny z moją „optymalną" strukturą strofy Onieginowskiej.[110]

Oto „wynaleziony" przez mnie (a wcześniej przez W. Gomulickiego) układ metryczny, pozwalający uniknąć skrajnych omówionych wyżej rozwiązań innych tłumaczy (wytłuszczone wielkie litery oznaczają rymy męskie strofy):

abab cc**DD** effe **GG**

Przekład Gomulickiego sceny pojedynku Oniegina z Leńskim w księdze VI zyskał uznanie znawców Puszkina w Polsce, których zdaniem „ tłumacz … po raz pierwszy osiągnał niemal całkowita wierność z oryginałem pod względem wersyfikacyjnym (ośmiozgłoskowiec hiperkatalektyczny ze spadkami żeńskimi i męskimi, i identycznym układem współbrzmień klauzulowych i równomiernym rozłożeniem dwóch par rymów męskich w końcu obu połówek czternastowersowej strofy. […] U Gomulickiego mamy do czynienia z dobrą robotą translatorską, bogatym i płynnym tokiem językowym, wiernością w sferze obrazów, realiów i wartości artystycznych oryginału".[111]

I ważne odkrycie, dotyczące klucza do wyjątkowej harmonii poematu *Eugeniusz Oniegin:* w strofie Onieginowskiej są linijki i rymy bardziej i/lub mniej znaczące dla jej konstrukcji i treści:

Te najbardziej istotne, to oczywiście **„uprzywilejowane" wersy 13 i 14 oraz 7 i 8,** zakończone rymem oksytonicznym ze spadkami męskimi w klauzuli. Tu ciekawostka: kodem harmonii w przyrodzie, sztuce i w poezji jest tzw**. ciąg liczbowy Fibonacciego, w którym każde wyrażenie składa się z sumy dwóch poprzedzających. Oto on: 1,1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34, 55… Granicą nieskończonego ciągu ułamków 1/1, 2/1, 3/2, 5/3, 8/5, 13/8, 21/13, 34/21, 55/34, 89/55… jest tzw. Złota Liczba 1,6180339…, jako miara harmonii.** Szereg odwrotności powyższych ułamków tworzy w granicy nieskończonego ciągu liczbę 0,6180339…, będącą inwariantem liczbowym złotej proporcji[112].

Efektem zastosowania reguł złotej proporcji jest odczuwanie przez człowieka piękna dzieł malarskich, rzeźby, filmu, piękna utworu poetyckiego, piękna ludzkiego ciała, a nawet piękna wypowiedzi. Szerzej na temat złotej proporcji w przyrodzie, nauce i sztuce piszemy w innej publikacji.[113] O zjawisku harmonii i kodach złotej proporcji w utworach, a nawet w biografii A. Puszkina , pisał Nikołaj Wasiutinskij, ale to ważne zjawisko nadal jest w Polsce mało znane.[114] Rozpoznanie kodów złotej proporcji pozwala tłumaczowi uniknąć wielu błędów w odtwarzaniu obcego dzieła w innej szacie językowej, ponieważ operuje on np. nie pojęciem

[108] Wacław Lednicki, Aleksander Puszkin. Studia. Kraków 1926. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej, s. 363.

[109] Zob. Waldemar Gajewski, Odpowiedzialność tłumacza a skutki subiektywnego postrzegania dominanty translatorskiej. Na przykładzie starych i nowych polskich tłumaczeń Eugeniusza Oniegina A. Puszkina [w:] Między oryginałem a przekładem, Nr XVIII. Dominanta a przekład. Kraków 2012, s.193-214.

[110] Zob. Aleksander Puszkin, Eugeniusz Oniegin, *op. cit.*, str. 268; Wiktor Gomulicki, Wiersze. Zbiór nowy, Warszawa 1901, s. 102-103.

[111] Zob. *Dodatek* Ryszarda Łużnego [w:] Aleksander Puszkin, Eugeniusz Oniegin. Romans wierszem, Ossolineum, 1993, seria Biblioteki Narodowe Nr 35, seria II, s.263.

[112] Złoty podział odcinka to taki nierówny podział, w którym mniejsza część tak się ma do większej, jak większa część do całości odcinka, lub odwrotnie: cały odcinek pozostaje w takim stosunku do części większej, jak większa część do mniejszej. Zgodnie z tą zasadą możemy dzielić bloki informacyjne, budować strukturę dzieła literackiego lub przekładu, wyznaczać pozycje kulminacji i rozwiązania akcji. A zatem złota proporcja (lub złoty podział) dotyczy nie tylko dzieł malarskich, rzeźby, czy architektury starożytnej, dzieł sztuki filmowej (zob. przyp. 30 poniżej), lecz także dzieł literatury pięknej, w tym poezji, o czym brak informacji w polskiej literaturze przedmiotu. Dodajmy, że złoty podział wynika nie tylko z zasady piękna, lecz także z zasady maksymalnego działania przy minimum materiału (budulca), czyli ergonomii i maksymalnej wytrzymałości konstrukcji – por. proporcje budowy roślin i ludzi, Wielkiej Piramidy w Gizie, w Egipcie itp. W tym wypadku chodzi o najlepsze oddziaływanie utworu na percepcję (psychofizjologię) odbiorcy, podlegającej tej samej zasadzie natury.

[113] Waldemar Gajewski *Złota proporcja – ogniwo łączące przyrodę, naukę i sztukę. Próba syntezy* [w:] II Międzynarodowa Konferencja „W dialogu języków i kultur. Lingwistyczna Szkoła Wyższa w Warszawie, 25-26 listopada 2009. Red. naukowa tomu Prof. dr hab. Zofia Jancewicz, s. 31-54.

[114] Nikołaj Wasiutinskij, Zołotaja proporcyja, Moskwa, Mołodaja gwardija, 1990. Serija «Ewrika», s. 196-200.

samych znaczeń słów, ale stosunkami relacji między danymi słowami w języku oryginału i języku przekładu, rozstawieniem akcentów w dziele literackim w takich a nie innych momentach, itd. Obecnie krytycy przekładu bronią praw tłumacza, a nie autora oryginału, tak jakby przedmiot badań teorii przekładu – intencje autora, zaczęły tracić na znaczeniu. W rzeczywistości, nastąpiła jakby zmiana faz przedmiotu badań w nauce, zaczęto wreszcie dostrzegać problemy praw tłumacza jako twórcy, niestety nadal zbyt mało docenia się ich pracę w wymiarze międzynarodowym, kulturowym, literackim.

W niniejszej publikacji skupiliśmy się na formie wierszowej strofy Onieginowskiej, a zwłaszcza problemie rymu męskiego: czy i w jakiej mierze warto go przenosić na grunt języka polskiego. Odpowiadamy na to pytanie: Tak, w niektórych wypadkach warto pozostawić rym męski, zwłaszcza tam, gdzie wypełnia on ważną dyskretną funkcję, o której istnieniu czytelnik nie musi wiedzieć. **Miejsca te dokładnie wskazaliśmy jako 7/8 i 13/14 wers każdej strofy *romansu wierszem*. Są one energetycznie uzasadnione, są podstawą utrzymania harmonii, a przez to zapobiegają znużeniu odbiorcy.**[115] Warto zwrócić uwagę, że w miejscach tych spotykamy najczęściej u Puszkina znaki przestankowe, kończące myśl: kropkę, średnik, dwukropek, pytajnik lub wykrzyknik (przecinek występuje rzadko). Często również w połowie siódmego lub ósmego wersu kończy się zaczęta wcześniej fraza. Jest to jasny sygnał, że ta pozycja wiersza jest szczególna: po kulminacji napięcia, następuje pauza, niezbędna chwila wytchnienia, po której następuje dalszy ciąg strofy, kończący się energiczną puentą (rozładowaniem napięcia w postaci "złotej myśli"). Znaki przestankowe w środku strofy pełnią w tym wypadku szczególną rolę przełącznika obrazu, opisu lub akcji w punktach, które dzielą strofę zgodnie z kanonem harmonii – złotą proporcją. Spostrzeżenie to jest dla mnie potwierdzeniem, że wybór nowego kształtu strofy Onieginowskiej, był słuszny[116].

Główne uwagi wobec tłumaczy omawiam w innej publikacji, dokonując uproszczonej klasyfikacji ich uchybień, nie będziemy zatem tych uwag i spostrzeżeń wyliczali [117]. Z uwagi na ogrom materiału pragniemy jednak, ograniczając się do małych fragmentów oryginału wykazać, jak wielki bywa „rozrzut interpretacyjny" w tłumaczeniu pozornie jednoznacznych treści Puszkinowskiego arcydzieła. Czytając wszystkie dostępne przekłady „Oniegina", dostrzegamy powtarzanie się podobnych rozwiązań, co wskazuje, że tłumacze sugerują się niekiedy rozwiązaniami swoich poprzedników (i powtarzają te same błędy), zamiast znaleźć własne, oryginalne. I wtedy nawet banalnie proste, zdawałoby się, partie tekstu, są po prostu źle tłumaczone.

Przeanalizujmy czterowiersz I strofy poematu w przekładzie różnych tłumaczy pod względem ich zgodności z treścią oryginału:

Tuwim (1):
„Mój zacny wujek, biedaczysko,
Gdy niemoc go zwaliła z nóg,
Szacunku żądał, oto wszystko,
I cóż lepszego zrobić mógł?.."[118]

Ważyk (2):
„Mój zacny stryj dał znać o sobie
Kiedy ma dobre już zaniemógł:
Jedź tu doglądać go w chorobie…
Na lepszy pomysł wpaść by nie mógł!.."[119]

A. Sycz (3):
„Gdy zacny stryjek mój w chorobie
Do łóżka już się musiał kłaść,
Tylko szacunku życzył sobie,
Na lepszy pomysł nie mógł wpaść"[120]

T. Bobiński (4)
„Mój stryj, uosobienie cnoty,
Gdy zachorował nie na żart,
Kazał się niańczyć. Lepszej psoty
Wymyślić nie mógł, a jam wpadł"[121]

F. Netz (5):
„Mój stryjek, najuczciwszy z ludzi,
Gdy nie na żarty już zaniemógł,
Szczery szacunek we mnie wzbudził:
Bardziej na rękę pójść mi nie mógł…" [122]

Pierwszy wers oryginału: «**Мой дядя самых честных правил...**» , zawiera, jak wiemy, aluzję do bajki I. Kryłowa o ośle, który był «самых честных правил» i ton ironiczno-sarkastyczny i zarazem żartobliwy, określenie „zacny stryj" (Ważyk), „zacny stryjek" (Sycz), czy „zacny wujek, biedaczysko" (Tuwim), nie oddają dostatecznie subtelnej ironii oryginału. Natomiast „stryjek, najuczciwszy z ludzi (Netz) – brzmi jak najbardziej poważnie, nie zawiera wcale ironii czy sarkazmu.. Wers drugi oryginału: **„Когда не в шутку занемог…»** oznacza, że stryj był obłożnie, ciężko chory.

W zasadzie wszyscy tłumacze oddali lepiej czy gorzej sens czterowiersza, ale jednak :„zachorował „nie na żart" (Bobiński) jest pretensjonalne – to typowe tłumaczenie dla rymu (którego i tak nie ma, jest słowo „wpadł"), poza tym po polsku mówimy np. „rozchorować się nie na żarty", ten zwrot nie nie oddaje wcale powagi stanu wuja czy stryja. Gdy A. Sycz tłumaczy, że „zacny stryjek w chorobie musiał się do łóżka kłaść" – nie wskazuje to na dość dramatyczny stan stryja. Z kolei Ważyk, jako jedyny dodał od siebie, że "stryj dał znać o sobie", czego w oryginale nie ma, tłumacz zapewne chciał przybliżyć czytelnikowi kontekst romansu, stąd taki wtręt.

Sensu wersu trzeciego: «**Он уважать себя заставил...**» **tłumacze tak naprawdę nie zrozumieli, subtelna aluzja Puszkina była bowiem dość głęboko ukryta**. Trzeba przyznać, że faktycznie młodemu „świszczypale" Onieginowi nie chodzi o „doglądanie stryja w chorobie"

[115] Brak znużenia odbiorców potwierdzono podczas wielokrotnych publicznych prezentacji obszernych fragmentów przekładu poematu, przeciwnie, obserwowano efekt utrzymywania się ciekawości: „co dalej?"

[116] Zob. zastosowanie złotego podziału w arcydziełach sztuki filmowej, takich jak „Pancernik Potiomkin" Siergieja Eisensteina, [w:] Sergiusz Eisenstein , *Nieobojętna przyroda,* Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1975.

[117] Waldemar Gajewski, *Odpowiedzialnośc tłumacza a skutki subiektywnego postrzegania dominanty translatorskiej.* Na przykładzie starych i nowych polskich tłumaczeń *Eugeniusza Oniegina* A. Puszkina [w:]
Między oryginałem a przekładem, Nr XVIII, Dominanta a przekład. Pod red. Anny Bednarczyk, Jerzego Brzozowskiego, Kraków, 2012

[118] *Lutnia Puszkina*, wybrał i przełożył J. Tuwim. Wyd. IV, uzupełnione, Czytelnik, 1952, s. 154

[119] A. Puszkin, *Eugeniusz Oniegin. Romans wierszem*, wyd. trzecie poprawione i uzupełnione. Przełożył A. Ważyk, wstępem i przypisami opatrzył Ryszard Łużny, wyd. Ossolineum, Wrocław, 1993, s.5.

[120] A. Puszkin, *Eugeniusz Oniegin. Romans wierszem*. Przełożył A. Sycz, wyd. Miniatura, Kraków 1995, s.5.

[121] A. Puszkin, *Eugeniusz Oniegin. Romans wierszem*. Przełożył T. Bobiński, Oficyna Poetów i malarzy, Londyn 1981, s.5.

[122] A. Puszkin, Eugeniusz Oniegin. Romans wierszem. Przełożył F. Netz, Śląski Fundusz Literacki, Katowice 1993.

(Ważyk), „niańczenie" stryja (Bobiński) albo o to, że stryj „żądał szacunku" (Tuwim) lub „tylko szacunku życzył sobie" (Sycz) ani tym bardziej, że jakoby „szczery szacunek" w nim stryj wzbudził (Netz). Trzeci wers, jego sens wyraźnie wskazuje, że stryj niejako mimo woli „wymusił" na bratanku okazanie mu szacunku, nie mogło to być więc ani jego żądanie, ani życzenie, nie chodziło też o banalne „wzbudzenie szacunku" ciężkim stanem zdrowia (Netz). Interpretacje 4 wersu są tak różne u każdego z tłumaczy, że radykalnie zmieniają sens czterowiersza i całości strofy, tymczasem jest to klucz do zrozumienia całości poematu. Uwag do kluczowego czterowiersza może być więcej.

Co właściwie miał na myśli Puszkin, cytując myśl Oniegina? Mało kto spośród Rosjan nad tym się w ogóle zastanawia, ale tłumacz musi wiedzieć „co poeta miał na myśli", bo inaczej przekład będzie obarczony błędem. Odpowiedzi na pytanie udzielił mi przed laty rosyjski językoznawca i poliglota, profesor Nikołaj Komlew[123]: **«Он уважать себя заставил» oznacza inaczej «ушёл в мир иной, умер».** Cóż, zmarłym z reguły okazujemy szacunek. Mam tylko jedną wątpliwość: Oniegin jadąc do stryja jeszcze nie wiedział, że zastanie go już umarłego, cytowane zdanie ma zatem sens przenośny, ironiczny, oznacza bowiem, że ciężko chory stryj, zdaniem Oniegina, domaga się szacunku tak, jakby był już nieboszczykiem (zob. kontynuacja podróży stryja strofa II i LI, LII księgi I).

Mając szacunek dla Puszkina i zaufanie do wiedzy profesora, początkowy czterowiersz przetłumaczyłem nieco inaczej niż moi poprzednicy:

Wariant I:	Wariant II:
„Mój stryj, poczciwa stara głowa,	„Mój stryj, wzór cnót i poczciwina,
Kiedy w niemocy legł na łoże,	Kiedy w niemocy legł na łoże,
Wzywa mnie, bym go uszanował:	Honorów już się dopomina:
Kto zacniej świat opuścić może?"	Kto zacniej świat opuścić może?"

Czy to jest zadowalająca aluzja do odejścia w zaświaty? Jest jeszcze kilka wariantów tego czterowiersza. Trudno powiedzieć, który lepszy. W wariancie nr 1 zbliżenie do sensu oryginału mamy, ponieważ zachowana jest dwuznaczność 1) Oniegin musi sprawować opiekę i poważać chorego stryja 2) stryj (zdaniem Oniegina) wymusza taki szacunek do siebie jak wobec nieboszczyka, a więc: jeszcze nie umarł, a już niesłusznie dopomina się szacunku. Nabiera to szczególnego znaczenia w kontekście wyraźnej aluzji do bajki I. Kryłowa[124].

Weźmy z oryginału inny początkowy czterowiersz strofy V (księga I):

Мы все учились понемногу
Чему-нибудь и как-нибудь,
Так воспитаньем, слава Богу,
У нас не мудруно блеснуть.

I znów kilka tłumaczeń dla porównania:

Tuwim (1)	**Bobiński (2)**
Nas wszystkich, jakoś i na ogół,	Uczono wszystkich nas – z nałogu,
Uczono gdzieś tam czegoś tam,	Po trochu i jakkolwiek bądź,
Więc edukacją, chwała Bogu,	Nie jest nam trudno, chwała Bogu,
Nie sztuka w świecie błysnąć nam.[125]	Klejnoty wiedzy w dyskurs wprząść.[126]

W tłumaczeniu Tuwima wyrażenie „jakoś i na ogół" jest niejasne, dlatego niezbyt udane, prawdopodobnie podyktowane rymem ogół/ Bogu. Ponadto w oryginale jest słowo «воспитанье», chodzi tu więc nie tyle o czystą «edukację" (Tuwim) czy „klejnoty wiedzy" (Bobiński), lecz raczej o wyuczone reguły dobrego wychowania, ogłady towarzyskiej.

W tłumaczeniu Bobińskiego „uczono… z nałogu" jest niewypałem, kojarzy się bowiem z wyrażeniem „leczono z nałogu" (kogoś), tłumacz zapewne szukał rymu do „Bogu" i tak to wyszło. Ostatni wers czterowiersza ze słowem „wprząść" jest nieudany z uwagi na brak pełnego rymu i trudną wymowę, poza tym brzmi mało przekonywająco:

Sycz (3)	**Lewandowski (4)**
Nas wszystkich kiedyś, jak przystało,	Wszystkich nas uczą wśród udręki,
Czegoś tam jakoś uczył ktoś,	W jakiś tam sposób, czegoś tam,
Więc edukacji, niebu chwała,	Więc wykształceniem, Bogu dzięki,
Mamy na pokaz zawsze dość.[127]	Żadną jest sztuką błysnąć nam.[128]

W pierwszym wersie Sycz i Lewandowski dodali od siebie podkreślone wyżej frazy, które wyraźnie są tu „watą", sens całości pozostaje zachowany. Czwarty wers u Sycza jest odejściem od oryginału, niekoniecznym, lecz dopuszczalnym, lepsze rozwiązanie proponuje Lewandowski. Jeśli chodzi o „edukację" (Sycz) i „wykształcenie" (Lewandowski), to nie są to optymalne odpowiedniki oryginału, aczkolwiek w kontekście tłumaczeń czterowiersza „siedzą" zupełnie poprawnie.

Ważyk (5)	**Belmont (6)**
Każdy z nas uczył się po trosze	My wszyscy uczym się po trosze,
Czegoś tam, jakoś, nad czymś dukał,	I to i owo pomnim z klas,
Więc wykształceniem, bardzo proszę,	Więc wykształceniem – bardzo proszę
Dla nas popisać się nie sztuka.[129]	Potrafi błysnąć każdy z nas.[130]

Treść czterowiersza wskazuje, iż Ważyk wspomagał się częściowo tłumaczeniem Belmonta (pierwszy wers – „po trosze"), który użył archaicznych form czasownikowych. gdyż nie mógł zmieścić pełnych form słów w wersie. Trzeci wers jest identyczny u obydwu tłumaczy. Ocenę całego fragmentu pozostawiam czytelnikowi. Źle, jeżeli tłumacz kopiuje (czytaj: „podkrada") pewne rozwiązania, jeżeli zasadności ich użycia nie przemyślał. W ten sposób kontynuuje złą tradycję w przekładach. Tak jest z kontrowersyjnym w 3 wersie słowem „wykształcenie", gdy tymczasem **bar-**

[123] N.G. Komlew – profesor Katedry Językoznawstwa Wydziału Filologicznego Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego im. M.W. Łomonosowa, prowadzący „poradnik językowy" w moskiewskim radiu, promotor mojej pracy doktorskiej.

[124] Ażeby rozwiązać „łamigłówkę" początkowego czterowiersza, należy poznać treść i morał bajki Iwana Kryłowa „Осёл и мужик» [Chłop i osioł] , w której «Осёл был самых честных правил». Bez tego klucza, bez morału bajki, zrozumienie sensu i prawidłowa interpretacja początku poematu nie jest możliwa, niestety, jak widać, większość tłumaczy podeszła do tego problemu raczej powierzchownie.

[125] *Lutnia Puszkina*, przeł.. J. Tuwim, op. cit. , s. 156.

[126] A. Puszkin, Eugeniusz Oniegin, przeł. T. Bobiński, *op. cit*., s.7.

[127] A. Puszkin, Eugeniusz Oniegin, przeł. A. Sycz, *op. cit*., s.7.

[128] A. Puszkin, Eugeniusz Oniegin. Romans wierszem, przeł. A. Lewandowski, Aksjomat, Toruń, 2005 (?) s. 9.

[129] A. Puszkin, *Eugeniusz Oniegin…*, przeł. A. Ważyk…, *op. cit.,* s.7.

[130] A. Puszkin, *Eugeniusz Oniegin.,* przeł. Leo Belmont, *op. cit*., s.9.

dziej adekwatne byłoby raczej słowo „kultura", „wiedza" i cytowana wyżej **„ogłada" .** W wersie czwartym Belmont jest bliżej myśli oryginału. I raczej słusznie – jeżeli można pozostać bliżej oryginału, to należy to uczynić.

Nie oznacza to, rzecz jasna, że Ważykowe rozwiązanie jest złe.

Netz (7)	**Gajewski (8)**
Każdy się uczył mniej lub więcej,	Każdy z nas uczył się od kogoś,
I byle jak i byle czego,	Jakieś nauki gdzieś pobierał,
Więc wykształceniem, Bogu dzięki,	Ogładą zatem, dzięki Bogu,
Zabłysnąć u nas nic wielkiego![131]	Nietrudno błysnąć w naszych sferach.[132]

Tłumaczenie dwóch wersów, a zwłaszcza wersu drugiego przez p. Netza jest oczywistą i nieuzasadnioną deformacją oryginału. «Воспитанье» (wychowanie) Netz tłumaczy tak samo jak poprzednicy – tj. „wykształcenie". Powtórzmy: Tu chodzi raczej o ogólną ogładę towarzyską, umiejętność zachowania się. Podobnych zastrzeżeń do całości jego tłumaczenia jest więcej. Szkoda, bo Feliks Netz to doświadczony pisarz i zasłużony tłumacz, a przekładowi „Oniegina" poświęcił 17 lat pracy[133]. Ocenę mojego tłumaczenia pozostawiam czytelnikowi.

Ciekawe z punktu widzenia interpretacji tłumacza jest postrzeganie pewnych zjawisk fizycznych i ich odtwarzanie w przekładzie. Okazuje się, że nawet proste zdanie w języku rosyjskim bywa niepotrzebnie deformowane, cierpi na tym poetycki obraz i styl, zasadnicza składowa dobrej poezji. **W strofie LIX księgi I,** zaczynającej się od słów:

„Прошла любовь, явилась муза..." **Puszkin pisząc o ugasłych uczuciach, pisze:**

LIX	**Ważyk (1)**
«Погасший пепел уж не вспыхнет,	Popiół się w sercu nie poruszy
Я всё грущу; но слёз уж нет,	Jeszcze mi tęskno, ale cóż?
И скоро, скоро бури след	Wkrótce już, wkrótce w mojej duszy
В душе моей совсем утихнет:	Zacichnie pomruk dawnych burz:
Тогда-то я начну писать	Wtedy napiszę wam, współcześni
Поэму песен в двадцать пять.»	Rzecz na dwadzieścia i pięć pieśni.[134]
Tuwim (2)	**Lewandowski(3)**
Już popiół żarem nie wybuchnie,	W popiele ogień się nie pali.
Wciąż smutni mi..Lecz nie mam łez..	Smutno, lecz kres już przyszedł łzom.
Ale i smutkom przyjdzie kres	Wkrótce ostatni burzy grom
I echo burzy w sercu zgłuchnie.	Gdzieś, w głębi duszy się przewali.
A wtedy zacznę pisać twór,	Poemat złożyć przyjdzie chęć,
Co zaćmi sławę innych piór.[135]	W nim pieśni zaś dwadzieścia pięć.[136]

W ostrej polemice z Ważykiem, Tuwim wypomniał swemu rywalowi, że w oryginale nie chodzi o to, że popiół się w sercu nie poruszy, lecz o to, że „ma buchnąć płomieniem". I co? Sam nie jest konsekwentny, u niego „popiół nie wybuchnie żarem". „Żar" jednak to nie to samo co „płomień" U mistrza słowa Tuwima rym „zgłuchnie" nie brzmi najlepiej, najpewniej tłumacz poszedł za rymem. U Ważyka nie wiadomo dlaczego brakuje „łez" w wersie 2. Lewandowski również popełnia gafę: w wyrażeniu „w popiele ogień się nie pali" zupełnie brak dynamiki „buchnięcia płomienia" co jest bezzasadną zmianą sensu. Podobny brak precyzji, deformacje czy „przycinanie" treści lekką ręką są u Lewandowskiego dość częste.

Wszyscy trzej tłumacze dobrze przetłumaczyli końcowy dystych strofy, tyle że Tuwim uznał, że warto podkreślić nie ilość ksiąg przyszłego dzieła, lecz jego jakość (aćmi sławę innych piór). Słowo„twór" jest niezbyt fortunne, czego jednak nie robi się dla rymu!.

Jak pokonał wymienione trudności Andrzej Sycz? Okazuje się, że zrobił to nienajgorzej. Z prawej strony – dla porównania – mój wariant przekładu:

Sycz (4)	**Gajewski (5)**
Popiół nie buchnie już płomieniem,	Nie buchnie zgasły żar płomieniem,
Wciąż smutno mi, lecz ślady burz	Wciąż smutny, ale łez nie ronię…
W mej biednej duszy cichną już	Ślad w zawierusze zginie wspomnień,
I pisać zacznę znów z natchnieniem	Ucichnie w duszy jego brzemię,
Poemat – ksiąg dwadzieścia pięć.	A wtedy pisać przyjdzie chęć
Do nowej pracy mam już chęć.[137]	Poemat – ksiąg dwadzieścia pięć.[138]

A. Sycz dobrze przetłumaczył kluczowy wers. Wydźwięk reszty strofy jest jednak zupełnie inny, bardziej przytłumiony niż w przekładzie po prawej stronie, gdzie układ rymów pozwala rozwinąć obraz. Sycz zrobił dość dobry przekład amatorski „Oniegina", brakuje w nim jednak swobody poetyckiego rozmachu. „Sprawcą" tego jest zapewne wybór metody ekwimetrii Tuwima-Belmonta. Gdyby Sycz, tłumacz bardzo uzdolniony, odszedł od formalizmu metrycznego, kto wie, czy nie uzyskałby jednej z najlepszych obecnie translacji „Oniegina". To samo dotyczy technicznie sprawnego tłumacza o sporym dorobku literackim A. Lewandowskiego.

Wydaje się, że zasada umiaru, a nie skrajności wyboru, jest wciąż aktualna i ważna, tak samo jak interdyscyplinarne podejście do metody przekładu. Nie ulega wątpliwości, że takie podejście ma przed sobą wielką przyszłość.

Na tym kończymy część drugą, analityczną artykułu. Wnioski z analizy zostały w zasadzie sformułowane w części teoretycznej, w której omówiliśmy kwestie wpływu metrum (formy) na treść tłumaczenia „:Oniegina". Własne obserwacje, spostrzeżenia, czytelnicy mogą przesyłać pod adresem poczty elektronicznej autora: oblok_magellana@op.pl

***Waldemar Gajewski**- doktor nauk humanistycznych w zakresie językoznawstwa, tłumacz literatury rosyjskiej, Wszechnica Polska Szkoła Wyższa w Warszawie.*

Własne obserwacje, spostrzeżenia, czytelnicy mogą przesyłać pod adresem poczty elektronicznej autora: oblok_magellana@op.pl

[131] A.Puszkin, *Eugeniusz Oniegin*… przeł. F. Netz, *op. cit*., s. 8.
[132] Przekład niepublikowany (przyp. WG).
[133] Zob. Waldemar Gajewski, Odpowiedzialność tłumacza…, *op. cit.,* s. 202-203.
[134] A. Puszkin, *Eugeniusz Oniegin*…, przeł. A. Wazyk, *op. cit*., s. 38.
[135] *Lutnia Puszkina*, przeł. J. Tuwim, *op. cit*., s. 180.
[136] A. Puszkin, *Eugeniusz Oniegin*…, przeł. A. Lewandowski, *op. cit*., s. 44.
[137] A. Puszkin. Eugeniusz Oniegin…, przeł. A. Sycz, *op. cit.,* s.38.
[138] Fragment niepublikowany (przyp. WG).

Marcin Strzępek

NAD PODSTAWĄ PROGRAMOWĄ Z MATEMATYKI DLA SZKOŁY PODSTAWOWEJ

Emocje związane z wprowadzaniem reformy oświatowej są tak duże, że często trudno oddzielić jej merytoryczną ocenę od tej nacechowanej własnymi przekonaniami politycznymi. Niestety wydaje się, że środowiska związane z oświatą także nie są wolne od tej przypadłości. Spróbujmy więc przyjrzeć się jednemu z bardzo istotnych dokumentów dla nauczyciela, jakim jest podstawa programowa.

Przyglądając się nowej podstawie programowej z matematyki, zwróćmy uwagę na siatkę godzin. W ośmioletniej szkole podstawowej zachowano na ten przedmiot po 4 godziny tygodniowo, co daje 20 godzin w cyklu. Poprzednio było to po 4 godziny w klasach 4-6 szkoły podstawowej i w I-III gimnazjum, zatem łącznie 24 godziny w cyklu szkoła podstawowa-gimnazjum. Teoretycznie jest to strata około 130 godzin lekcyjnych, pamiętajmy jednak, że nauka w liceach i technikach została wydłużona o rok. Obecnie w liceum ogólnokształcącym zaplanowano 14 godzin na cykl. Tak więc co do wartości liczbowej jest to taka sama liczba zajęć. Drugi etap edukacyjny został podzielony na klasy 4-6 oraz 7-8, i tutaj właśnie pojawia się jeden z największych moim zdaniem problemów (przejściowy). Wydają się być na dzień dzisiejszy trudne do jednoznacznej oceny konsekwencje dla uczniów zmiany podstawy w trakcie trwania nauki. Przyjrzyjmy się dokładniej nowej podstawie.

Wymagania ogólne z matematyki wydają się być połączeniem obecnie obowiązujących w klasach 4-6 i gimnazjum. Zostało nieznacznie zmienione nazewnictwo, a także doszczegółowienia celów i zadań. Przykładowo **od 1 września 2017 roku będzie obowiązywał zapis:**

I. Sprawności rachunkowa.

1. Wykonywanie nieskomplikowanych obliczeń w pamięci lub w działaniach trudniejszych pisemnie oraz wykorzystanie tych umiejętności w sytuacjach praktycznych.

2. Weryfikowanie i interpretowanie otrzymanych wyników oraz ocena sensowności rozwiązania.

Do tej pory było:

I. Sprawność rachunkowa.

*Uczeń wykonuje proste działania pamięciowe na **liczbach naturalnych, całkowitych i ułamkach**, zna i stosuje algorytmy działań pisemnych oraz potrafi wykorzystać te umiejętności w sytuacjach praktycznych.*

Spójrzmy jeszcze na różnice pomiędzy starą podstawą programową dla szkoły podstawowej i gimnazjum a nową dla szkoły podstawowej w punkcie *II Wykorzystanie i tworzenie informacji*. W dotychczas obowiązującej zapisy te mają brzmienie odpowiednio w szkole podstawowej i gimnazjum:

Uczeń interpretuje i przetwarza informacje tekstowe, liczbowe, graficzne, rozumie i interpretuje odpowiednie pojęcia matematyczne, zna podstawową terminologię, formułuje odpowiedzi i prawidłowo zapisuje wyniki.

Uczeń interpretuje i tworzy teksty o charakterze matematycznym, używa języka matematycznego do opisu rozumowania i uzyskanych wyników.

W nowej podstawie te zapisy przyjmują postać:

1. Odczytywanie i interpretowanie danych przedstawionych w różnej formie oraz ich przetwarzanie.

2. Interpretowanie i tworzenie tekstów o charakterze matematycznym oraz graficzne przedstawianie danych.

3. Używanie języka matematycznego do opisu rozumowania i uzyskanych wyników.

Jakie zmiany nastąpiły w wymaganiach szczegółowych?

W klasach 4-6 dodano następujące wymagania, w których uczeń:

- liczby w zakresie do 3000 zapisane w systemie rzymskim przedstawia w systemie dziesiątkowym, a zapisane w systemie dziesiątkowym przedstawia w systemie rzymskim,

- stosuje […] rozdzielność mnożenia względem dodawania,

- rozpoznaje liczby podzielne przez […] 4,[...],

- znajduje największy wspólny dzielnik (NWD) w sytuacjach nie trudniejszych niż typu NWD(600, 72), NWD(140, 567), NWD(10000, 48), NWD(910, 2016) oraz wyznacza najmniejszą wspólną wielokrotność dwóch liczb naturalnych metodą rozkładu na czynniki,

- rozkłada liczby naturalne na czynniki pierwsze,

- wyznacza wynik dzielenia liczby *a* przez liczbę *b* z resztą i zapisuje go w postaci $a = b \cdot q + r$,

- rozpoznaje wielokrotności danej liczby, kwadraty, sześciany, liczby pierwsze, liczby złożone,

- odpowiada na pytania dotyczące liczebności różnych rodzajów liczb wśród liczb z pewnego niewielkiego zakresu (np. od 1 do 200 czy od 100 do 1000), o ile liczba w odpowiedzi jest na tyle mała, że wszystkie rozważane liczby uczeń może wypisać,

- oblicza liczbę, której część jest podana,

- wyznacza liczbę, która powstaje po powiększeniu lub pomniejszeniu o pewną część innej liczby,

- oblicza wartości wyrażeń arytmetycznych wymagających stosowania działań arytmetycznych na liczbach całkowitych lub zapisanych za pomocą ułamków zwykłych, liczb mieszanych i ułamków dziesiętnych, także wymiernych ujemnych,

- wyznacza w trójkącie równoramiennym przy danych obwodzie i długości jednego boku długości pozostałych boków,

- wykorzystuje podane zależności między długościami krawędzi graniastosłupa do wyznaczania długości poszczególnych krawędzi,

- oblicza pola: […], dla danych wymagających zamiany jednostek i w sytuacjach z nietypowymi wymiarami, na przykład pole trójkąta o boku 1 km i wysokości 1 mm,

- oblicza pola wielokątów metodą podziału na mniejsze wielokąty lub uzupełniania do większych wielokątów,

- odczytuje i interpretuje dane przedstawione w tekstach, tabelach, na diagramach i na wykresach na przykład: wartości z wykresu, wartość największą, najmniejszą, opisuje przedstawione w tekstach, tabelach, na diagramach i na wykresach zjawiska przez określenie przebiegu zmiany wartości danych, na przykład z użyciem określenia "wartości rosną", "wartości maleją", "wartości są takie same" ("przyjmowana wartość jest stała"),

- układa zadania i łamigłówki, rozwiązuje je; stawia nowe pytania związane z sytuacją w rozwiązanym zadaniu,

- rozpoznaje figury osiowosymetryczne i wskazuje oś symetrii figury.

W klasach 7-8 dodano następujące wymagania, w których uczeń:

- szacuje wielkość danego pierwiastka kwadratowego lub sześciennego oraz wyrażenia arytmetycznego zawierającego pierwiastki,

- porównuje wartość wyrażenia arytmetycznego zawierającego pierwiastki z daną liczbą wymierną oraz znajduje liczby wymierne większe lub mniejsze od takiej wartości,

- stosuje podział proporcjonalny,

- przeprowadza proste dowody geometryczne,

- znajduje środek odcinka, którego końce mają dane współrzędne (całkowite lub wymierne) oraz znajduje współrzędne drugiego końca odcinka, gdy dany jest jeden koniec i środek,

- oblicza długość odcinka, którego końce są danymi punktami kratowymi w układzie współrzędnych,

- dla danych punktów kratowych A i B znajduje inne punkty kratowe należące do prostej AB,

- wyznacza zbiór obiektów, analizuje i oblicza, ile jest obiektów, mających daną własność, w przypadkach niewymagających stosowania reguł mnożenia i dodawania,

- stosuje regułę mnożenia do zliczania par elementów o określonych własnościach,

- stosuje reguły dodawania i mnożenia do zliczania par elementów w sytuacjach, wymagających rozważenia kilku przypadków,

- oblicza prawdopodobieństwa zdarzeń w doświadczeniach, polegających na rzucie dwiema kostkami lub losowaniu dwóch elementów ze zwracaniem,

- oblicza prawdopodobieństwa zdarzeń w doświadczeniach, polegających na losowaniu dwóch elementów bez zwracania,

- rozwiązuje równania, które można sprowadzić do równania pierwszego stopnia z jedną niewiadomą.

Jednocześnie w nowej podstawie nie znajdziemy kilku wymagań, takich w których uczeń:

- stosuje jednostki objętości i pojemności: […] mm^3,

- wyznacza medianę,

- zamienia potęgi o wykładnikach całkowitych ujemnych na odpowiednie potęgi o wykładnikach naturalnych,

- wyłącza poza nawias jednom z sumy algebraicznej,

- rozwiązuje układy dwóch równań liniowych z dwiema niewiadomymi,

- konstruuje wielokąt wpisany w okrąg i opisany na okręgu,

- zna i stosuje twierdzenie odwrotne do twierdzenia Pitagorasa,

- oblicza długość łuku i pole wycinka kołowego,

- oblicza wymiary wielokąta powiększonego lub pomniejszonego w danej skali;

- oblicza stosunek pól wielokątów podobnych;

- rozpoznaje wielokąty […] podobne;

- korzysta z własności trójkątów prostokątnych podobnych;

- oblicza objętości i pola powierzchni brył obrotowych,

- oblicza funkcje,

- zapisuje związki między wielkościami […]odwrotnie proporcjonalnymi.

Szacunkowo, omówienie treści wykreślonych z podstawy dla szkoły podstawowej wymagałyby około 70–80 godzin lekcyjnych. Zwróćmy uwagę, że zyskujemy dodatkowy czas poprzez zlikwidowanie okresów zrównujących oraz czasu „po egzaminach". Dobrym pomysłem wydaje się przeniesienie działów XIV-XVII na czas po egzaminie ósmoklasisty. Pozwala to dobrze zorganizować pracę oraz przygotować uczniów do testu, a jednocześnie jest dobrze wykorzystany czas pomiędzy egzaminem, a końcem roku.

Zaznaczmy, że w dokumencie nowej podstawy z matematyki istnieją pewne nieścisłości. W dziale „Potęgi o podstawach wymiernych" nie wprowadza się wykładnika całkowitego ujemnego, ale oczekuje się, że uczeń pozna notację wykładniczą $a \cdot 10^k$, gdy $1 \leq a < 10$ i a jest liczbą całkowitą!

W warunkach i sposobach realizacji opisano, które elementy (w związku ze zmianą podstawy) mogły być niezrealizowane w klasach 4-6. Zaproponowano, aby przenieść je w latach 2017/18, 2018/19 i 2019/20 do klasy VII[139]. W klasach 4-6 zaleca się pracę na konkretach oraz ograniczanie pojęć abstrakcyjnych. Ważnym elementem pracy mają być zagadki, a w początkowym okresie zgadywanie rozwiązań równań ma być traktowane jako poprawna metoda. Oczekiwana jest duża ostrożność przy wymaganiu od ucznia stosowania języka matematycznego. Istotną rolę przypisuje się umiejętnościom dowodzenia. Pewnym novum jest możliwość w klasach 7-8 i częściowo w 6 (dokładny zapis w podstawie "można rozważyć wprowadzenie") prowadzenia zajęć z matematyki w grupach międzyoddziałowych podobnie jak w przypadku języków obcych. Ważną rolę ma pełnić statystyka, gdyż „wiąże matematykę z życiem codziennym i otwiera cały wachlarz zastosowań praktycznych […] operowanie wykresami zależności pozwala na intuicyjne opanowanie trudnych i abstrakcyjnych pojęć takich, jak: funkcja, monotoniczność, ekstrema, przy użyciu minimalnej wiedzy matematycznej"[140].

Po analizie dokumentu nowej podstawy wydaje się, że została ona dobrze dostosowana do ilości dostępnych godzin. Istotne wydaje się, również z punktu widzenia nauk ścisłych, zastąpienie integracji przedmiotowej korelacją przedmiotową.

LITERATURA:

1. ROZPORZĄDZENIE MINISTRA EDUKACJI NARODOWEJ z dnia 14 lutego 2017 r. w sprawie podstawy programowej wychowania przedszkolnego oraz podstawy programowej kształcenia ogólnego dla szkoły podstawowej, w tym dla uczniów z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu umiarkowanym lub znacznym, kształcenia ogólnego dla branżowej szkoły I stopnia, kształcenia ogólnego dla szkoły specjalnej przysposabiającej do pracy oraz kształcenia ogólnego dla szkoły policealnej.

2. ROZPORZNDZENIE MINISTRA EDUKACJI NARODOWEJ z dnia 23 grudnia 2008 r. w sprawie podstawy programowej wychowania przedszkolnego oraz kształcenia ogólnego w poszczególnych typach szkół.

Marcin Strzępek *– nauczyciel matematyki i fizyki*

[139] dział I pkt 5, dział II pkt 13–17, dział IV pkt 13 i 14, dział V pkt 9, dział IX pkt 8, dział X pkt 5 i dział XI pkt 4 podstawy programowej dla klas IV–VI

[140] PODSTAWA PROGRAMOWA KSZTAŁCENIA OGÓLNEGO DLA SZKOŁY PODSTAWOWEJ- matematyka.

Szczegółowa oferta edukacyjna RODNiIP „WOM" w Rybniku dostępna jest na stronie www.wom.edu.pl

Szanowni Państwo, zwracamy się z prośbą o dzielenie się doświadczeniami z pracy nauczycielskiej, a także udostępnianie w ramach „dobrych praktyk" własnych materiałów dydaktycznych, scenariuszy zajęć, konspektów oraz wyrażanie własnych poglądów na szeroko rozumiane problemy oświaty i nauki na łamach wydawanego przez RODNiIP „WOM" w Rybniku Dialogu Edukacyjnego. Artykuł powinien zawierać do 15 tys. znaków (Times New Roman, 12) oraz jednozdaniową informację o autorze.

Archiwalne numery Dialogu Edukacyjnego znajdują się na stronie: WWW.wom.edu.pl

Agata Śliwicka

JAK ŁATWO ZOSTAĆ ZBRODNIARZEM

Analiza przemiany głównego bohatera powieści Ladislava Fuksa *Palacz zwłok*

Palacz zwłok to dzieło wybitnego pisarza czeskiego, filozofa i psychologa Ladislava Fuksa. Powieść, która ukazała się w 1967 roku, podejmuje tematykę czasów wojny. Ale wojna i rzeczywistość okupacyjna nie są pierwszoplanowym tematem tego utworu, stanowią raczej tło wydarzeń dla psychologicznej analizy bohatera, jego postawy i czynów. Wojna potraktowana jest głównie jako czas „generalnej próby" charakteru człowieka wplątanego w brutalną rzeczywistość i zmuszonego do dokonywania moralnych wyborów.

Bohaterem powieści Ladislava Fuksa *Palacz zwłok* jest Karl Kopfrkingl. Gdy go poznajemy, mamy wrażenie, że będzie to sielankowa opowieść o mieszkańcu Pragi i jego cudownej rodzinie, bo pan Kopfrkingl to uosobienie zadowolonego z życia mieszczanina, który wraz ze swą rodziną wiedzie niemal idealne życie. Jest prostoduszny, pełen życzliwości wobec świata, troszczy się o syna Miliwoja i interesuje się życiem dorastającej córki Ziny, obsypuje najbliższych prezentami i często proponuje rodzinne wycieczki. Żonę o imieniu Maria nazywa „moja delikatna" lub Lakme: „Dlatego że jestem romantykiem i jestem rozmiłowany w pięknie". Jego ulubiona lektura to książka o Tybecie i dalajlamie, a zainteresowania muzyczne to klasyka muzyki poważnej, dzieła Dworzaka, Gounoda czy Straussa. Codziennie przegląda prasę, a szczególnie interesuje go w niej kronika wypadków, z której czerpie swą wiedzę o ludzkim cierpieniu.

Nasz mieszczanin stara się być odpowiedzialnym, niemalże wzorowym obywatelem, który dba o rodzinę i osobą wrażliwą na krzywdę społeczną. Jako swojego agenta zatrudnia chorującego pana Straussa, a obrazy kupuje od ubogiego antykwariusza. Ponadto Karl Kopfrkingl, co często podkreśla, jest abstynentem, i jest człowiekiem wyjątkowo serdecznym i zawsze uśmiechniętym. Wydawałoby się ideał, poczciwa dusza, taki filozof codzienności. Chwilami chyba nawet trochę irytuje nas tą swoją doskonałością.

W pracy także jest ideałem. Cechuje go perfekcjonizm. Miejsce, w którym pracuje jest niezwykłe – to praskie krematorium, które nazywa „Świątynią Śmierci". Jest tam zatrudniony już od wielu lat, a swoje obowiązki wykonuje rzetelnie i solidnie. Zawsze z dumą opowiada o swojej pracy. Poświęca jej wiele uwagi, wypełniając „rozkład jazdy śmierci", jakim jest cykl palenia zwłok. „Przecież to jest właściwie najważniejszy rozkład jazdy, jaki istnieje na tym świecie. Rozkład jazdy, którego nikt nie uniknie, chyba, że da się pochować w ziemi"[141].

W czasie pracy słucha muzyki poważnej i wygłasza długie przemowy o wyższości kremacji nad tradycyjnym pochówkiem w ziemi. Uważa, że jest posłańcem, który wypełnia biblijną misję, "obraca w proch ciało, które się z prochu narodziło". Krematorium stanowi dla niego jedno z największych dokonań człowieka, ponieważ czyni ludzi po śmierci równymi. Niemal w każdej rozmowie porusza ten wątek i nawiązuje do tematu śmierci i cierpienia. Uważa się za mitologicznego Charona, przewoźnika dusz na tamten, lepszy świat. Twierdzi, że tylko kremacja zapewnia wieczny spokój i uwalnia człowieka od cierpienia. „Śmierć wyzwala człowieka z bólu i cierpienia… Cierpienie to zło, które powinniśmy eliminować, albo chociaż pomniejszać, skracać". „Perwersyjne zamiłowanie do palenia zwłok stanowi wręcz misję dziejową naszego bohatera – z zawodu krematora. W swoich chorych wyobrażeniach jest on inkarnacją Buddy, gdyż poprzez spalanie zwłok „uwalnia" on dusze od „wiecznego niebytu", a za swoją biblię uznaje "tybetańską księgę śmierci"[142].

Sielankowe życie rodziny Kopfrkinglów trwałoby nadal, gdyby nie wybuch II wojny światowej. Wieści o wojnie docierają z radia i prasy, a Hitler i nowy porządek stają się tematem towarzyskich rozmów i nagłówków gazet.

Na początku w życiu Kopfrkingla nie zachodzą żadne zmiany. Nadal pracuje w krematorium, oddając się codziennym rytuałom. Z biegiem czasu trafia jednak pod coraz większy wpływ swego przyjaciela, Willego Reinke i zaraża się ideą nazizmu. Kiedy niemiecki przyjaciel roztacza przed nim wizje świetlanej przyszłości, do której dotrze europejska cywilizacja pod wodzą Adolfa Hitlera, Kopfrkingl zawierza mu bez żadnych wątpliwości. Okazuje się człowiekiem bardzo słabym psychicznie i podatnym na sugestie. Zarażanie złem dokonuje się u niego stopniowo. Powoli pojawiają się rysy na tym idealnym życiu Kopfrkingla. Jego zainteresowanie nazizmem staje się niebezpieczne. Dostrzega niedociągnięcia i rysy wśród swoich najbliższych. Jego żona ma żydowskie pochodzenie, a jego dzieci są za mało aryjskie. Syn, zgodnie z niemieckimi przepisami, jest ćwierć-Żydem. W tej sytuacji miłośnik porządku Kopfrkingl, zaczyna „oczyszczać" swoje najbliższe otoczenie. Zaczyna traktować ludność żydowskiego pochodzenia w kategoriach „choroby", czy

[141] L. Fuks, *Palacz zwłok*, Kraków 2003.
[142] L. Fuks, *Palacz zwłok*, Kraków 2003.

„plagi", wobec której jedynym słusznym krokiem jest „uwolnienie ich od cierpienia". To uwolnienie może się dokonać tylko poprzez morderstwo. Pozbywa się więc żony i syna. „Ja tę ofiarę, jako Niemiec, ponieść musiałem. Uratowałem cię, droga, przed cierpieniem, które by cię czekało, Jak ty byś aniele, z tą swoją krwią cierpiała w nowym, szczęśliwym, sprawiedliwym świecie".

"Biedny chłopiec – powiedział sobie – jakżeby on cierpiał w życiu, ile oszczędziłem temu dobremu dziecku. Teraz już by go nie przyjęli do niemieckich szkół i do Hitlerjugend, a co dopiero, gdy nastąpi nowy szczęśliwy ład"[143].

Dla Karla Kopfrkingla najważniejsze jest uznanie w społeczeństwie. Przedtem był szanowany jako wzorowy ojciec i mąż, ale w nowych czasach to za mało. Musi podnieść swój społeczny status i dlatego ma nową misję: będzie gorliwym nazistą, który wprowadza nowy porządek społeczny. Wcześniej poważał Żydów i zgodnie z nimi sąsiadował. „Też czasami słyszę, przypomniał sobie, że Hitler prześladuje Żydów w Niemczech. Dlaczego? Przecież to tacy poczciwi i ofiarni ludzie". Nie przywiązywał wagi do swojego niemieckiego pochodzenia. „Nigdyśmy u nas po niemiecku nie mówili, […] mam też jedynie czeskie książki… nasza niemiecka krew to przecież tylko kropla". Jednak w tej nowej sytuacji Kopfrkingl się zmienia. Typowy konformista, pozwala sobą manipulować, i dostosowuje się do oczekiwań swojego niemieckiego przyjaciela i do nowej rzeczywistości.

„»Palacz zwłok« jest powieścią, która jednocześnie zachwyca i przeraża. Zachwyca stylem i wewnętrznym rytmem; niekiedy można nawet odnieść wrażenie, że autor kołysze nas do snu. Bardzo szybko jednak ta subtelna – pełna odniesień do muzycznej klasyki – kołysanka przeradza się w pieśń grozy. Książka Ladislava Fuksa jest bardzo wnikliwym studium psychologicznym szaleństwa, zejścia na złą drogę człowieka, który w normalnych czasach był przykładnym ojcem rodziny. Gdy Kopfrkingl dowiaduje się od Reinkego o nazistowskim wzorze człowieka, stara się za wszelką cenę wpasować w ów wyidealizowany portret wiernego Hitlerowi Aryjczyka. By tego dokonać, musi pozbyć się balastu przeszłości. A balastem tym okazują się najbliżsi". Autor chciał nam w tej powieści pokazać, jaki wpływ może mieć ideologia na zwykłego człowieka. Jaka ogromna zmiana może się w człowieku dokonać! Ten esteta, miłośnik muzyki, kochający ojciec i mąż zamienia się w człowieka zupełnie pozbawionego skrupułów. Z dobrodusznego ojca rodziny zmienia się w bezlitosnego mordercę walczącego o „nowy ład społeczny". „Pan Kopfrkingl jest bowiem symbolem zwykłego, szarego człowieka, który w dążeniu do lepszego życia ulega chorobliwym złudzeniom, który poddając się ich blaskowi staje się zdolny do wszelkich wynaturzeń"[144].

„Fuks pokazuje, jak ze zwykłego, szarego człowieka, nie pałającego nienawiścią do ludzi, biernego, ograniczającego swe działanie etyczne do rozwodzenia się nad nieszczęściami wyczytanymi z kroniki wypadków, rodzi się szeregowy zbrodniarz, funkcjonariusz systemu zła, groteskowy »zbawiciel«, psychopata. Czeski pisarz ukazuje, jak z zakompleksionych ludzików, pozornie niegroźnych maniaków, rodzą się potwory. Jak ich drobne obsesje, natręctwa, kompleksy (pedantyzm, abstynencja, zniewieściałość) przeradzają się w horrendum"[145].

Książka Ladislava Fuksa ukazała się w 1967 roku, a kilka lat później w 1971 roku amerykański psycholog Philip Zimbardo przeprowadził eksperyment psychologiczny, który udowodnił, że ludzie zdrowi psychicznie w specyficznych warunkach wcielają się w role oprawców i ofiar. Powodów takich zachowań upatruje on nie w zaburzeniach ludzkiej psychiki, lecz we wpływie otoczenia na jednostkę.

Książka Fuksa i eksperyment Zimbardo pokazują, że zwyczajni, porządni ludzie w reakcji na działające na nich czynniki sytuacyjne nagle stają się sprawcami zła. A „granica między dobrem a złem, która kiedyś wydawała się nieprzenikalna, okazała się jak najbardziej możliwa do przekroczenia" – stwierdza Zimbardo w książce *Efekt Lucyfera*. Amerykański psycholog dowodzi, że „mylimy się co do istoty zła, sądząc, że nikt i nic nie przeciągnie nas na złą stronę. Jednym z podstawowych procesów wpływających na transformację zwykłych, normalnych ludzi w bezdusznych krzewicieli zła jest dehumanizacja. Działa ona jak ślepota umysłowa i zaszczepia przekonanie, że inni to mniej niż ludzie. Sprawia, że niektóre osoby zaczynają postrzegać innych jak wrogów zasługujących na unicestwienie"[146].

Autor *Palacza zwłok*, psycholog z wykształcenia, odkrył przed nami ludzkie wnętrze, by ukazać, jak je deformowała wojenna rzeczywistość. Pokazał nam zmianę z dobrego, wrażliwego człowieka w potwora. Kiedy poznaliśmy pana Kopfrkingla dobrego, szlachetnego i wrażliwego na cierpienia innych, nie przypuszczalibyśmy, że może on stać się oprawcą.

„Fuks jako twórca znalazł własny świat – świat zaułków psychicznych i niezwykłej wyobraźni. Omijał bezpośrednio aktualną tematykę zafrapowany tropieniem zła, zbrodni i degradacji człowieka. W *Palaczu zwłok* przeniósł Fuks swoje zainteresowania z prześladowanej ofiary na prześladowcę i mordercę. To demoniczny Karel Kopfrkingl stał się tu kreatorem niesamowitych wydarzeń. […] Fuks ukształtował postać Kopfrkingla na typowego oprawcę hitlerowskiego, łączącego tkliwość rodzinną, wrażliwość na piękno (zwłaszcza muzyki), i drobnomieszczańskie ideały życiowe z bezwzględnością wykonawcy poleceń swoich mocodawców. Ukazał mechanizm rozwoju w człowieku instynktu zbrodni"[147].

Książka Ladislava Fuksa ukazuje bolesną prawdę, którą Sołżenicyn sformułował w *Archipelagu Gułag*: „Dopiero na zgniłej, więziennej słomie [...] stopniowo pojąłem, że linia oddzielająca dobro od zła przebiega nie między państwami, nie między klasami, nie między partiami – tylko przecina każde ludzkie serce, nie omijając żadnego".

Agata Śliwicka *– nauczyciel-bibliotekarz, Biblioteka Pedagogiczna w Raciborzu.*

[143] L. Fuks, *Palacz zwłok*, Kraków 2003.
[144] S. Chosiński, *Pan Kopfrkingl wciąż żyje*, „Magazyn Esensja" 2005, nr7.
[145] A. Morawiec, *Nowy szczęśliwy ład*, „Akcent" 2003, nr 3.
[146] P. Zimbardo, *Efekt Lucyfera. Dlaczego dobrzy ludzie czynią zło*?, Warszawa 2008.
[147] Z. Niedziela, *Twórczość Ladislava Fuksa* / W: Wariacje na najniższej strunie/ L. Fuks, Katowice 1980.

Eugeniusz Januła

NIEMIECKI MODEL EDUKACYJNY – SYSTEM I PRAGMATYKA

W okresie kiedy w naszym kraju nie tyle dyskutuje się, ile w sposób arbitralny przeprowadza się niezbyt przemyślaną, kolejną zresztą reformę modelu edukacyjnego, którego głównym aspektem jest likwidacja dotychczasowych gimnazjów ,warto przyjrzeć się, jak działa model edukacyjny u naszego dużego i prężnego zachodniego sąsiada.

Na początku trzeba przypomnieć, że Niemcy w kategoriach modelowych są państwem typowo federalnym. W ramach systemu edukacyjnego podmiotem w znacznym stopniu są landy i wolne miasta. Rząd federalny w zasadzie ogranicza się do nadzorowania systemu, ale także pilnuje żeby edukacja wszędzie miała te same podstawy programowe jak również równoprawne struktury organizacyjne. Warto jeszcze zauważyć, że aktualny model edukacyjny wywodzi się z roku 1921, kiedy to dokonano istotnej reformy oświatowej w ówczesnej Republice Weimarskiej[148]. Tu trzeba przypomnieć, że edukacja w państwie niemieckim zawsze odgrywała również wiodące role polityczne. Popularnie mówiło się, że filarami państwa Fryderyka II byli: żandarm pastor i nauczyciel[149]. Po drugiej wojnie światowej szkolnictwo w strefie radzieckiej, a później w NRD było nieco zmienione w kategoriach modelu. Dostosowane strukturalnie do systemu radzieckiego. Z chwilą wejścia jednak wszystkich pięciu landów wschodnich do Republiki Federalnej Niemiec we wszystkich tych pięciu nowych landach, a także mającym status wolnego miasta Berlinie, dostosowano struktury, programy i treści nauczania do nowych wymogów, demokratycznego i prężnie rozwijającego się dużego państwa federalnego.

Jednak model szkolnictwa w Republice Federalnej to skomplikowana struktura. Każdy land i wolne miasto posiada swoje własne Ministerstwo Oświaty lub też Urząd ds. Oświaty. Konsekwencje takiego systemu mogą w praktyce społecznej ponosić dzieci rodziców, którzy przenoszą się do innego landu[150]. Może okazać się np. że poszczególne przedmioty nauczania są zlokalizowane w tymhipotetycznym nowym landzie w innej – wyższej lub niższej – klasie nauczania. Stąd może wystąpić konieczność nadrabiania różnic programowych, co nie zawsze jest łatwe i przyjemne dla ucznia w szczególności, mimo że odpowiednie przepisy nakładają na nowy land obligatoryjność, daleko idącej pomocy w nadrabianiu różnic programowych. Inny nieco może być także system organizacyjny, a na pewno zupełnie różne są w poszczególnych landach podręczniki pisane przez rożne zresztą zespoły autorskie. Mimo że siatki programowe są dla wszystkich landów i wolnych miast oczywiście takie same[151].

Proces edukacyjny

Rozpoczyna się on edukacją przedszkolną, która nie jest ustawowo obligatoryjna. Istnieje jednak duży nacisk, żeby dzieci w przedziale 3-6 lat, a już na pewno 4-6 brały udział w nauczaniu przedszkolnym. Uczęszczanie do przedszkola jest płatne, ale może być bardzo znacząco zrekompensowane poprzez system pomocy stypendialnej, jak też socjalnej. Trzeba dodać, że system przedszkolny jest bardzo elastyczny. Mianowicie dziecko może np. uczęszczać tylko na 3 godziny dziennie do przedszkola. Ale też może przebywać w przedszkolu, jeżeli istnieje taka potrzeba, do godziny dwudziestej. Przy czym, oczywiście, w przedszkolu je również posiłki. Funkcjonują także specjalne przedszkola weekendowe. Mimo widocznych wysiłków państwa jak też poszczególnych landów, we wschodnich landach w dalszym ciągu zauważalny jest jeszcze brak miejsc w przedszkolach. Statystycznie rzecz biorąc, może nauką w przedszkolach być objętych w tych landach tylko o 85 % dzieci w odpowiednim wieku[152].

Dodać trzeba, że dla dzieci imigrantów nauka i pobyt w przedszkolach jest obligatoryjny i realizowany w sposób bardzo rygorystyczny. Chodzi o procesy integracyjne, którymi rzecz jasna stosunkowo najłatwiej objąć dzieci w wieku przedszkolnym. Próby matek dotrzymywania towarzystwa dzieciom w czasie pobytu w przedszkolu, co jest charakterystyczne dla kultury islamskiej, są eliminowane nawet przy pomocy policji. Po prostu matek nie wpuszcza się do przedszkoli, ograniczając ich role do odprowadzania i odbierania swoich dzieci. Natomiast próby nie posyłania dzieci do przedszkola, czy też później do szkoły powoduje dotkliwe kary i represje wobec rodziców, począwszy od cofnięcia zasiłków socjalnych, aż w ostatecznej konsekwencji do deportacji włącznie.

Po okresie przedszkolnym dzieci powinny umieć czytać i pisać, jak również posiadać podstawowe umiejętności w zakresie podstawowych czterech działań w arytmetyce. W ostatnim roku przedszkola uczy się dzieci również podstaw pracy z komputerem i telefonem komórkowym. Czyli, że dzieci idące do szkoły posiadają już szereg niezbędnych umiejętności potrzebnych w pragmatyce funkcjonowania we współczesnym społeczeństwie.

---

[148] H. Krasucki, *Historia Rzeszy Niemieckiej*, KiW, Warszawa 1976, s. 112-116.

[149] K. Zimmerman, *Fryderyk Wielki i jego kolonizacja na ziemiach polskich*, Księgarnia Św. Wojciecha, Poznań 1915, T. II, s. 177-184.

[150] *Konstytucja Republiki Federalnej Niemiec*, Wyd. Sejmowe, Warszawa 1999, s. 45.

[151] Eurostat, *Skolaryzacja w państwach UE*, Niemiecka Republika Federalna, Bruksela 2013, Zeszyt 3.

[152] K. Liber. *Schulsystem in Osten Land*, Stern, 26.05.2011

Kolejnym etapem edukacyjnym jest szkoła podstawowa (Grundschule). W większości landów trwa ona cztery lata, ale w kilku, w tym stolicy Berlinie, sześć lat. Oczywiście dzieci idą obligatoryjnie do szkoły w wieku sześciu lat.

System nauczania w szkole podstawowej ma na celu doprowadzenie do biegłego czytania i pisania oraz sprawnego działania w strukturze arytmetyki, ale już z elementami geometrii. Dzieci w dwóch pierwszych klasach nie są generalnie oceniane nie na typowe stopnie-oceny, ale otrzymują oceny a raczej opinie typu opisowo-analitycznego na temat posiadanych predyspozycji, silnych i słabych stron oraz, co jest bardzo ważnym aspektem kariery życiowej, dalszych edukacyjnych perspektyw. Bo w niemieckim systemie ta wstępna szkoła jest też początkiem swego rodzaju wyścigu szczurów. Nie jest to oczywiście model japoński, gdzie trwa bezwzględna rywalizacja, ale jednak wyrabia ona solidne nawyki współzawodnictwa.

Na podstawie kwalifikacji z Grundschule proponuje się rodzicom, ewentualnie opiekunom konkretnego dziecka, dalszy etap edukacji, czyli praktycznie decyduje się o dalszej drodze nie tylko zdobywania kwalifikacji, ale też całokształtu kariery życiowej.

Kolejnymi etapami edukacji są systemowo alternatywnie:

Gimnazjum (Das Gimnasium)
Szkoła Główna (Das Haupschule)
Szkoła realna (Die Realschule)
Szkoła ogólna (Die Gesamtschule)

Tu należy się jedna uwaga. Są też landy i wolne miasto Brema, gdzie ten ostatni typ szkoły nie występuje[153].

Szkoła Główna

Czas nauki to pięć lub sześć lat – zależnie od konkretnego landu. Obejmuje klasy 5-9 lub do 10. Tego typu szkoła ma za zadanie przekazać uczniom określony pakiet wiedzy ogólnej na tyle, żeby byli przygotowani do podjęcia praktycznej nauki zawodu. Po zakończeniu nauki w tego typu szkole uczeń otrzymuje świadectwo uprawniające go do podjęcia dalszej nauki w wybranej szkole zawodowej (Berufsschule) z jednoczesnym podpisaniem umowy z konkretnym pracodawcą w celu praktycznej nauki zawodu, alternatywnie w szeroko rozumianym przemyśle, usługach czy tez rzemiośle. Nauka w szkole zawodowej z jednoczesną nauką praktyczną zawodu trwa trzy lata. Obecnie zauważalne są tendencje do dodawania czwartego roku w zawodach takich jak elektronik, automatyk, mechanik precyzyjny etc. Ukończenie szkoły zawodowej teoretycznie nie zamyka ewentualnej dalszej drogi w systemie edukacyjnym[154].

Szkoła Realna

Nauka trwa w tego typu szkole z reguły 5-6 lat. Ukończenie jej jest warunkiem do podjęcia nauki zawodu, ale na relatywnie wyższym szczeblu niż w przypadku Beruffschule. Tego typu zdobyte wykształcenie daje podstawę do uzyskania kwalifikacji na poziomie polskiego Technikum Zawodowego.

Gimnazjum

Tu nauka trwa aż dziewięć lat w klasach 5-13. Do gimnazjum uczęszczają teoretycznie uczniowie, którzy wykazali się najlepszymi wynikami w Grandschule. Do 11 klasy włącznie obowiązuje w gimnazjum tzw. system kursowy, czyli grupowanie określonej grupy przedmiotów w jeden cykl. A następnie zdawanie cząstkowego egzaminu zaliczającego ten cykl (Kurs). Przed przystąpieniem do egzaminu maturalnego (Das Abitur) każdy uczeń musi zaliczyć określoną regulaminem ilość kursów, czyli grup przedmiotów. Najczęściej obligatoryjność dotyczy trzech kursów, znacznie rzadziej czterech. Właśnie na podstawie zaliczonej liczby kursów układany jest indywidualnie profil egzaminów końcowych. Obligatoryjność zadawania, dotyczy języka niemieckiego, języka obcego oraz wybranego przedmiotu[155]. Uzyskane w gimnazjum świadectwo maturalne uprawnia do podjęcia studiów wyższych na dowolnie wybranej uczelni i kierunku.

Szkoła Ogólna

Jak pisano już uprzednio ten typ szkoły nie występuje we wszystkich landach i wolnych miastach. Praktycznie stanowi on połączenie wszystkich uprzednio wymienionych typów szkół .Uczeń może brać udział analogicznie jak w systemie gimnazjalnym w poszczególnych kursach (blokach przedmiotowych). Ale mogą one w tym typie szkoły być o różnym poziomie trudności. Są w tym typie szkoły kursy o poziomie gimnazjalnym, które dają pełne uprawnienia do uzyskania matury, jak też kursy o niższych poziomach zbliżonych do poziomu szkoły realnej. W tego typu szkole, o ile uczeń zaliczył te kursy, które kwalifikują do matury, zainteresowany może też zdawać pełnoprawny egzamin maturalny.

* * *

Nasuwa się pytanie, czy po czterech latach typowej szkoły podstawowej wszystkie wskazania pedagogów odnośnie dalszej edukacji dla konkretnego ucznia bywają trafne? Okazuje się, że prawie w 97 procentach tak. Uczniowie obok bieżącej obserwacji przez pedagogów, przechodzą w ciągu tych czterech wstępnych lat ,kilka testów wskazujących na swoje predyspozycje intelektualne, zdolności w kategoriach możliwości przyswajania wiedzy i umiejętności itd. Wszystko to razem wzięte sprawia, że typowanie do odpowiedniego typu szkoły jest wysoce trafne. Bywają też, co jest zupełnie zrozumiałe, interwencje ze strony rodziców, którzy mogą nie zgadzać się ze wskazaną typologią szkoły[156]. Rzecz jasna dotyczy to najczęściej wypadków, kiedy ambicje konkretnych rodziców rozmijają się ze wskazaniem ze strony Grundschule. W takich wypadkach postulaty rodziców są najczęściej uwzględniane i dziecko jest przesuwane do szkoły wyższego rzędu. Jednak jak wykazują badania, najczęściej takie dziecko nie daje sobie rady w nowej szkole i po prostu wraca

[153] Freie Bremen.Handbuch, Bremen 2011, s. 23-45
[154] Beruffschule in Sachsen-Anhalt, Handbuch, Drezden 2013, s. 178
[155] *Niemiecki system szkolnictwa*, www.zs,silesia,edu,pl, dostęp 21.12.2016.
[156] Eurostat, *Skolaryzacja*…, s. 143 i nast.

prędzej czy później do szkoły poprzedniej. To wszystko dzieje się oczywiście bez dodatkowych opłat i kosztów dla rodziców.

Naturalnym jest, że proces edukacyjny w niemieckich szkołach publicznych jest całkowicie bezpłatny. Religia, na zasadzie wyboru oczywiście jest według niemieckiego nazewnictwa moralnym przedmiotem obowiązkowym; przy czym jednak około dziesięć procent populacji uczniowskiej nie uczęszcza na żadną religię. Landy unikają zatrudniania do nauczania religii osób duchownych. W przeważającej mierze prowadza tą naukę osoby świeckie, mające odpowiednie kwalifikacje pedagogiczne, w tym oczywiście nauczycielski egzamin zdany przed komisją konkretnego landu.

System szkolnictwa zawodowego bardzo ważny w dobie drugiego etapu rewolucji naukowo-technicznej w Niemczech jest bardzo elastyczny i podporządkowany czystej pragmatyce. Jego podstawą jest system dualny (das duale system). System ten stosowany z pełnym powodzeniem również i u nas w okresie PRL, łączy harmonijnie naukę w szkole zawodowej z praktyką w zakładzie pracy[157]. Polega ten system na tym, że w trzyletnim cyklu kształcenia uczniowie chodzą w pierwszej klasie cztery razy w tygodniu do szkoły, a jeden do miejsca pracy. Kolejno w drugiej klasie ta proporcja zmienia się tak, że uczeń chodzi trzy razy w tygodniu do szkoły, a dwa do podmiotu zatrudniającego. W trzeciej klasie do szkoły uczeń uczęszcza tylko w jeden dzień, a w pozostałe cztery do przedsiębiorstwa zatrudniającego. Oczywiście za odbywaną praktykę uczeń otrzymuje wynagrodzenie, a staż pracy, bo opłaca też składki na system ubezpieczenia społecznego, liczy się do ogólnego stażu wymaganego w przyszłości do stażu emerytalnego. Robotnik może kontynuować naukę w wieczorowej Real schule czy też wieczorowym gimnazjum, które są dla niego również bezpłatne. Tym sposobem może osiągnąć maturę i następnie wstąpić do szkoły wyższej, mając do wyboru system dzienny lub zaoczny. Czyli system jest bardzo mobilny i umożliwia ambitnym i zdolnym jednostkom osiągniecie pełnego wyższego wykształcenia. Dodać trzeba, że duże przedsiębiorstwa fundują często dodatkowe stypendia dla swoich dobrych i uczących się dalej pracowników.

Wracając jeszcze do opłaty za naukę w szkole w każdym modelu, dzieci obywateli Republiki Federalnej mają naukę za darmo. Ale również system edukacyjny jest drożny i bezpłatny dla nie-obywateli. Bo tu trzeba przypomnieć, że obywatelstwo RFN można uzyskać w zasadzie dopiero po ośmiu latach posiadania prawa do stałego pobytu na terenie Niemiec. A przecież też, za wyjątkiem pojedynczych wypadków, prawa do stałego pobytu nie uzyskuje się od razu i automatycznie. Rząd federalny oraz rządy krajowe są bardzo zainteresowane, o czym pisano już wyżej, żeby dzieci imigrantów również uczyły się w niemieckich szkołach, co prowadzi do szybszej integracji. Bo integrację, skoro o niej mowa, najłatwiej i najszybciej można osiągnąć w młodym pokoleniu. Więc imigranci otrzymują poprzez system wypłat socjalnych nawet spore zasiłki w celu kształcenia swoich dzieci w niemieckich szkołach publicznych. Również otrzymują dodatki na douczanie z zakresu języka niemieckiego i niektórych innych przedmiotów. Tu można zauważyć typowe działanie za pomocą przysłowiowego kija i marchewki. Jeżeli dziecko czy dzieci imigrantów uczęszczają do szkoły, to rodzice otrzymują relatywnie większy dodatek. Natomiast w wypadku przeciwnym wyplata *socjale* jest zawieszana lub cofana, a absencja dziecka w szkole, jeżeli zostaje uznana za celową, może stanowić podstawę do przymusowej deportacji.

Dla porządku trzeba jeszcze przypomnieć, że w Republice Federalnej stosuje się w szkolnictwie też sześciostopniowy system oceniania. Ale jest on w stosunku do polskiego odwrócony, czyli najlepsza oceną jest jedynka, a najgorszą szóstka. Również system ferii-wakacji wygląda nieco inaczej niż w naszym kraju. Generalnie wakacje letnie trwają sześć tygodni, natomiast więcej jest ferii śródrocznych.

* * *

Reasumując, system niemieckiego szkolnictwa jest z jednej strony tradycyjny. Ale też co cechuje cały niemiecki system polityczno-administracyjny, bardzo pragmatyczny i elastyczny. W każdym razie jest on wysoce wydolny i mobilny, przez co dostosowany do wymogów XXI wieku[158]. Mimo że jest on pozornie strukturalnie bardzo zróżnicowany jeżeli chodzi o poszczególne landy to praktycznie zapewnia ujednolicone i skutecznie działające później w praktyce wykształcenie, a co za tym idzie również kwalifikacje.

BIBLIOGRAFIA:

Beruffschule in Sachsen-Anhalt, Handbuch, Drezden 2013.

Eurostatat, *Skolaryzacja w państwach UE,* Republika Federalna Niemiec, Bruksela 2013.

Freie Bremen, Hanbuch, Bremę 2011.

Konstytucja Republiki Federalnej Niemiec, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1999.

Krasucki H., *Historia Rzeszy Niemieckiej*, KiW, Warszawa 1976.

Niemiecki system szkolnictwa, www.zs.silesia.edu.pl

Raport o stanie oświaty, MEN, Warszawa 1975.

Ryszka, F., *Państwo stanu wyjątkowego*, Ossolineum, Wrocław 1985.

Toffler A., *Trzecia fala*, Zysk i ska, Poznań 2003.

Zimmerman K., *Fryderyk Wielki i jego kolonizacja na ziemiach polskich*, Księgarnia Św. Wojciecha, Poznań 1915.

dr **Eugeniusz Januła** – płk. rez., wykładowca akademicki, publicysta. Poseł na Sejm RP II kadencji. dalbogen@wp.pl/

[157]Szerzej: *Raport o stanie oświaty*, MEN, Warszawa 1975, s. 234 i nast.

[158]Szerzej: A. Toffler, *Trzecia fala*, Zysk iska, Poznań 2003, s. 167 i nast.

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA WOJEWÓDZKA W RYBNIKU

Biblioteka posiada bogaty księgozbiór naukowy i popularnonaukowy, ze szczególnym uwzględnieniem nauk pedagogicznych, psychologicznych i socjologicznych.

GROMADZIMY LITERATURĘ Z ZAKRESU:

- pedagogiki, psychologii i nauk pokrewnych, materiały dotyczące problematyki oświatowej regionu,
- metodyki nauczania, podręczniki do nauki języków obcych, lektury szkolne oraz programy nauczania,
- nauk społecznych,
- literaturę piękną polską i dzieła klasyki światowej,
- materiały dotyczące edukacji regionalnej, edukacji europejskiej, edukacji ekologicznej.

CZYTELNIA

Warsztat informacyjny czytelni tworzą katalogi: alfabetyczny i rzeczowy oraz kartoteka zagadnieniowa tworzona z autopsji na bazie prenumerowanych czasopism m. in.: regionalna, dydaktyczna, wychowawcza, ekologiczna, literacka.

Posiadamy zbiór programów edukacyjnych zarejestrowanych na kasetach wideo z różnych dziedzin wiedzy. Materiały te służą nauczycielom i studentom w realizacji procesu dydaktycznego i wychowawczego.

INTERNETOWE CENTRUM INFORMACJI W RYBNIKU

W Internetowym Centrum Informacji Multimedialnej znajdują się 4 komputery i urządzenie wielofunkcyjne (drukarka i skaner). Korzystanie z Internetu i pakietu Microsoft Office jest bezpłatne.

CZYTELNICY

Z zasobów biblioteki korzystają nauczyciele, studenci oraz wszyscy zainteresowani problemami oświaty i kształcenia.

DZIAŁALNOŚĆ EDUKACYJNO-METODYCZNA:

- promowanie edukacji czytelniczej, medialnej,
- wspieranie nauczycieli w realizacji ścieżek edukacyjnych; edukacja regionalna, europejska, ekologiczna.

DZIAŁALNOŚĆ INFORMACYJNO-BIBLIOGRAFICZNA:

- opracowanie wykazów nowości, opracowanie zestawień bibliograficznych,
- przygotowanie wystaw tematycznych i okolicznościowych.

ADRESY BIBLIOTEK

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Rybniku
44-200 Rybnik, ul. Chrobrego 27
tel./ fax: 032 422 20 59
e-mail: pbwrybnik@wom.edu.pl
www.wom.edu.pl/biblioteka/rybnik

godziny otwarcia:
pn - cz od 08:00 do 18:00
pt od 08:00 do 15:00
s od 08:00 do 13:00

Filia w Raciborzu
47-400 Racibórz, il. Słowackiego 55
tel./ fax: 032 419 00 02
e-mail: pbwraciborz@wom.edu.pl
www.wom.edu.pl/bblioteka/raciborz

godziny otwarcia:
pn - cz od 08:00 do 18:00
pt od 08:00 do 15:00
s od 08:00 do 13:00

Archiwalne numery

Dialogu Edukacyjnego dostępne na **stronie :** www.wom.edu.pl

RODNiIP ‘’WOM’’ RYBNIK
44-270 Rybnik, ul. Parkowa 4a
tel.: 032 424 73 84, fax: 032 424 74 72

e-mail: info@wom.edu.pl
www.wom.edu.pl